raport
KONIEC HIP-HOPU?!

sierpień 08/116

ślizg

płyta cd gratis

www.slizg.com.pl

uwaga!!! konkurs

WŁODI

zobacz...



gorillaz

batman

blackeyedpeas

numer 08/116
sierpień 2005
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6.90 PLN
(w tym 7% VAT)

ISSN 1425-1760
9 771425 176052 08



RYAN GEE SEQUENCE.



JOSH KALIS. *BIGSPIN FAKIE 5-0 AT THE NEW SKATE PLAZA IN KETTERING, OHIO. FOR MORE INFORMATION ON THE NEW PLAZA VISIT* ***WWW.SKATEPLAZA.COM***





foto: FABJAN

Wielki konkurs bJEŻcie nagrody

Ankieta/kupon

Od jak dawna czytasz Ślizg?
- ☐ to pierwszy numer, jaki kupiłem/am
- ☐ krócej niż rok
- ☐ rok – dwa lata
- ☐ dłużej niż dwa lata
- ☐ od zawsze!

Gdzie kupujesz Ślizg?
- ☐ w kiosku
- ☐ w Empiku
- ☐ w skateshopie
- ☐ czytam numery kupione przez kolegów
- ☐ czytam Ślizg w bibliotece

Czym się interesujesz?
- ☐ muzyką (podaj gatunek)..............................
- ☐ sportami ekstremalnymi
- ☐ graffiti
- ☐ breakdance'em
- ☐ komiksem
- ☐ kulturą (film, literatura, sztuka)
- ☐ czymś innym (wymień):

....

W Ślizgu najchętniej:
- ☐ czytam artykuły i recenzje
- ☐ oglądam zdjęcia
- ☐ czytam Jerzego
- ☐ czytam Ślizg w całości
- ☐ inne ....

Jak oceniasz materiały zamieszczane w Ślizgu (w skali szkolnej od 1 do 6):
- ☐ artykuły ....
- ☐ recenzje ....
- ☐ zdjęcia ....
- ☐ graffiti ....
- ☐ komiks ....
- ☐ reklamy ....

Czego w Ślizgu jest za mało?
- ☐ artykułów na temat muzyki
- ☐ artykułów i zdjęć sportowych
- ☐ graffiti
- ☐ komiksu
- ☐ recenzji
- ☐ reklam

Jeśli czytałeś poprzednie numery Ślizgu, to napisz, jak oceniasz nowy układ zawartości:
- ☐ wymieszanie tematów jest fajne
- ☐ wolę magazyn uporządkowany tematycznie
- ☐ oba sposoby są dobre
- ☐ oba sposoby są do kitu

Jak oceniasz poziom graficzny Ślizgu (w skali szkolnej od 1do 6):

....

Jak oceniasz okładki Ślizgu:

....

Co byś zmienił/a i dlaczego:

....

....

Czy oglądasz płyty dołączane do Ślizgu co miesiąc?
- ☐ zawsze
- ☐ rzadko
- ☐ tylko wybrane filmy / utwory
- ☐ nigdy

Jak oceniasz materiały na płycie dołączonej do Ślizgu (w skali szkolnej, od 1do 6):
- ☐ film z cyklu „Profil CD"
- ☐ film sportowy
- ☐ muzyka
- ☐ pełny album w mp3

Czy odwiedzasz stronę internetową www.slizg.com.pl?
- ☐ tak
- ☐ nie

Jak ją oceniasz?

....

Co chciałbyś jeszcze znaleźć na stronie internetowej Ślizgu:

....

....

O czym lub o kim chciałbyś/chciałabyś jeszcze przeczytać na łamach Ślizgu:

....

....

Co chciałbyś/chciałabyś zobaczyć (lub posłuchać) na płycie dołączonej do Ślizgu:

....

Czy byłbyś/byłabyś zainteresowany/a kupnem gadżetów z logo Ślizgu?
- ☐ tak
- ☐ nie

Jeli tak, to jakie gadżety by Cię interesowały?

....

Ile masz lat?..

Skąd pochodzisz?
- ☐ z dużego miasta (ponad 100 tys. mieszkańców)
- ☐ ze średniego miasta (10–100 tys. mieszkańców)
- ☐ z małej miejscowości (poniżej 10 tys. mieszkańców)

Jakie inne pisma oprócz Ślizgu czytasz? Wymień:

....

Co robisz na co dzień:
- ☐ uczę się
- ☐ studiuję
- ☐ pracuję
- ☐ nic nie robię

Jeśli bierzesz udział w konkursie lub chcesz wziąć udział w losowaniu nagród za wypełnienie ankiety, wpisz swoje dane:

Imię i nazwisko:

....

Adres:

....

Adres mailowy:..

Telefon:..

Zgadzam się na wykorzystanie moich danych do przesyłania materiałów informacyjnych na temat Ślizgu (dane nie będą udostępnione innym osobom i firmom). W każdej chwili przysługuje mi prawo zmiany lub wykreślenia moich danych:
- ☐ Tak
- ☐ Nie

Podpis ....



Obiecaliśmy Wam konkurs? Obiecaliśmy i dotrzymujemy słowa. Oto przed Wami wielki wakacyjny kontest „bJEŻcie nagrody"!

ZADANIE:
Pozornie proste. Narysuj Jeża Jerzego. „Narysuj" jest tu umowne, bo możesz Jeża również namalować, wyrzeźbić czy wykonać jego postać dowolną techniką – wszystko zależy od Twojej fantazji, a pamiętaj, że kreatywność jest nagradzana... Jeśli zbudujesz pięciometrowego Jeża z cegieł, to wystarczy zdjęcie:)

WARUNKI:
Po pierwsze, swoją pracę przyślij na adres redakcji: Ślizg, ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa, z dopiskiem „bJEŻcie nagrody".
Po drugie, dołącz do niej wypełnioną ankietę (drukujemy ją tuż obok, nie sposób nie zauważyć). Nie musisz – jeśli nie chcesz – odpowiadać na wszystkie pytania, ale żeby brać udział w konkursie musisz oczywiście podać wszystkie swoje dane. Możesz wysłać do nas tylko ankietę: odpowiadający również mogą liczyć na nagrody (szczegóły niżej).
Po trzecie, praca konkursowa i ankieta muszą dotrzeć do redakcji do końca sierpnia. Macie więc sporo czasu, ale pamiętajcie o terminie. Prace nadesłane później nie będą niestety brane pod uwagę.

NAGRODY:
W konkursie bJEŻcie nagrody zwycięzca (czyli autor najlepszej pracy, którą wybierze redakcyjne jury) otrzyma fantastyczny mp3 player MM206-207 Demon (pojemność 256 MB), ufundowany przez firmę MANTA MULTIMEDIA. Dodatkowo, na dobry początek użytkowania, załadujemy playera muzą specjalnie dla Was!
Będzie też sporo innych nagród: na autorów wyróżnionych prac czeka cała masa gadżetów do zdobycia: płyty, portfele, smycze, frisbee, komiksy o Jeżu Jerzym (z autografami autorów), roczne i półroczne prenumeraty Ślizgu i pewnie jeszcze parę niespodzianek się znajdzie...
Ponadto najlepsze prace zostaną opublikowane na łamach Ślizgu, na stronie www.slizg.com.pl oraz w galerii na oficjalnej stronie Jurka www.jezjerzy.pl. Rozwiązanie konkursu w numerze październikowym.

Jeśli wysyłasz do nas tylko ankietę, to (oprócz satysfakcji, że pomożesz nam zrobić jak najlepszy magazyn) masz szansę na nagrodę. Co dziesiąta ankieta (nadesłana poza konkursem) zostanie nagrodzona trzymiesięczną prenumeratą Ślizgu, co trzydziesta – oprócz prenumeraty – płytą lub fajnym gadżetem. Jeżeli masz ochotę napisać na temat Ślizgu więcej, to nie wahaj się! Dołącz do ankiety list, napisz, co myślisz na naszym forum internetowym, wyślij do nas maila. Czekamy na Wasze opinie!



Odtwarza formaty: MP1, MP2, MP3, WMA, WMV, ASF i WAV. Posiada stereofoniczny odbiornik radiowy z możliwością zapamiętania 20 stacji. Funkcja magnetofonu i dyktafonu. Animowane menu. Intuicyjny, prosty układ sterowania. Możliwość uaktualnienia systemu. Fajny bajer, prawda?

raport KONIEC HIP-HOPU?!
Sierpień 08/116
płyta cd gratis
Ślizg
uwaga!!! konkurs
WŁODI
zobacz...
gorillaz
batman
blackeyedpeas
ISSN 1425-1760
simplus

Z reguły nie piszemy w „Ślizgu" wstępniaków redakcyjnych, ale tym razem zrobimy wyjątek, bo i okazja wyjątkowa. Jak pewnie zauważyliście – przynajmniej ci z Was, którzy są stałymi czytelnikami naszego magazynu – „Ślizg" się zmienił. I to mocno. W skrócie: przemieszały nam się tematy, wcale nieprzypadkowo. Mamy nadzieję, że pismo wygląda teraz lepiej i atrakcyjniej i nawet czytelnicy, którzy do tej pory omijali niektóre działy, teraz znajdą w nich coś dla siebie. Wiadomo, ilu czytelników, tyle opinii, ale liczymy na to, że nasze nowe propozycje przypadną Wam do gustu. Zachęcamy Was w związku z tym do wypełnienia ankiety i przy okazji do udziału w konkursie bJEŻcie nagrody – zapewniamy, warto się postarać. Ale czekamy też na wszystkie sygnały z Waszej strony: piszcie listy, mailujcie, wpisujcie posty na naszym forum internetowym. Każda opinia jest dla nas cenna i pozwoli nam w przyszłości na to, żeby „Ślizg" był jeszcze lepszy.

No dobra, jeszcze parę słów o zawartości. Mimo przemieszania tematów, ich zakres został w zasadzie niezmieniony, a jedynie nieco poszerzony. Zresztą, zawsze w „Ślizgu" było miejsce dla różnych zjawisk, tak będzie cały czas. Dla ułatwienia pozostawiliśmy podział w spisie treści:) Pewne stare, wyeksploatowane działy zniknęły, niektóre zmieniły nieco formułę, pojawiły się całkiem nowe. Niektóre rubryki będą się pojawiały rzadziej, inne częściej, ale pamiętajcie, że sporo zależy od Was i od Waszych reakcji na to, co robimy. Nadsyłajcie propozycje i oceny, entuzjastyczne będziemy drukować w „Ślizgu", najbardziej krytyczne schowamy wstydliwie do szuflady. Dobra, żart... Jednak wszystko, co o nas napiszecie, weźmiemy sobie do serca.

OK, nieco poważny ten wstępniak nam wyszedł. Pora więc kończyć. W końcu są wakacje i macie mnóstwo rzeczy do zrobienia, zanim znów dopadnie Was szkoła czy studia. Bawcie się więc dobrze – także przy lekturze „Ślizgu". Pozdro!

redakcja eselgie

W 08/116 numerze

MUZYKA:

SPORT:

KULTURA:



foto Robert Ceranowicz

ANTYBOHATER SLG:
PAWEŁ KUKIZ
czyli za co (nie)lubimy lidera Piersi...

- Udowodnił prawdziwość powiedzenia „Miłe złego początki". Po mocnym debiucie (z zespołem Hak na festiwalu w Jarocinie) nie nagrał już nic dorównującego poziomem.
- Dodał otuchy wszystkim pozbawionym muzycznego talentu: jeśli nie potrafisz, pchaj się na afisz, ale udawaj, że wszystko parodiujesz. Za to lubimy też zespół Big Cyc.
- Reklamował Pepsi. Żałujemy jedynie, że nie podśpiewywał w niej przeboju Piersi „My już są Amerykany".
- Za popisy aktorskie i ułatwianie decyzji kinomanom. Nazwisko Kukiza na liście płac? I już wiadomo, że film będzie słaby.
- Za rozsprzedawanie gazetom tematu swojego alkoholizmu. Biedny Pawełek... Ile jeszcze?
- Za występ obok Norbiego i Brodki na Festiwalu Piosenki Zaczarowanej. Rzeczywiście, prawdziwie magiczny zestaw.
- Kawałek Aya RL, czy jakoś tak, pt. „Skóra". Za wspaniałe „tam ta rara ra" i przejmujący opis, jak to niedobrze chodzić w skórze. Czysty, kurwa, bunt i pewność siebie. Zaraz będzie, że nie rozumiemy przekazu, ale to nie tak. Nikt nie mówił, że będzie łatwo – to już wiemy, a Kukiz dał nam poczuć, że może być miękko, nawet jak się w tekście przestawia komuś nos.
- Nagrał „ZChN zbliża się", utwór drwiący z pewnych nachalnych postaw wymieszania w Polsce polityki z religią. Jaj starczyło mu tylko na chwilę, bo w prawicowym tokszole Wojciecha Cejrowskiego kajał się i przepraszał, obiecując poprawę. Czyli „plusik" za konsekwencję.
- Nagrał dziadowską płytę z Janem Borysewiczem, serwując mdłe i do wyrzygania nudne balladki. Jak na rockera, którym zawsze się ogłaszał, żenujący przykład koniunkturalizmu i chęci zarobienia pieniążków na łatwej muzyce dla mas.
- Odmówił roli w „Klanie", by się nie „prostytuować", ale zgodził się na kolejny kawałek z Yugotonem. O ile zapłacą wystarczająco dużo. Kwestia prostytuowania się jest więc ustalona. teraz ustalamy cenę.
- Przejmujący duet z Ireną Santor uwidaczaniający różnicę klas między wokalem jego a Ireny. Niestety, na rzecz Ireny. Teraz zaś nowe wersje piosenek Bułata Okudżawy. Młodzi nie chcą bulić, więc trzeba sięgnąć po kasę starszych?
- W jednym ze swoich ostatnich utworów mało przekonująco nabija się z polskiego hip-hopu, ale jednocześnie nie miał oporów, by nagrać kawałek z „Ojcem Chrzestnym Polskiego Rapu", Liroyem.
- W sposób kuriozalny pojmuje prezentowanie kultury góralskiej.
- Stwierdził ostatnio, iż Kazik „nie ma pojęcia o upadłych pegeerach czy kopalniach". Oj, to chyba nie ta liga, trochę za wysoko żeby pluć...
- Brak rozeznania między buractwem a bezkompromisowością. Wręczając Mezo nagrodę w Opolu mógł powstrzymać się od uwagi, że ten wreszcie nie będzie musiał dawać kopert, by puszczano jego nagrania. Nie ten czas, nie to miejsce, a tania zazdrość śmierdzi szczególnie przykro.

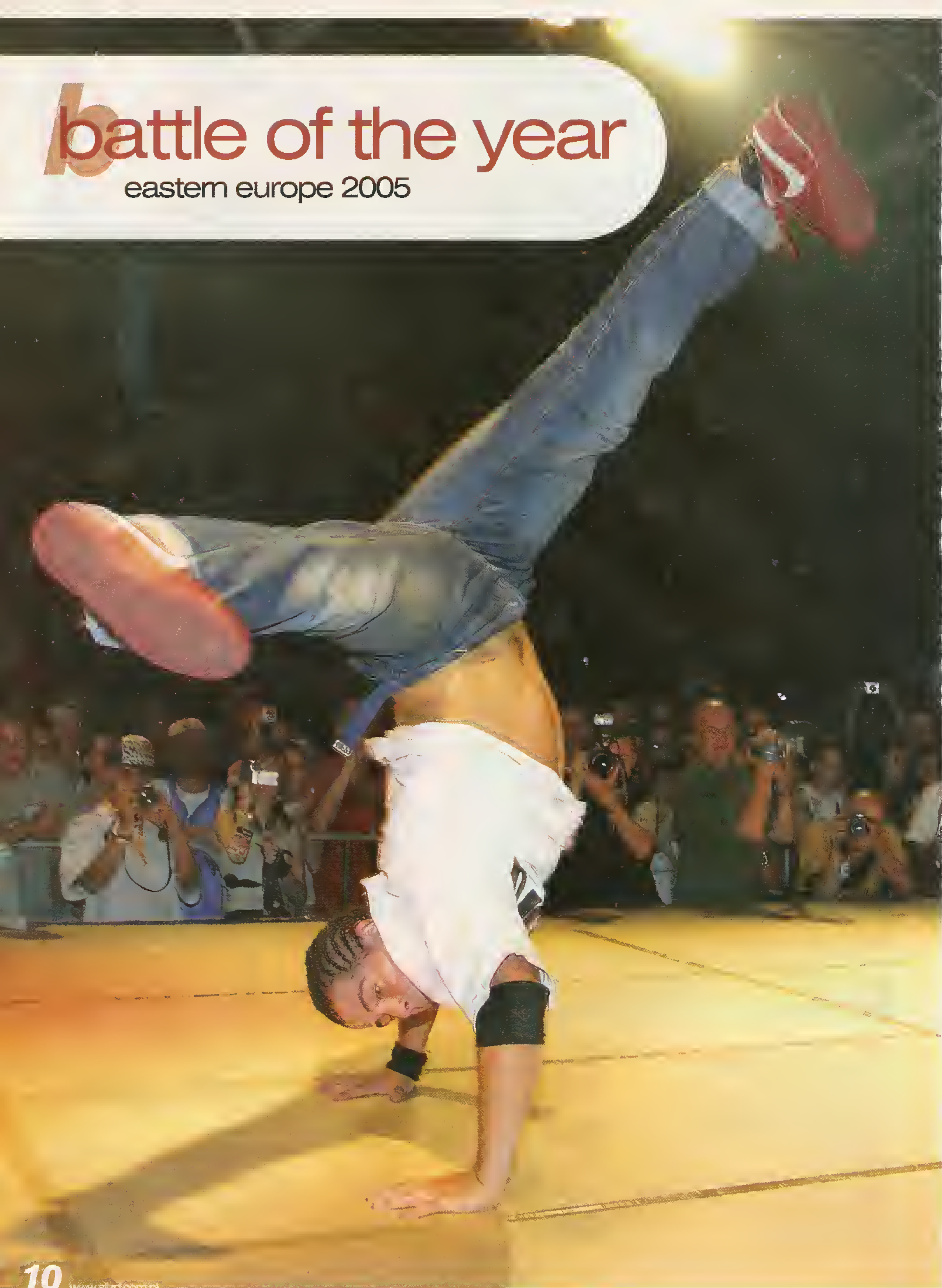
Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48 (prefix) 226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny:
Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk
(hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl),
Cessya (cess@slizg.com.pl),
Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Grabiszczy (grabiszczy@o2.pl)
Korekta: Krzysztof Grabowski

Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański
(szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki
Foto okładka: Wojtek Antonów/WZRR
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Fala, Andrzej Cała, CNE, DJ Spox, Sebastian Rerak, Yarrek, Dobry Piotrek, Sebastian Imbierowicz, Kada, Red, Paweł Gadaczek
Marketing i reklama: Kasia Spaleny
(kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska
(marta.wieteska@slizg.com.pl)
Sekretariat: Monika Jurczak
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie:
ELANDERS



Adres redakcji:
Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48 (prefix) 22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl

battle of the year
eastern europe 2005





Finałowa walka Ready to Battle vs. Camelot



Finaliści BOTY EE 2005



Crazy Squad w akcji

tekst Bugi
foto El Passo

Battle of the Year Eastern Europe 2005 już za nami. Co to za impreza? Wszyscy chyba wiedzą, ale napiszemy króciutko – są to eliminacje do największej imprezy b-bojowej na świecie, nazywanej nawet „mistrzostwami świata w b-boingu" – Battle of the Year International. Chcecie więcej informacji na ten temat? Sprawdźcie www.boty.de i www.boty.pl.

Co się działo na BOTY EE? Jak co roku od pięciu lat, szczecińska hala SDS-u gościła najlepszych b-boi z naszego wschodnioeuropejskiego regionu: przyjechali zawodnicy z Polski, Łotwy, Estonii, Litwy, Czech i Słowacji. Poszczególne ekipy występowały w składach maksymalnie dziesięcioosobowych. Zgłoszone do imprezy zostały następujące ekipy: Nontopermielonka (Polska), Camelot (Łotwa), Azizi (Rybnik), Ready to Battle (Bydgoszcz), Crazy Squad (Włocławek), Skefolt (Łotwa), Naked Gun (Łotwa), NGS (Czechy), Submission (Estonia), Hollywood Stars (Czechy), Stylique Infection (Czechy), Floor Rockers (Słowacja). Z czego nie stawili się Azizi, Nontoperzy i Submission z Estonii. Hmm, szkoda, że dwie najlepsze polskie ekipy nie potraktowały poważnie BOTY EE, które wiadomo, nie każdemu muszą pasować ideologicznie, ale przecież zawsze są okazją, żeby powalczyć z innymi i udowodnić, „kto jest najlepszy".

Impreza tej rangi musi mieć też odpowiednią obsadę sędziowską i tak też było: sędziowali znani na światowej scenie breakowej: „Paulo" z Holandii, „Amigo" z Niemiec i „Cico" z Włoch.

Jak wygląda BOTY EE? Grupy, które biorą udział w imprezie, przygotowują swój show – układy zbiorowe, solowe, różne elementy b-boingu – im więcej, ciekawiej i trudniej, tym lepiej – jeśli do tego wymyślą jeszcze jakiś scenariusz i wybiorą dobrą muzykę, to już w ogóle pięknie. Gotowy „program artystyczny" przedstawiają przed publicznością i sędziami, zbierając oceny. Po czym najlepsze według oceniających ekipy biorą udział w finale, gdzie walczą już ze sobą o miejsca 1, 2, 3 i 4.

Po pokazach, w których naprawdę wysokim poziomem wyróżnili się Ready to Battle, Crazy Squad, Skefolt i Camelot, te właśnie grupy wzięły udział w finałowej bitwie. O trzecie miejsce walczyli ze sobą zawodnicy z Włocławka i Skefolt z Łotwy. Żeby się nie rozpisywać, podamy tylko, że Crazy Squad bez problemu poradzili sobie z przeciwnikami i wskoczyli na zaszczytne trzecie miejsce. Gratulujemy.

O pierwsze miejsce walczyli ze sobą, to już chyba jest jasne: Ready to Battle i Camelot z Łotwy. Ta bitwa z kolei była bardzo wyrównana. Zarówno jedna jak i druga grupa prezentowały bardzo wyrównany poziom i spore umiejętności. Po zakończeniu walki i chwili niepewności sędziowie zdecydowali się jednak przeznać pierwsze miejsce ekipie z Łotwy. Nic dziwnego zresztą, bo pomimo podobnych umiejętności, to jednak Camelot wyróżniali się świeżym stylem i lepszym przygotowaniem do imprezy. Dzięki swojemu ciekawemu performance'owi podczas pokazów dostali także nagrodę za best show BOTY EE. Po prostu, Camelot rządzili tego dnia i mają zapewniony udział w Battle of the Year International.

To tyle, jeśli chodzi o atrakcje ściśle dla bibojów, bo BOTY EE jest też imprezą ogólnie dla fanów hip-hopu i dla nich przygotowano nie lada atrakcje: w przerwach między pokazami breakowymi występowali Don Guralesko, O.S.T.R. (który również prowadził całą imprezę), Pokahontaz, a także zawodnicy z zagranicy Tajai (Souls of Mischief/Hieroglyphics) i Scratch (The Roots). Oczywiście można było też posłuchać setów DJ'ów: Kostka, Domela, Bambusa i Cut Nice'a.

I to by było na tyle z Battle of the Year Eastern Europe. Zapraszamy wszystkich na przyszłoroczną edycję, a wcześniej na finały BOTY w październiku w Niemczech w Braunschweig. Pozdrowienia dla wszystkich b-boi i wspierających tę zajawkę.

włodi

rozmawiał tOi Oi
foto LomoWZRR

Na Twoją pierwszą solową płytę trzeba było czekać bardzo długo, natomiast następną wydajesz praktycznie od razu – czemu tak się stało?
Wszystko to zależy od mojej weny. Przed wydaniem „Jak nowonarodzony" miałem dosyć dziwny okres w moim życiu. Czułem się strasznie zniechęcony do pracy nad płytą, pewnych rzeczy nie chciało mi się robić. Nie czułem, że akurat wtedy powinienem coś nagrać. W końcu jednak poczułem to „coś" i zdecydowałem, że jestem gotowy do wypuszczenia swojego pierwszego albumu. Niestety, nie byłem za bardzo zadowolony, uważam że był za słabo promowany. Nie wszystkie decyzje związane z promocją (również te, które ja podejmowałem) były słuszne. Ta cała sytuacja bardzo mnie zdopingowała do zrobienia następnej płyty, tylko że tym razem chciałem uniknąć tamtych błędów. Ja tak mam, że jak mi jest dobrze w życiu, to staję się leniwy, natomiast jak coś idzie nie po mojej myśli, to mobilizuje mnie do działania. U mnie w bloku mieszka jedna dziewczynka, która musi wychodzić na klatkę, żeby odrabiać lekcje, bo w mieszkaniu panuje ciągły melanż i nie ma tam spokoju. Takie widoki bardzo mnie z jednej strony smucą, a z drugiej strony motywują do działania, bo żeby takich rzeczy nie było, trzeba działać, a nie siedzieć bezczynnie i narzekać. Na „W..." słychać chyba tę moją frustrację i niezadowolenie z tego, co się działo w okresie między wydaniem płyt.

Jeden z kawałków na Twojej nowej płycie traktuje o wolności. Co oznacza dla ciebie to słowo?
Według mnie jest to nieograniczona możliwość realizowania swoich pomysłów i celów. Oczywiście te plany nie zawsze muszą być zrealizowane, ale chodzi mi o możliwość ich spełnienia, to, że można spróbować... Wolnością jest też to, że można iść, gdzie się chce i np. spojrzeć na niebo. Takie rzeczy docenia się tylko wtedy, gdy jest się zamkniętym. Na co dzień nawet nie zwraca się na to uwagi – a to jest bardzo ważne.

Czy uważasz, że każdy człowiek powinien dysponować taką wolnością?
Wydaje mi się, że tak, ale tylko wtedy, gdy swoim działaniem nie ogranicza on cudzej wolności. Na przykład politycy: ci mają pełnię wolności, mogą robić, co im się podoba, ale wszystko to kosztem ograniczeń u społeczeństwa. Być może dużo osób się ze mną nie zgodzi, ale jestem zdania, że są osoby i grupy społeczne, którym należy ograniczyć dostęp do pełni wolności. Mam na myśli pedofilów, homoseksualistów i ludzi propagujących zepsucie pod płaszczykiem demokracji i tolerancji. W tej chwili demokracja na świecie polega mniej więcej na takim haśle: „pozwólmy wszystkim na wszystko". Nieważne na co, czy będzie to coś złego, czy dobrego. Być może kłóci się to z tym, co mówiłem wcześniej o wolności dla wszystkich, ale nie można po prostu do wszystkiego zastosować reguły, że coś jest białe lub czarne.

Ale przecież właśnie taka podobno jest rola policji w społeczeństwie. To oni decydują, komu należy tę wolność ograniczyć...
Nie ma się co oszukiwać, policja też jest w jakimś stopniu potrzebna. Właśnie do chwytania pedofilów czy ludzi, którzy krzywdzą bezbronne babcie. Taka instytucja jest potrzebna, tylko że na pewno nie w takiej formie jak teraz. Obecna policja i cały system sprawiedliwości jest jednym wielkim syfem. Nie mam złotego środka, żeby uzdrowić te rzeczy, ale wiem, że to, co dzieje się teraz, nie podoba mi się.

Jak rozumiesz wolność w muzyce?
Sama muzyka jest wolnością, jest wyrażaniem swoich uczuć. Moje kawałki są absolutnie tym, czym chciałem, żeby były. Nigdy nie dopuściłem do takiej rzeczy, żeby ktoś mi zasugerował, żebym coś napisał inaczej, bo „to się sprzeda". Oczywiście lubię, jak pewne osoby mi radzą, wtedy biorę to pod uwagę, ale wszelkie decyzje odnośnie mojej twórczości podejmuję sam. Wolność w muzyce jest konieczna, bo każdy stara się robić ją po swojemu, każdy ma swój gust i swoją jazdę. Tylko zespoły, które są produktami koncernów i zależy im jedynie na sprzedaży płyt, są pozbawione wolności, bo muszą nagrywać to, co im każą. Ale z drugiej strony, to też jest ich wybór, że decydują się na takie coś i oddają się w ręce wizażystów, stylistów i nie wiem jeszcze kogo.

Czy Twoja płyta brzmiałaby tak samo, gdybyś współpracował z innymi osobami?
Na pewno byłaby inna i dlatego to ja wybieram współpracowników. To nie jest spontaniczna decyzja, tylko najpierw staram się wyobrazić sobie cały utwór w głowie – jaki ma mieć podkład, jaki będzie miał on temat itp. Później składam poszczególne części w całość. Jeżeli ktoś ma wystąpić w kawałku ze mną, to chcę, aby jak najbardziej pasował on do tematu i brzmienia, żeby nie był to ktoś przypadkowy. Nie musi to być wcale mój dobry znajomy. Tak było w przypadku Mesa, nie jest to mój najlepszy kolega, znam go bardzo pobieżnie. Uważam go za bardzo dobrego rapera i nikogo innego nie widziałem na tym bicie i w tym temacie. Chciałem nagrać kawałek o Warszawie z reprezentantem młodego pokolenia. On był do tego najlepszym kandydatem.

Kto miał największy wpływ na twoją twórczość?
Jeśli chodzi o muzykę, to nie ma takiej osoby. Śledzę to, co dzieje się na rynku fonograficznym, szczególnie amerykańskim, jestem w tym na bieżąco. Podoba mi się to, co dzieje się w Niemczech, mimo bariery językowej, którą mało kto w Polsce potrafi przełamać. Też nie przepadam za tym językiem, ale większość rapujących tam ludzi stanowią emigranci, więc niemiecki jest przez nich zniekształcony i brzmi to zajebiście. Słucham też rzeczy, do słuchania których wielu polskich raperów nie przyznałoby się. Ja lubię amerykański mainstream. Oczywiście nie wszystko mi podchodzi, ale lubię kawałki G-Unit, Alchemista, Lil Jona – nawet te imprezowe, we wszystkim można znaleźć coś dla siebie. Nie traktuję bardzo serio tego, o czym rapują, są to z reguły płytsze teksty, ale i tam czasem znajdzie się bardziej poważny temat. Nie rezygnuję też ze słuchania części niszowej rapu, staram się to połączyć. Moja twórczość jest połączeniem moich fascynacji mainstreamem i podziemiem.

Czy chciałbyś zobaczyć w Polsce taką sytuację, jaka jest teraz w Stanach?
Według mnie to już tak się dzieje... Tylko w bardziej burackiej formie. Tam ci ludzie, którzy są na topie, mimo że robią kawałki komercyjne, robią je tak, że mają one coś w sobie. Są wyprodukowane ze smakiem, mają zajebisty bit, koleś poprawnie rapuje. Może komuś się nie podobać tekst, ale rytmika w kawałku jest kozacka. A u nas? W Polsce wychodzi raperom słoma z mikrofonów, tak to nazywam. Przypomina mi to kluby Blue Star i autokary z napisami „muzyka biesiadna", co tu dużo mówić. Trzeba to przeboleć, bo taka jest Polska, u nas na pierwszym miejscu zawsze będzie chamówa. Mało jest ludzi, którzy mają kontakt z kulturą w szerszym tego słowa znaczeniu. Niestety, byliśmy przez tyle lat odcięci od świata, a te piętnaście lat wolności to jest nic w porównaniu do całej historii. Dlaczego na przykład Polacy są rasistami? Dlatego, że przez tyle lat nie mieliśmy kontaktu z innymi narodowościami. Nikt przecież nie przyjeżdżał do Polski osiedlać się, bo tu było chujowo, nie mieliśmy więc kontaktu z nikim obcym. Dlatego mamy tak silnie zakorzenioną ksenofobię, boimy się tego, co niepolskie. Mam nadzieję, że zmieni się to wraz z nadejściem pokolenia naszych dzieci. Gdy my będziemy mieli po pięćdziesiąt lat, te wszystkie granice i przesądy zaczną się zacierać. Bardzo bym chciał, żeby więcej przedstawicieli innych narodowości mieszkało w Polsce. Wzbogaciłoby to naszą kulturę i światopogląd. Świat jest przecież jednym wielkim krajem, nie ma sensu go dzielić. Nie uważam, że powinniśmy rezygnować z naszej narodowej kultury, powinniśmy kultywować nasze tradycje, pamiętać o historycznych regionach, o tym jak wyglądali Kujawiacy, Mazurzy, ale nie powinniśmy odcinać się od świata. Potrzeba nam więcej tolerancji dla innych, bo tego nam bardzo brakuje. Rasizm w Polsce sięga bardzo różnych rzeczy. Nawet czytając wierszyk dla dzieci „Murzynek Bambo" uczymy się, że czarny chłopiec jest głupiutki, nie uczy się i na dodatek chce się wybielić.

A czy ty jako człowiek starasz się to w jakiś sposób zmienić, robisz coś w tym kierunku?
Uczę przede wszystkim moją córkę żyć z ludźmi innych narodowości. W publicznych miejscach, kiedy wypowiadam się na ten temat, zawsze będę krytykował uprzedzenia rasowe. Jestem również przeciwko innym formom rasizmu. Nie popieram czarnych, którzy nienawidzą białych, nawet mimo wiedzy, że spowodowane to jest latami niewolnictwa i prześladowań. Każda nienawiść z powodu koloru skóry jest czymś złym. Jesteśmy już tak rozwinięci jako ludzie, że już sam umysł podpowiada, że takie zachowanie jest głupie.

Czy uważasz, że jesteś osobą odpowiedzialną za swoje czyny i słowa?
Staram się być. Nie wiem, czy w jestem w pełni odpowiedzialny, bo czasem znajduję w swoim działaniu czy w tekstach rzeczy, których nie uważam za odpowiedzialne. Jestem tylko człowiekiem, nie będę grał pod publikę, żeby ludzie czegoś o mnie nie pomyśleli. Mam prawo do pomyłek, do powiedzenia czegoś, czego bym potem nie powiedział, do chęci naprawienia tego. Staram się być odpowiedzialny, bo wiem, że dzieciaki traktują bardzo serio to, co mówimy w kawałkach. Wiem o tym nawet po swojej osobie. Jak słuchałem tekstów np. Cypress Hill, to byłem zajarany paleniem zioła i też chciałem palić tyle co oni. Potem zrozumiałem, że to jest ich jazda, a ja nie muszę być taki sam jak oni i zacząłem robić to po swojemu. Na prawdę trzeba ważyć to, o czym się rapuje, żeby nie spowodować złych konsekwencji.

Kiedy zobaczyłeś, że czas zastanowić się nad tym, o czym się rymuje?
Kiedy posłuchałem starych kawałków, w których mówiłem o rzeczach, których bym teraz nie zrobił. Przez ten czas w moim życiu wiele się zmieniło, mój światopogląd ewoluował. Odrzuciłem rzeczy, które mi nie pasowały, a zostawiłem te dobre, które chcę pielęgnować w sobie. Te fragmenty moich kawałkach, które były nie do końca przemyślane, wcześniej były traktowane przez odbiorców bardzo poważnie. To dało mi wiele do myślenia. Ale z drugiej strony trzeba też mówić o czymś, co się uważa za słuszne, nie można winić autora książek kryminalnych o prawdzi-



we zabójstwa. Ja przekazuję ludziom to, co czuję i nie każdy musi tego słuchać. Zresztą, jak mówiłem, zmieniłem trochę swoje życie, nie melanżuję, nie piję alkoholu i nie ćpam, staram się żyć godnie i o tym są moje kawałki, więc ta odpowiedzialność wynika sama z siebie. Nie zmieniam swoich tekstów, tylko staram się dobrze żyć i o tym pisać swoje rymy.

Czy uznajesz słuchanie muzyki dla samego słuchania, nawet jeśli nie niesie ona żadnej głębszej treści?

Oczywiście, przecież pierwotnie muzyka powstawała, bo jedni ludzie stukali sobie w bębny, a inni skakali w ten rytm i dawało im to radość. Na początku głównym celem muzyki była przyjemność i ten element zawsze powinien w niej być, nawet jeśli próbuję przekazywać jakieś głębsze wartości. W większości moich produkcji staram się zawrzeć jakieś przesłanie, nie każdy mój kawałek je ma. Przykładam dużą wagę do tego, żeby moje rzeczy były uniwersalne, żeby ludzie zastanowili się po usłyszeniu tekstu, ale i mogli się dobrze pobawić na koncercie. Sama muzyka też może mieć przekaz, nawet jeśli nie towarzyszą jej żadne słowa. Same dźwięki wywołują u mnie różne uczucia, bardzo lubię słuchać muzyki instrumentalnej.

Kiedyś, dawno temu, grałeś ostrą muzykę, teraz jesteś raperem, a co sądzisz o łączeniu tych gatunków, czy widzisz się w takim projekcie?

Nie lubię crossoverów. Lubię hard core, ale taki naprawdę ostry, wywodzący się z punk rocka bez żadnych domieszek rapowych, bo to dla mnie jest czystym badziewiem. Rap to rap, a hard core to hard core. Zdarzają się, co prawda, fajne riffy gitarowe w tego typu produkcjach, ale nie jest to coś, co trafia do mnie. Jeżeli chodzi o cięższą muzykę, to ja preferuję zespoły typu Sick Of It All, Sheer Terror, z lżejszych rzeczy Minor Threat. Z polskich zespołów to na przykład Sunrise, zajebisty zespół straight edge. Crossovery są modne i dlatego są „spopowiałe". Biorą trochę gitar, w tle śpiewa jakaś dziewczynka – według mnie brzmi to zbyt tandetnie.

Czy są takie koncerty, na których byś nie zagrał?

Nie wystąpiłbym w klubie disco polo albo na imprezie firmowanej przez firmę typu Hellman's. Nie wyobrażam sobie sytuacji, żeby przede mną grał DJ w białych rękawiczkach i puszczał „Czarne oczy", mam szacunek do własnej osoby. Z drugiej strony – być może wielu zdziwi albo oburzy to, co powiem – gram koncerty wyłącznie dla pieniędzy. Jaram się nimi, lubię kontakt z publiką, ale robię to, żeby zarobić. Nie lubię tras koncertowych, nie przepadam za spaniem poza domem, męczy mnie to już. Mam dość wydarzeń wokół koncertów – melanży, wykłócania się z organizatorem o pieniądze. Zdarzało się, co prawda, że graliśmy za darmo, ale były to albo charytatywne akcje albo sprawy czysto koleżeńskie, jak np. otwarcie skateparku czy zawody deskorolkowe.

Czy jako ojciec inaczej patrzysz na słowa „Po pierwsze, nie dla sławy i nie dla pieniędzy..."?

Na pewno. Pierwszy człon jest jak najbardziej aktualny, natomiast drugi już trochę mniej... Nie wstydzę się tego powiedzieć, bo poświęcam muzyce swój cały czas, nie chodzę do żadnej pracy, siedzę cały czas w studio i nagrywam. Muszę też wyżywić moją żonę i córkę i chcę żyć na poziomie. Kiedy nagrywaliśmy kawałek, z którego pochodzi ten cytat, byliśmy nastolatkami i każdy z nas (z Molesty) miał jakieś źródło dochodów. Po pewnym czasie stwierdziliśmy, że możemy zająć tylko muzyką, która była naszą największą zajawką, a przy okazji można było mieć z tego jakiś hajs. Porzuciliśmy więc nasze stare zajęcia, które i tak na dobrą sprawę były dla nas tylko kulą u nogi i każdy inteligentny człowiek chciałby z tym zerwać. Nie słucham wcale ludzi, którzy mówią, że się sprzedałem. Według mnie oni chcieliby być na moim miejscu.

toy story
czyli o zainteresowaniach słów kilka...

W ciągu bardzo długiego czasu mojej styczności z deskorolką wielokrotnie spotykałem się z twierdzeniami typu: „Skateboarding jest dla mnie wszystkim", „Moje życie skupia się wokół deskorolki" lub „Moim jedynym hobby jest skateboarding". Z reguły ci, którzy wygłaszali te deklaracje i siedzieli na miejscówce non stop, po jakimś czasie wykruszali się z tego tematu i zaczynali karierę pracowniczą w jednej z kapitalistycznych firm.

Szczerze mówiąc, zawsze tego typu hasła budziły moją niechęć. Od razu wydawały mi się one nieszczere, tak jakby każdy chciał na siłę przekonać drugą osobę że jest „for real". Wiem, że w tym środowisku panuje coś takiego jak osoba „pozera" zwanego też „xerobojem" i każdy młody adept skateboardingu stara się pokazać, że nie ma on nic wspólnego z tymi określeniami i jego jazda na deskorolce jest jak najbardziej szczera i płynąca z serca. Najłatwiej przekonać ludzi, że jest się prawdziwym deskorolkowcem w następujący sposób:

– Non stop gadać o deskorolce, filmach i trikach.
– Nic innego poza jazdą nie robić (zero szkoły i żadnych zainteresowań).
– Przebywać cały czas w towarzystwie skaterów.

Niestety, z doświadczenia wiem, że długo tak się nie da wytrzymać. Po jakimś czasie nawet najtwardsi zawodnicy nie dają rady. W pewnym momencie zaczyna się mieć dość deskorolki, bo głównie z niej składa się całe życie polskiego skatera. Najśmieszniejsze jest to, że ci najzagorzalsi skateboarderzy nagle stają się ludźmi, którzy myślą o zupełnie innych rzeczach, a o deskorolce nie myślą wcale.

Moim zdaniem, największym błędem, nie tylko polskich deskorolkowców, jest całkowite zamknięcie się na inne zainteresowania. Tak naprawdę skateboarding to nie tylko triki, które z takim uporem wszyscy ćwiczą. Oprócz codziennej porcji stresu i siniaków zajęcie to umożliwia pójście wieloma drogami. Nie można ograniczyć się tylko do sportowej strony deskorolki, właściwie to jestem wielkim wrogiem poruszania się tylko i wyłącznie w obrębie tego zjawiska (nawet jeśli jest to również fotografia deskowa czy kręcenie filmów). Jeżeli będzie się miało inne hobby, to pozwoli to tylko na spojrzenie na deskorolkę z innej strony, poza tym skateboarding nie będzie wtedy jedyną rzeczą, którą się robi i nie znudzi się tak szybko.

Tysiące ortodoksyjnych fanów odezwie się teraz, że nic innego do życia poza jazdą nie jest im potrzebne i nie warto tracić czasu na inne głupoty, poza tym 99% skaterów interesuje się muzyką – więc o co chodzi.

Zgodzę się, ale tylko połowicznie. Ile razy słyszałem odpowiedź na pytanie o ulubioną muzykę w stylu: „Słucham muzyki z filmów deskorolkowych". Powiedzcie mi, gdzie tu widać własny gust – wygląda na to, że takie osoby po prostu go nie mają, tylko ślepo naśladują twórców skate videos. Smak muzyczny trzeba sobie wyrobić samemu, a nie poprzez ściąganie wszystkiego, co słyszało się w deskorolkowej produkcji filmowej.

Postarajcie się spojrzeć na skateboarding nie jak na sport, w którym liczą się tylko wykonywane ewolucje, ale jak na ogromną kulturę. Przecież możliwości rozwoju macie tutaj pod dostatkiem, deskorolka może kształcić, jeśli tylko będzie się dostrzegało te możliwości. Spróbujcie patrzeć na magazyny deskorolkowe nie wyłącznie jak na zbiory zdjęć z trikami, ale patrzcie na całość – jak dana gazeta wygląda, co przedstawia. Tak samo jest z filmami deskorolkowymi. Czy zastanawialiście się kiedykolwiek nad wyglądem filmu, czy przy oglądaniu samych numerów nie straciliście nic ważnego? Zacznijcie patrzeć na deskorolkę z różnych perspektyw i przede wszystkim nie stójcie w miejscu. Nie pozwólcie, aby skateboarding stał się waszą karą, nie jeździjcie „na siłę". To nie jest nic złego, jeśli pewnego dnia nie chce się iść na deskę – wtedy można też robić wiele innych, równie fajnych rzeczy. Nie popadnijcie w deskorolkową monotonię, bo to prowadzi tylko do smutnego końca. Pamiętajcie, że ważna jest różnorodność, zarówno w życiu jak i w skateboardingu.

Żeby deskorolka doszła do takiego stadium rozwoju, w jakim jest teraz, ludzie zajmujący się nią musieli mieć bardzo otwarte umysły. Nie wymyśliłby tego nikt, kto ogranicza się tylko do jednej rzeczy. Spójrzcie chociażby na grafiki waszych desek. Niejedna z nich jest prawdziwym dziełem sztuki, podobnie jest z filmami deskorolkowymi czy nawet nowoczesnymi skateparkami. Czy myślicie, że bez inspiracji z bardzo różnych dziedzin życia powstałyby takie tory jak dzisiaj? Żeby skateboarding się rozwijał, ludzie go uprawiający muszą myśleć, a tego niestety nikt naśladując innych się nie nauczy. Dlatego bardzo namawiam was do rozwijania swoich horyzontów, bo tak naprawdę myślenie w deskorolce ma przyszłość...

tOi Oi

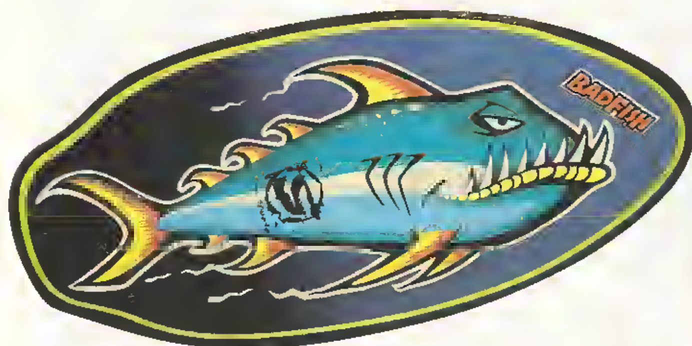
trick miesiąca
Philip Schuster/tail slide flip out/Witos, W-wa
foto: Gabor Nagy



bazaar
newsy kite

Zawody Siemens Kite Cup niestety nie odbyły się z powodu braku wiatru. W miejscu zawodów doskonale prezentował się las flag falujących pod wpływem wiatru „grawitacyjnego". Pogoda sprzyjała za to imprezom towarzyszącym – w pierwszy weekend otwarto wreszcie beach bary:

- Zielony Surfspot w okolicy Kuźnicy niewiele zmienił się od zeszłego roku. Co prawda po drodze helskiej kursują autobusy w amerykańskim stylu, postawiono chillout w postaci hamaków, ale oprócz tego reszta bez zmian. Nadal po piwo musimy się dopchać i zaczekać kwadrans. Dodatkowo konkurs balansowania na desce z cennymi nagrodami, jednakże przerwany z powodu awarii sprzętu...
- Natomiast w innej imprezowni na Solarze, reklamowanej przez plakat zapraszający na dyskoteki utrzymany w stylu początku lat 90., zmieniło się wiele. Knajpa została przebudowana na surferski styl. Jest dwa razy większa niż w zeszłym roku, ma pełny dostęp do baru z obu stron. A przede wszystkim rezydent – DJ Glasse. Udany początek zapowiada, że będzie się tam działo przez całe lato! Czekamy więc na dalszy rozwój wydarzeń i – przede wszystkim – na wiatr! (szczepson)



deska do skimboardu BADFISH

Skimboarding to zajawkowa namiastka surfingu. Można go uprawiać na płytkich falach wylewających się na brzeg. Znajdujemy miejsce, gdzie fala zostawia wodę na plaży, bierzemy rozpęd i.... rzucamy deskę pod nogi, wskakujemy na nią i zasuwamy do przodu! Super zajawka – polecamy. Poza tym polecamy artykuł gdzieś dalej w SLG na temat jamu skimboardowego w Dębkach i wizytę na stronie www.skimboard.pl

bazaar
skatepark



Poznański Kinepolis został wzbogacony o dodatkowy element. Jest nim całkiem przyjemny funbox, nie jest to co prawda nic wielkiego, ale na pewno dobrze służy wielkopolskim skaterom. Teren parkingu kina powoli staje się miejscem, w którym można próbować bardzo różnych rzeczy. Są tam rurki i murki, jest mini rampa, a od niedawna stoi też ten funbox. Dzięki dla dystrybucji Altex za ufundowanie tej przeszkody.

GLOBALNE KOWALSTWO
coś za coś

na okładce Ślizgu widzicie duży napis – koniec hip-hopu!? pytamy czy stwierdzamy? znak zapytania sugerowałby pytanie, więc...

„hip-hop will never die" – to stare YO! MTV Raps. i zgadzam się z tym w pełni. hip-hop nie przekręci się, nie zniknie, w każdym razie nieprędko. ale też hip-hop w Polsce wpadł w apatię, nie wykorzystał swojej komercyjnej szansy. to fakt dokonany i jeżeli coś się tu zmieni, to za jakiś, dłuższy, czas.

gadałem z wieloma osobami i spora grupa mówi: „To dobrze, hip-hop wróci tam, gdzie jego miejsce, odpadną ci nadmuchani, zostaną naprawdę zainteresowani, okaże się, co i jak". uważam to za brednie, zwłaszcza, że podobne hasła mówią ludzie, którzy wydawali oficjalnie płyty, kręcili sporo teledysków, od mediów stronili tylko pozornie, a ewentualne sceny robili urzędowo, bo wypadało być niedostępnym. w najgorszym wypadku i tak dzwonił ich wydawca i dogadywał się na reklamy, patronaty, promocję. no, często próbował się dogadać i mało z tego wynikało, ale o tym za chwilę.

nikt nie siedział w piwnicy, każdy chciał czegoś więcej. i to więcej przyszło, bo hip-hop zaczął fascynować dziesiątki tysięcy ludzi. takiego wejścia nie miał w historii polskiej muzyki żaden gatunek. no i tak licznej publiczności, oddanej, wiernej (do czasu) i zaangażowanej. bo, owszem, można klepać teksty wykonawców nie rozumiejąc ich, ale w hip-hopie nie jest to takie proste. co było dalej?

krótka historia. mój redakcyjny kolega gadał z jednym z bardziej znanych wykonawców hh w Polsce, a ten powiedział mu, że obecna stagnacja w polskim rapie, to m.in. wina Ślizgu. uzasadnienie? bo daliśmy na okładce Donia z Ascetoholix. czyli, według Artysty, promowaliśmy chłam. potem rozpoczęła się długa tyrada na temat hip-hopolo etc., z konkluzją, że to właśnie rozpieprzyło rynek. i że wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób promowali to, są winni. a co ma piernik do wiatraka?

o tym, że od lat na okładkach Ślizgu pojawiali się przeróżni wykonawcy polskiego rapu, nie ma co się rozpisywać. każdy widział. o tym, że w pewnym momencie na scenie pojawili się raperzy z wesołymi refrenami, również nie ma co pisać. każdy słyszał i każdy wyrobił sobie zdanie. ofensywa całuśnych raperków rozbiła polski hip-hop? bzdura. to teraz może zadam pytanie – co zrobili wykonawcy bez całuśnych refrenów, by powalczyć z przebojami za dychę? czy w ogóle coś zrobili?

sytuacja sprzed kilku miesięcy. siedzę z moim przyjacielem, promotorem muzycznym, w samochodzie, jedziemy w dłuższą podróż i gadamy sobie o polskim rapie. temat ulubiony, obydwaj mamy sporą wiedzę. po kolei przechodzimy przez nowe płyty, single, przypominamy sobie, co niedawno wyszło, co ma wyjść, słuchamy poszczególnych kawałków. i nagle, niemal równocześnie, wpadamy na to, że właściwie nie ma nic nowego! owszem, fonogramy leżą przed nami, jeden kręci się w odtwarzaczu, kolejne zaraz tam trafią, ale... ale to wszystko już było, a artysta wypuszczający drugą, trzecią, kolejną płytę robi właściwie to samo. oczywiście, trudno, żeby nagle rozebrał się do naga, wysmarował dżemem i zapierdalał wokół sceny z mandoliną, ale to nie o to chodzi. gdzie świeżość, poszukiwania, nowe rozwiązania?

a odbiorca, czego by o nim nie napisać, był wymagający. umówmy się, tak zwane hip-hopolo nie zdobyło szturmem tych, którzy słuchali Tedego, Ewenementu, ZIP Składu, Kalibra, Wzgórza czy Slums Attack. gównianych produkcji słuchały dojrzewające panienki, pryszczaci gimnazjaliści i uczęszczacze dyskotek. nie ma w tym kraju jeszcze takiej patologii, by ktoś zajarany Skandalem czy S. P. O. R. T. zachwycał się „Skarbami", w naturalny sposób dochodząc do takiej muzyki. to nie miało miejsca. tak zwane hip-hopolo, dzięki aktywności promocyjnej wydawców takiej muzyki, weszło w zupełnie inny krąg odbiorców. i guzik miało to wspólnego z naszą sceną. a że obecnie kończy podobnie, nie mogąc powtórzyć swoich sukcesów z ubiegłego roku? tu pojawia się wspólny mianownik – brak kreatywności i próba odgrzewki. a ludzie już to słyszeli. po prostu.

to oczywiście nie tylko to. żyjemy w kraju, w którym złodziejstwo bywa usprawiedliwiane. ściąganie muzy z Internetu to kradzież, taka sama, jak pierdolnięcie rodzicom stówki z portfela czy wyjebanie szyby w samochodzie, by wziąć sobie coś ze środka. i tu z kolei zupełny brak skrupułów i przyzwoitości wykazali ci, którzy podobne praktyki regularnie czynili. jeżeli mój przyjaciel jeździ z kolegami z zespołu na kilka koncertów miesięcznie (teraz już mniej), wszędzie ludzie znają teksty ich utworów, nie tylko tych, do których były zrobione teledyski, a ich ostatnia płyta nie przekroczyła 5.000 sprzedaży, to o czym to świadczy?

no, dobrze, koncerty. tych przecież nie da się ściągnąć z netu. a jest ich coraz mniej i coraz mniej ludzi na nie przychodzi. tu niestety pojawią się kolejne zarzuty. na organizacji koncertów można było zarobić, był taki czas i kilka osób, nie tylko artyści, zarobiło. łatwy kawałek chleba? tak zapewne pomyślało sobie kilku organizatorów, których dla potrzeb tego tekstu nazwijmy – „klasycznie z dupy". byle jak, byle gdzie, na byle czym. czterosobowy zespół i dwa mikrofony? zdarzało się. i inne rzeczy też się zdarzały. ale to nie tylko organizatorzy, to również artyści. sztuki odwalane byle jak i byleby dostać hajs i wrócić do siebie. ekscesy alkoholowe i bełkot ze sceny. brak kontaktu z publicznością, bo ile można krzyczeć „zróbcie hałas!". 60 razy na 40 minut koncertu? ludzie to słyszą. widziałem dziesiątki koncertów polskich wykonawców. i z całą odpowiedzialnością stwierdzam – może 10 ma pojęcie o tym, jak powinien wyglądać szoł. reszcie się wydaje. a publiczność? publiczność chciałaby szołu. oczywiście, nie ma pieniędzy na scenografię a la Rammstein, wiadomo. ale to się wszystko musi ruszać, żyć. to jest szołbiznes.

napisałem już gdzieś tutaj, że tak zwane hip-hopolo zostało wypromowane. bo zostało. a ilu wydawców zadbało o właściwą promocję swoich zespołów? chcecie znać prawdę? my w Ślizgu cały czas mamy do czynienia z „promotorami". z całej wydawanej polskiej sceny hip-hop może 15% artystów w ogóle miało jakichś reprezentantów, informację, ktoś podejmował rozmowy, myślał, jak wypromować płytę, trasę, teledysk. najczęściej działano w myśl zasady – samo się zrobi, jest boom na rap, mam samograja. mój artysta jest już znany albo ma na płycie znanego kolegę, który się pojawi w teledysku. a budżety promocyjne, o ile w ogóle były, zostawały przejadane przez artystów. tych można do pewnego stopnia zrozumieć. marny procent ze sprzedaży płyt plus marna sprzedaż powoduje, że na koncie wciąż jest błysk pustki. zrobi się więc taniej teledysk, tego się nie zrobi, tamto może ktoś pomoże za darmo. wykupienie reklamy na łamach magazynu, w muzycznej telewizji, w radiu? w ostatnich latach znam KILKA takich przypadków. i uwierzcie mi, to wcale nie są wielkie koszty, naprawdę. tylko że wielu wychodziło z założenia – po co? tak działało i działa nadal wielu polskich wydawców. szczerze potem zdziwionych, że „pewniak" im się nie sprzedał...

co zaś do produktów, które mają być sprzedawane. napisałem już, że mało ostatnio rzeczy świeżych, ciekawych, sporo za to kolejnych odgrzewek i lansowania czegoś, co już tak naprawdę było. może nawet i niezłych w sumie płyt, ale z pewnością nie porywających. czy w Polsce w ogóle istnieje instytucja „producenta wykonawczego"? czy z artystami pracują ludzie, którzy udzielaliby wskazówek, mieli dystans do materiału, podpowiedzieli coś? nie. dlaczego? bo nasi artyści najczęściej wszystko wiedzą najlepiej, a sugestie, nawet delikatne, uznają za atak na siebie. dobra, może być i tak. ale spójrzcie za Ocean, gdzie wychodzą płyty świeże, hitowe, gdzie wciąż czynione są poszukiwania, nawet przez „pewniaków". instytucja „executive producer" to jeden z podstawowych elementów powstawania materiału. każdego muzycznego materiału. ludzie tacy jak Rick Rubin, Dave Jerden, Timbaland czy Pharrell biorą często wielkie pieniądze nie za komponowanie muzyki, tylko za pracę i udzielanie wskazówek w studiu, podczas nagrywania albumów. i przez wielkich świata muzyki nie jest to traktowane jako zamach, tylko oczywistość studyjnego procesu twórczego, którego owocem ma być album. i jest to zrozumiałe, bo trudno mieć dystans do własnego aktu twórczego już choćby poprzez fakt, że jest właśnie WŁASNY. u nas jednak wystarczy, że kolega z podwórka poklepie po plecach i powie, że fajne. a potem jest nieprzyjemne zdziwienie.

nie piszę przyjemnych rzeczy, bo wcale nie jest mi przyjemnie. wciąż uważam, że polski rap dostał dużą szansę, gdy pojawiły się możliwości wejścia w konkretny szołbiz. to była szansa i dla wykonawców, i dla polskiego szołbizu, by w końcu zdetronizować nieśmiertelne ikony i ich kolejne klony, dać temu wszystkiemu trochę oddechu, świeżości. a wcale nie trzeba być – tu modne określenie – „sprzedajną kurwą", by żyć z tego i mieć dobrze. wymagało to jednak profesjonalizmu od wszystkich, którzy zajmowali się polskim rapem. zabrakło go, nie oszukujmy się.

jak będzie? jakoś będzie. wierzę w to, co mówi Numer Raz i inni artyści, że to nie koniec, tylko chwilowa stagnacja. ale niech obecna sytuacja będzie również nauczką. coś za coś, tak jest zawsze. ale jeżeli to nie wystarcza, to trzeba po prostu tego „czegoś" włożyć więcej.

KOWALSKI

HIP HOP KEMP 2005



HIP HOP KEMP

W dniach 19-21 sierpnia w czeskim Hradec Kralove odbędzie się kolejna edycja największego rapowego festiwalu we wschodniej Europie – Hip Hop Kempu. Największymi gwiazdami tegorocznej imprezy będą Inspectah Deck (członek legendarnego Wu-Tang Clanu), Masta Ace, The Last Emperor (raper będący przez pewien czas związany z labelem Aftermath samego Dr. Dre), Non Phixion, Kaze, Skinnyman i DJ Vadim ze swym nowym projektem One Self. Polskę reprezentować będą WWO, Pezet/Noon, Kasta Skład, Blady Kris i wyjadacze sceny breakdance Nontoper Mielonka. Hip Hop Kemp to nie tylko doskonałe koncerty, to również dziesiątki imprez towarzyszących i prawdziwe święto wszystkich fanów hip-hopowej kultury. Dokładnych informacji odnośnie festiwalu, zakupu biletów i możliwości dojazdu szukajcie na stronie www.hhk.pl. **(Calak)**

ŚLIZG UWIECZNIONY...

... w pracy licencjackiej! I to na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, na dodatek (Kubanos tam studiował, ale nie skończył, hehe). Temat pracy: „Ślizg. Bibliografia zawartości miesięcznika za lata 2003-2004". Autorka pracy, Gosia, obroniła się na 5! No ładnie. Dzięki Małgosi zapisaliśmy się na kartach historii. Aż nas duma rozpiera!

„Ślizg"

Bibliografia zawartości miesięcznika
za lata 2003-2004

Praca licencjacka
Na kierunku Informacja Naukowa i Bibliotekoznawstwo



Profil CD
epizod #05
PŁOMIEŃ 81
Pezet i Onar

W tym miesiącu Profil CD poświęcamy warszawskim artystom z **Płomienia 81** – Onarowi i Pezetowi. Panowie opowiedzą o przeszłości i przyszłości zespołu oraz wspomną o swoich solowych dokonaniach. Nie dość, że zdynamizowaliśmy materiał, to jeszcze na koniec będziecie mogli usłyszeć kawałek utworu z nowego albumu. Tylko u nas!

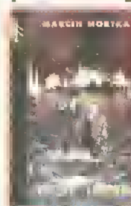
Wprowadziliśmy również prezentację deskorolkową, serdecznie zapraszamy do zapoznania się z krótkim reportażem z tego, co działo się zimą w warszawskim **skateparku Kamuflage** w Blue City.

Część audio zdominowało reggae, o letnim ataku jamajskich dźwięków możecie poczytać w piśmie w reportażu „Dogonić Jamajkę". Mamy dla was „Blades", zaangażowany utwór wrocławskiego **Natural Dread Killaz**, „Pociąg do Babylonu", próbkę umiejętności poznańskiego **Bass Medium Trinity** oraz warszawską **Bandę Tre** na riddimie łódzkiego **Dreadsquadu** w kawałku „Tooon".

Kontynuujemy również zwyczaj publikowania dobrych nielegali w całości. W formacie mp3 usłyszycie album zamojskiego mc **rAsa i Najsbita pt. „rAsgrzewka"**, wypuszczony nakładem 311pro.com. Reportaż odnośnie tej zdolnej nowej twarzy ukaże się w sieci w dniu ukazania się pisma w sklepach na stronie www.slizg.com.pl. Poniżej publikujemy trackliste:

01. Intro
muzyka: Najsbit
02. Zaczynam TerAs
rymy: rAs; muzyka: Najsbit
03. Mój Świat
rymy: rAs; muzyka: Najsbit
04. Na Fali 2
rymy: rAs; muzyka: Najsbit;
skrecz: DJ DemG
05. Bezsenność
rymy: rAs; muzyka: Najsbit
06. InstRumental
muzyka: Najsbit
07. Moja Sprawa
rymy: rAs, Gres; muzyka: Najsbit
08. Stop Klatka
rymy: rAs; muzyka: Najsbit
09. Pax
rymy: rAs, Zeto/FORT-E; muzyka: Najsbit
10. Poeci
rymy: rAs, Gres, KopruchH; muzyka: Najsbit
11. Znasz Ich
rymy: rAs, Temale; muzyka: Najsbit
12. Outro
muzyka: Najsbit
bonus tracks:
13. Papierowi Żołnierze
rymy: rAs; muzyka: Emesde
14. Nastogwiazdki
rymy: rAs; muzyka: Zetena

bazaar
poczytaj sobie



WOJNA RUNÓW
Marcin Mortka
RUNA

Wybuch II wojny światowej przyczynił się do odnowienia rywalizacji dwóch wybitnych badaczy runów: Anglika Harringtona i Niemca Tritza. Obaj – świadomi potęgi tkwiącej w skandynawskich runach – próbują ją okiełznać dla własnych celów, by przyczynić się do zwycięstwa jednej z walczących stron. W krwawe rozrachunki pomiędzy naukowcami oraz wywiadami Anglii i Rzeszy zostanie też wplątany młody polski oficer marynarki, obdarzony tajemniczą mocą, której pochodzenia i przeznaczenia nie rozumie... Bardzo udane połączenie fantasy, horroru, opowieści szpiegowskiej i przygodowej. Może nawet rozmaitych wątków jest tu za dużo, jednak Mortka splata je z wyjątkową biegłością i starannością. Wartka narracja, nieźle zarysowane sylwetki bohaterów, powoli odsłaniana tajemnica, dobre dialogi (to w polskich powieściach popularnych cały czas rzadkość) – czego więcej chcieć od rozrywkowej lektury? Swoją drogą, gdyby Mortka wydał swoją książkę w Stanach, pewnie już sprzedałby prawa do ekranizacji. Nam na razie wystarczy lektura. I dobrze. (jd)



BOGOWIE, HONOR, ANKH-MORPORK
Terry Pratchett
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Gdy na środku Morza Okrągłego nagle wynurza się opustoszała, ale nosząca ślady dawnych cywilizacji wyspa Leshp, prawo do jej własności zaczynają rościć zarówno mieszkańcy Ankh-Morpork jak i potężnego Klatchu. Szlachta szykuje się do podboju wrogów, patrycjusz Vetinari zostaje siłą usunięty ze stanowiska, a na domiar złego podczas oficjalnej wizyty w Ankh-Morpork raniony w zamachu zostaje klatchiański kalif. Wojna wisi w powietrzu, a zapobiec jej może – dość zresztą przypadkowo – dowodzona przez komendanta Vimesa straż miejska. Pratchett często porusza w swoich książkach aktualne tematy, jednak tym razem stworzył książkę ponadczasową. Atrakcyjna fabuła, jak zwykle wypełniona mnóstwem zabawnych wydarzeń, nie przesłania w niczym najważniejszego elementu książki: głośnego apelu przeciwko wojnie, przemocy, nienawiści, ksenofobii i rasizmowi. Owszem, te problemy pojawiały się już we wcześniejszych powieściach o Świecie Dysku. Nigdy jednak głos autora nie był aż tak zdecydowany. Warto go posłuchać. (jd)



FILOZOFIA HORRORU
Noel Carroll
SŁOWO / OBRAZ TERYTORIA

Ponieważ sporo miejsca poświęcam w ślizgowych recenzjach książkowym i filmowym horrorom, to teraz dla odmiany coś o teorii gatunku. Książka amerykańskiego filmoznawcy bada fenomen horroru z naukowego punktu widzenia, rozpatruje wszelkie aspekty, w jakich opowieści grozy mogą być odbierane, rozkłada ich schematy na czynniki pierwsze, a że autor jest przy okazji zagorzałym miłośnikiem gatunku, to wspiera swoje spostrzeżenia licznymi przykładami i cytatami. Nie jest to, rzecz jasna, książka do czytania pobieżnego i choć napisana przystępnym językiem, wymaga skupienia i dość sporej wiedzy na temat filozofii kultury (sporą pomocą jest interesujące posłowie, przybliżające założenia kognitywizmu filmowego). Jednak dla wszystkich fanów grozy, a także dla widzów/czytelników, którzy chcą być bardziej świadomymi odbiorcami popkultury, to pozycja nieoceniona. (jd)



FLINTESENCJA
do hardcore'owców i ich odbiorców (ale nie tylko) cz. 2

W zeszłym miesiącu miałem przyjemność pisać o mankamentach i stereotypach myślowych widocznych w części hardcore'owych nawijek. Jak wspominałem, chwała dobrym hardcore'owym mc, którzy nie wystraszyli się progresu. Na pohybel tym, którzy nie ewoluowali i najpewniej nie ewoluują. Nie łudzę się, że dotrę do nich takim tekstem, gdyż przeważnie zachowują się jak właściciele czaszek, do których dociera się jedynie poprzez trepanację. Ale być może zmuszę do refleksji choćby paru z ich odbiorców. Czy nie żenuje mnie powtarzanie rzeczy dość oczywistych? Owszem, żenuje. Ale, jak to ujął Sokół na Analogii, czasem trzeba powtarzać ogólniki dotyczące elementarnych spraw. Nikt nie nauczy się biegać, skoro nie umie chodzić.

Było już o autocenzurze i autoograniczeniach nakładanych sobie przez ulicznych nawijaczy, było o poezji – słowie najwyraźniej dla nich strasznym. Ale jest słowo jeszcze straszniejsze – technika. Jakby przyjęło się, że ciekawe motanie rymów to domena studentów w okularach z tendencją do nadużywania Internetu i spania ze słownikiem. Słychać jęczenie, że technika zabija przekaz, serce, prawdę, uliczność (tu można sobie dopisać jeszcze wiele szumnych słów o tak szerokich znaczeniach, że już nie wiadomo, co znaczą, ale cały czas cieszą się wielką popularnością). Bzdura! Niezależnie od tego, czy słucha się Game'a, Tupaca, Jadakissa czy Sługa, właściwie sięgając po kogokolwiek z amerykańskiej czołówki, słychać nawarstwianie rymów. I nic dziwnego, bo to element warsztatu. Powiedział kiedyś jakiś raper, że flow jest w napisanym tekście. Wielokrotne rymy potrafią po prostu uczynić go bardziej rytmicznym, sprawić, że więcej głosek będzie współgrać i będzie to fajniej brzmieć. Nigdy nie był i nie będzie ze mnie raper, ale zauważenie tego wymaga zaledwie odrobiny słuchu i zrozumienia dla języka. To jedna z rzeczy, które tworzą wrażenie melodii w tym, co laicy określiliby jako „klepanie tekstu". Hip-hop to jednak muzyka, najpierw ucho odbiera ciąg dźwięków, potem mózg dopisuje do nich sens. Tyle. Poza tym, sednem rapu jest rywalizacja. Mc's się pojedynkują, kombinują z treścią, ale da się w tej materii eksperymentować tylko do pewnego stopnia, więc kombinują z formą. Można zmienić tempo nawijania, można bawić się akcentami, można celowo wyjść poza bit, wreszcie można zagrać techniką. To jest wyzwanie – z jednej strony mocno wrzucić, z drugiej pokazać misterię w klejeniu wyrazów, kumulowaniu rymów. Pokazać, że jest się mistrzem ceremonii. Jeśli myślisz inaczej, pojedynki to dla ciebie farsa, bo dla zioma masz tylko miłość, przyjaźń, dobre słowo, to walczysz z samym sobą, walczysz o bycie lepszym. Jeśli chcesz, możesz rymować sobie czasowniki choćby przez całą zwrotkę. Tyle, że trzeba mieć świadomość, że pięcioletni Jasio, który ma w przedszkolu rytmikę, też będzie tak umiał, mimo że nie jest sobie jeszcze w stanie sam założyć kalesonów. I umiał tak będzie też sześćdziesięcioletni Gienio, jak już się upije, zrzyga na trawnik i da radę z niego wstać. Tak samo krawiec może szyć tylko fastrygą, a dowolny typ napisać książkę bez używania zdań złożonych (tyle, że nikt nie powinien mu jej wydać). Są oczywiście mc, którzy uważają, że kiedy składa się teksty fajne technicznie, to cierpi na tym treść. Ale wtedy nie należy winić techniki, tylko własny brak umiejętności. To wydaje się takie proste, że niby wokaliści męczą się, uczą się fachu latami, pracują nad harmonią, emisją głosu, dykcją i milionem rzeczy, a raperem można sobie zostać ot tak, z ulicy. Czas skończyć z takim myśleniem, bo to właśnie dzięki takim raperom bez umiejętności, w tym raperom „ulicznym" (gdyby nie profanowali hardcore'u i nie zanudzili ludzi na śmierć swoim buractwem, pustą agresją i absolutną nieumiejętnością zachowania się wobec mediów, hiphopolo nie miałoby nigdy racji bytu) zawdzięczamy obecną recesję. Czas nauczyć się wymagać. Powinno się wymagać właściwej samooceny od słabych mc, ale to nierealne – muszą wymrzeć albo się przekwalifikować. „Truskulowcy" składający poczwórne rymy, których nie umieją wyrymować w tempo, podniecone dzieciaki, z tych, co nic w życiu nie przeżyły, ale chcą nawijać i tym niczym dzielić się w tekstach – Anglia czeka na kelnerów. „Hardcore'owcy", którzy przed nagrywką piją i palą, żeby mieć groźniejszy głos, a uciekając przed strażą miejską zgubili poczucie rytmu, a nawet wiedzę ze szkoły podstawowej dotyczącą akcentowania czy odmiany przez przypadki – być może Francja już nie czeka na hydraulików, ale warto poszukać gdzie indziej. Drodzy czytelnicy, płyt i tak nie kupujecie, nawet tych dobrych. Może więc warto zaapelować, żebyście nie ściągali byle czego, tylko po to, żeby odreagować swoje niepowodzenia w „dyskusjach" i pocieszyć się tym, że istnieją więksi nieudacznicy. My musimy, mamy taki zawód. Ale wy dobierajcie kompletnych raperów, resztę pozostawiając kompletnym idiotom lejącym wodę na młyn beznadziei.

FLINTSTONE

bazaar
gadżety



koszula MC

Głęboka czerń materiału i jaskrawa czerwień wzoru z chińskim smokiem. Ta koszula budzi respekt u ziomów i zachwyt u panienek. Dobre wdzianko, jeśli chcesz pokazać, że jesteś prawdziwym graczem.



koszulki MASS

Nie musimy Wam przypominać, że MASS zasypał nas znowu w sezonie letnim ogromną ilością wzorów koszulek, ale szczególną uwagę zwracamy na sportową linię, którą od lat ta firma proponuje w swojej ofercie. Z całej kolekcji prezentujemy Wam tylko jeden, ale jakże efektowny model. Bardzo przypadł nam do gustu kolorowy, odważny design dla tych, którzy chcą się wyróżnić pośród szarych bloków. A znakomita jakość oraz świetne nadruki i aplikacje to kolejny, tym razem praktyczny argument, by stać się posiadaczem tych t-shirtów!



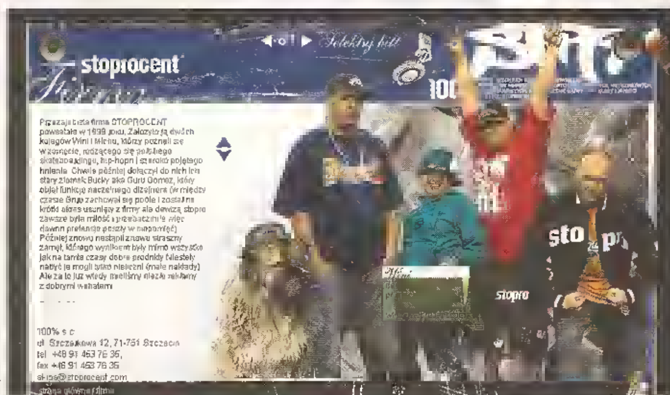
t-shirt 3STYLE

Propozycja nie tylko dla graficiarzy. Wygodna i porządnie uszyta, nosi się wręcz sama. Ciekawy wzór przykuje uwagę każdej dziewczyny. Tylko nie udawajcie znanego writera, jeśli się na tym nie znacie, bo prawda i tak wyjdzie na jaw. Ale jeśli będziecie nosić ją bez ściemy, to wszystko OK.



bokserki ERROR

Nie ma co, czasami pokazujemy też nieco bardziej intymne części garderoby. W końcu każdy (chyba...) z nas je nosi. Bokserki od Errora są wygodne, przewiewne, a na dodatek na nogawce mają malutką kieszonkę, w której idealnie mieści się mały gadżet, przypominający, że seks warto uprawiać bezpiecznie! Wesołych wakacji. Elo!



www.stoprocent.com

Internetowa witryna znanego producenta ciuchów na pewno przykuwa uwagę. Ładnie dopracowana pod względem graficznym, fajne flashowe animacje i dobrze dobrane dźwięki. Możecie się sporo dowiedzieć o firmie, jej produktach i ofercie. Warto zajrzeć.

WISHOT

Skateborn by California



Z PASJĄ,
BEZ KOMPROMISU
...I PO BETONIE!





SZUKAJ
W OZNACZONYCH
SKLEPACH

www.wishot.pl



Ricardo Fonseca
blunt slide
Opole



Philip Shuster
fs. pivot backside out
Bródno Banks



Vincent Bressol
sw. croock's
[illegible]chowa



Polski skateboarding przeżywa ostatnio swój renesans. Świadczą o tym między innymi licznie organizowane imprezy oraz – bardzo ostatnio popularne – toury

tekst i foto Gabor Nagy

Jeszcze całkiem niedawno znani skaterzy dawali z siebie wszystko na Etniesie, a chwilę później odwiedzili nas żądni naszych spotów oraz swojskiego jadła deskorolkowcy z Cliche Skateboards.

Jeżeli wiecie, to nie czytajcie, a jeżeli nie słyszeliście, to w skrócie nadmienię Wam, że Cliche pochodzi z Francji i jest jedną z czołowych marek europejskich. W jej teamie znaleźli się czołowi skaterzy starego kontynentu. Nasz kraj odwiedzili Jeremie Daclin, Ricardo Fonseca, Vincent Bressol, Thibaud Fradin, Philipp Schuster, Alex w roli fotografa oraz Fred jako filmowiec. O poczynaniach tego ostatniego przeczytacie, a przede wszystkim zobaczycie na jego stronie www.frenchfred.com. Polskie media reprezentował Gabor, a pieczę nad całokształtem touru sprawował Piotr Zasępa (Monument), dzięki któremu całe wydarzenie mogło dojść do skutku.

OK, wszyscy przedstawieni, pora opisać poczynania naszej zwariowanej brygady na ogólnopolskich spotach. Na pierwszy ogień poszły raile w Krakowie, o których niestety wiem niewiele, ponieważ w tym czasie odpoczywałem po zawodach Etniesa w moim przytulnym domku. Kolejnym miastem, w którym mieliśmy okazję się znaleźć, była Warszawa. Tutaj odwiedziliśmy m.in. Witosa, gdzie Ricardo smithgrindował wysoki murek przy 4 schodach, a Philip ślizgał się na swoim tailu po tej samej przeszkodzie, po czym schodził z niej kickflipem i jechał dalej do Sheratona na Viener schnitzel... Praski pomnik, na którym „ku chwale ojczyzny" Thibaud kleił nollie cabaleriale przez marmurową piramidę. Tutaj spotkaliśmy także przyjaciół z Francji i muszę przyznać, że wytworzył się całkiem fajny klimacik. Ricardo latał sobie na pełnym luzie sw. vaerial heelflipem aż na proste, a pozostali kleili sekwy. Sielankową atmosferę przerwali tubylcy, z którymi nie chcieliśmy nawiązywać bliższych kontaktów, a gdy powietrze zrobiło się gęste ruszyliśmy na kolejne spoty... Byliśmy pod Pałacem Kultury, basenach (te ze zjeżdżalnią i piramidą z mureczkiem), oraz chłopaki dali krótkie demo w skateparku Kamuflage. Podczas naszego pobytu w stolicy team Cliche miał okazję pojeździć także na Bródno-Bankach, gdzie Philipp złapał zajawkę na murek ustawiony na szczycie basenu. Poleciały roczne stale, pivot to fakie oraz krew z jego łokcia... Austriacki team rider pokazał również transfer 36flipa na dachach (cytadela? jakieś bunkry?)...

Warszawa została zaliczona, pora przenieść się do stolicy polskiej piosenki, Opola, gdzie Cliche tour zawitał do stalowego skateparku. Hitem tego miejsca okazały się łączone minirampy, które z wielką pasją grindował i slide'ował Jeremie. Skoro mowa o jakichś grindach, to kolejne nasze ruchy skierowaliśmy na opolskie raile. Tutaj Vincent pykał sobie K-grinda na wielkiej rurze, Ricardo lipslide i tailblunt. Ten pierwszy zaliczył tu również bardzo duży gap, na który nie zwracaliśmy nawet uwagi, ponieważ nie wyobrażaliśmy sobie skoku przez niego.

Kolejnym punktem podróży okazała się Jasna Góra i sklepy z dewocjonaliami. Nie, nie, nie chcieliśmy kupić tu dwumetrowej gipsowej Maryji, kupiliśmy za to za 50 zł możliwość półgodzinnej jazdy na doublesecie, murku i płaskowniku przy schodkach. Thibaud robił tu sw. tailslide'a, noseslide'a, Philipp – smith grinda, salad grinda, po płaskowniku w dół, Vinc – sw. k-grind. Pechowcem tego wieczora okazał się Ricardo. Jego upadek odczuli wszyscy w promieniu kilku metrów, na szczęście sanktuarium przetrwało...

Po nocy spędzonej w zielonogórskiej dyskotece nastąpił czas na demo w tym właśnie mieście. Na team Cliche czekało tu wielu spragnionych trików skejcików (widać, skąd pochodzi Monument Dystrybucja), a przez przerwę w tutejszym pomniku poleciały chyba wszystkie tricki! Bohaterem tego spotu okazał się Thibaud, którego sw. kickflip przez gap na manual został nagrodzony gromkimi brawami. Jeremie wykonał tzw. 360 rączkę z małej, ale bardzo trudnej wybitki i usiłował dojechać na samą górę olbrzymich marmurowych quaterów...

Kolejne chwile spędziliśmy w drodze do Katowic, aby na miejscu spotkać się z naprawdę gorącym przyjęciem lokalnych skejcików. Znów Thibaud pykał sobie nosegrind flip off na trzypaletowym murku Paderewy, pod Biblioteką skleił kickflip bs 50-50, po czym zostaliśmy wykopani z tego miejsca przez ochroniarzy... A mało brakowało i ujrzelibyśmy flip na 5-0! Ale mimo wszystko najlepsze mieliśmy oglądać trochę później, gdy na pomniku Piłsudskiego Thibaud sunął tailbluntslidem to fakie!!! To było naprawdę zajebiste zakończenie jeszcze lepszego touru. Dzięki Monument, dzięki Cliche za niezapomniany tydzień na polskich spotach.



jackson vs tyson

piękna i bestia

O tym, że są z dwóch różnych zupełnie bajek, nie trzeba chyba specjalnie przekonywać. O tym, że niedawno mocnym i niesmacznym akcentem zakończyli swoje kariery – również. Łączy ich jeszcze wspólne imię oraz to, że przez długie lata działali na masową wyobraźnię milionów ludzi

Tekst Kowal

***

Niszczył przeciwników zanim na dobre zdążyli się rozgrzać. Większość przegrywała z nim jeszcze przed pierwszym gongiem. Urywał głowy, a naszemu mistrzowi, Gołocie Andrzejowi, złamał kość policzkową w dziewięciu miejscach. Na zawsze pozostanie legendą wagi ciężkiej, choć przecież jego bokserska agonia trwała długo i odbywała się w zupełnie nieciekawych okolicznościach. A to dlatego, że lubił wypić i poszaleć, pieniądze wydawał szybciej, niż zarabiał, a do seksu miał podejście mocno konsumpcyjne.

Nasz drugi bohater z seksem miał i ma raczej poważne problemy, choć przez niemal trzy dekady pokazywał wszystkim konkurentom, jak robi się hity, które jeszcze przed premierą były na pierwszym miejscu listy przebojów. Gdy dzieciaki w jego wieku bawiły się w piaskownicy, on miał już na swoim koncie kilka wielkich przebojów, a na koncie w banku kilka milionów dolarów. Brak dzieciństwa napieprzył trochę w główce – operacje plastyczne, do których nigdy się nie przyznał i zabawa w dziecko, choć metryka sugerowałaby raczej szukanie pomysłów na emeryturę.

Tańczący Michael

Wiecie, jak Michael Jackson ma na drugie imię? Józef. No, Joseph, ale i tak do niego nie pasuje. Na świat przyszedł w 1958 roku, jako piąte dziecko w rodzinie, w której jeszcze kilka pociech miało się pojawić. Rodzina była mocno religijna, a ponieważ Świadkowie Jehowy mają różne dziwne pomysły na życie, dzieciaki były mocno odizolowane od rówieśników. Życie nie upływało jednak Michaelowi i jego rodzeństwu na modlitwie, tylko na nauce tańca i śpiewu. Zespół Jackson 5 był efektem tych nauk, a „I Want You Back," „ABC," „The Love You Save" i „I'll Be There" – cztery hity sklasyfikowane w 1970 na amerykańskich listach na pozycji pierwszej – pokazują, że nauka w las nie poszła. Lata 70. to kolejne hity i coraz mocniejsze parcie Michaela na karierę solową. Z rodzeństwa talent miał największy, a tatuś pilnował, żeby przypadkiem tego talentu nie zmarnować – kasa to kasa.

Choć nagrywał solowe single, a pod koniec lat 70. błysnął albumem Off The Wall, nie przestawał grywać z braćmi. Ci w końcu nie wytrzymali, bo choć zespół nazywał się The Jacksons, wszyscy mówili tylko o Michaelu. Kariera solowa była mu pisana od zawsze, ale nikt nie przypuszczał, że wydany w 1982 roku album Thriller zmieni nie do poznania nie tylko życie Jacksona, ale i zapisze się na zawsze w historii muzyki. Hit na hicie hit poganiał, a piosenki z płyty są szlagierami do dziś.

Najważniejsza data w życiu Jacksona? 16 maja 1983 W tym dniu podczas koncertu z okazji 25-lecia firmy Motown pokazał światu swój „moonwalk", nieprawdopodobny krok taneczny, a świat posłusznie oszalał. Jackson był na szczycie, wyżej nie dało się już wejść. Nagród nie był w stanie zliczyć, a do dziś na świecie sprzedało się 45 milionów kopii Thrillera.

Nie ma jednak nic za darmo. Kariera toczyła się dalej, ludzie szaleli, ale z artystą działy się dziwne rzeczy. Nigdy nie był otwarty na media, wywiadów udzielał rzadko. A media musiały o nim informować, bo – bez przesady – był jednym z najpopularniejszych ludzi na naszej planecie. Stąd też miliony plotek, które zresztą Jackson sam podkarmiał. Zmieniał się jego wygląd – bielała skóra, twarz miała coraz to inne rysy. Oficjalny powód – rzadka choroba, ale ingerencję chirurgiczną czuć było nawet przez ekran telewizora. Olbrzymie rancho, które zamienił w lunapark. Chirurgiczna maska na twarzy i sen w komorze tlenowej. Ratunku! UFO!

Wydany w 1986 roku Bad nie sprzedał się tak dobrze, jak Thriller, ale za to miał aż pięć singli, które wylądowały na pierwszym miejscu list przebojów. Znowu zamieszanie, znowu kontrowersje, ale siła artystyczna zdecydowanie słabsza. Z kolei wydany na początku lat 90. Dangerous porządził chwilę na listach, ale został z nich zmieciony przez Nevermind Nirvany. Choć okrzyknięty Królem Popu, Jackson nie błyszczał, jak kiedyś. A w dodatku...

... w 1993 roku został oskarżony o molestowanie 13-letniego chłopca, do którego miało dojść na jego słynnym rancho Neverland. Jackson zawsze powtarzał, że kocha dzieci, dobrze czuje się w ich towarzystwie, a kontakt z nimi wynagradza mu brak prawdziwego dzieciństwa. Cóż, przy oskarżeniach o pedofilię, nie jest to najlepszy element PR-u... Jackson wykaraskał się z tej sprawy, ale kilka lat później oskarżenia wróciły. Finał znamy z telewizji – niewinny. Jednak nawet jeden z sędziów przysięgłych, który wydał werdykt uniewinniający, przyznał, że w jego opinii Jackson czysty nie jest, ale brak przekonujących dowodów zmusił przysięgłych do takiego orzeczenia. Sprawa niby jest zakończona, ale można usłyszeć, że będą kolejne. A rzecznicy Jacksona zapowiedzieli, że Król Popu nie wyklucza wyprowadzki ze Stanów.

Tłukący Mike

Z naszym drugim Michaelem sprawa jest zdecydowanie prostsza (na marginesie – uwierzycie, że Tyson ma na drugie imię Gerard?). Urodził się na nowojorskim Brooklynie, w rodzinie z problemami. Biegał po dzielnicy i stwarzał problemy, co kilka razy zakończyło się dla niego niezbyt przyjemnymi kontaktami z policją. Nie wiadomo, gdzie skończyłby Mike, gdyby nie fakt, że w wieku lat 13 zainteresował się boksem. Posturę miał wtedy 20-latka (i to dobrze zbudowanego), a większość konfliktów na ulicy kończył nokautując przeciwników. Idealny materiał na boksera.

6 marca 1985 roku, niecałe dwa lata po „moonwalku" Jacksona, Tyson stoczył swoją pierwszą profesjonalną walkę w ringu. Trwała kilkadziesiąt sekund. Kolejne 15 walk wyglądało podobnie, wszystkie kończyły się nokautami przeciwników, rzadko który z nich wytrzymywał dłużej niż jedną rundę. Rok później stoczył 12 walk, a w 13. po dwóch rundach zmiótł z ringu Trevora Berbicka i został najmłodszym w historii mistrzem świata w wadze ciężkiej.

To była bokserska konfederacja WBC, tytuły WBA i IBF doszły rok później. Przeciwników demolował, jak chciał, robiąc to z gracją rosyjskiego czołgu. Świat oszalał – Tysonmania była faktem.

Maniakiem Tyson był z pewnością. Zarabiał miliony dolarów, które niemal natychmiast wydawał. Miał kilkadziesiąt samochodów, kilka rezydencji, kupił sobie nawet tygrysa. Imprezy, zabawy, dwór zauszników. Krótkie małżeństwo z gorącą gwiazdką filmową, Robin Givens, i dziesiątki trwających chwilę romansów. Miał świadomość, że nikt nie jest w stanie sprostać jego sile, dlatego nie przesadzał z treningiem. Żył chwilą, ale szybko okazało się, że to może mieć dla niego nieprzyjemne skutki. W 1990 roku stracił wszystkie swoje pasy mistrzowskie na rzecz niejakiego Jamesa „Bustera" Douglasa. Znacie człowieka? Dopieprzył Tysonowi w dziesiątej rundzie, dość poważnie obijając. Douglas nie był wyjątkowym bokserem, ale przynajmniej potrenował przed walką. Tyson niekoniecznie.

Mike na chwilę doszedł do siebie, znów wziął się za trening, zwłaszcza, że miliony dolarów szybko topniały. Czekał na walkę z nowym mistrzem, Evanderem Holyfieldem, uważanym w 1991 roku za najlepszego boksera na świecie, ale się nie doczekał. Desiree Washington, Miss Black America, oskarżyła go o gwałt, a sąd przyznał jej rację. Do 1995 roku Tyson siedział w pudle, gdzie może i boksował, ale nie za duże pieniądze i bez tytułów mistrzowskich.

Po warunkowym wyjściu na wolność walczył dalej. Odzyskał jeden z tytułów, ten WBC, pokonując Franka Bruno, i wciąż czekał na walkę z Holyfieldem. Zdobył jeszcze pas WBA, ale kolejnego już nie – Holyfield wygrał z nim, nokautując w jedenastej rundzie. W czerwcu 1997 roku doszło do rewanżu. Dla Tysona, coraz bliższego bankructwa, była to walka o wszystko. Szybko okazało się jednak, że Holyfield jest po prostu lepszy. I wtedy Tyson pokazał światu, skąd wziął się jego przydomek „Bestia". W trzeciej rundzie wypluł ochraniacz i odgryzł Holyfieldowi kawałek ucha. Sędzia ostrzegł go, ale po chwili Tyson dobrał się przeciwnikowi do... drugiego ucha. Rok zawieszenia i 3 miliony dolarów kary.

To jeszcze nie był koniec, ale z pewnością jego początek. Tyson znów trafił na kilka miesięcy do więzienia, oskarżony o pobicie ludzi, z którymi miał wypadek samochodowy. Po wyjściu z puszki kolejne walki – nieistotne wygrane, te ważne, przegrane. Spuszczenie manta Gołocie czy Cliffordowi Etienne dawało mało, baty od Lennoxa Lewisa zabierały wszystko. Wszystko, bo w roku 2003 Tyson musiał ogłosić bankructwo. Fachowcy obliczyli, że w czasie swojej kariery zarobił ponad 300 milionów dolarów. I co z tego?

Kilka miesięcy temu pojawiły się plotki, że niemal 40-letni Tyson spróbuje swoich sił w walkach w klatce. On jednak jeszcze raz próbował wrócić na ring. Kilka strzałów w mazak od nikomu nieznanego irlandzkiego boksera zmusiło go do powiedzenia na konferencji prasowej: „Zbyt kocham boks, by dalej go uprawiać...".

Było, minęło...

Byli gwiazdami, mieli wszystko i niemal wszystko stracili. Jackson przeszarżował z ekstrawagancją, a w pewnym momencie jego kariery okazało się, że brak mu pomysłów na to, by podbijać muzyczną scenę dekada po dekadzie. Tyson zniszczyłby z pewnością większą ilość przeciwników, gdyby pamiętał, że sport wymaga treningu, a seks akceptacji drugiej osoby. Jacksonowi zostało niewiele z obliczanego na miliard dolarów majątku; Tyson stracił mniej, ale wyrzucone w błoto 300 milionów dolarów też robi wrażenie.

Michael Jackson niedawno spotkał się we Francji ze sztabem ludzi, którzy mieliby zaplanować jego wielki powrót na scenę. W ten powrót nie wierzy jednak nikt. Tyson będzie musiał obijać przeciwników w którejś z klatek konfederacji ultimate fightingu, bo do drzwi pukają wierzyciele. To budzi emocje, ale już nie takie...



jurassic 5
chali 2na

Chali 2na to raper obdarzony charakterystycznym niskim głosem. Zdobył popularność jako członek trueschoolowej grupy z zachodniego wybrzeża, Jurassic 5 (swoją drogą, media lubią go nazywać liderem zespołu, choć on sam nigdy tego nie potwierdził). Całkiem niedawno do sklepów trafił „Fish Market"- album, na którym Tuna skompletował swoje gościnne występy u różnych wykonawców. O tym, skąd taki pomysł i czy była to tylko przystawka mająca rozbudzić apetyt na więcej, opowiedział nam w wywiadzie, który możecie przeczytać poniżej

tekst Cess & Flint

Pierwsze pytanie jest dość oczywiste. Czy powinniśmy traktować „Fish Market" jako zapowiedź solowego albumu?
Tak, tak. To coś w rodzaju zapowiedzi, trochę innej niż zazwyczaj, bo nie jest to solo ani żaden mixtape. To taki znak, który ostrzega ludzi, że ja nagrywam także utwory poza grupą J5. To także sposób, by na jednym krążku zebrać wszystkie te numery, w których wystąpiłem gościnnie. Jak wiadomo, nie jest to klasyczny album, ale taka próba solowej wypowiedzi przed ukazaniem się właściwej płyty.
A co przygotowujesz na solówkę?
Jest już niemal skończona, zostało mi jeszcze tylko kilka szczegółów do zrobienia. Generalnie ta płyta będzie rozwinięciem tego, kim jestem jako poeta. Staram się jakoś zdefiniować Chaliego Tunę dla fanów Jurassic 5 i dla tych, którzy wcześniej o mnie nie słyszeli i nie wiedzą, że jestem jedną szóstą J5. Gościnnie pojawią się tacy ludzie jak Anthony Hamilton, Raphael Sadeeq, Beenie Man, Supernatural. Jednym słowem wszyscy, którzy mogli uzupełnić historie, które chciałem opowiedzieć.
Czy tematyka poruszana na własnym albumie będzie inna?
Wiesz, to nie jest do końca takie samo brzmienie, które słyszałaś na Jurassic 5. Mój album to świadome odbieganie od niego. W końcu, jeśli ktoś chce słuchać J5, kupuje sobie J5. Starałem się dać tej płycie dużo duszy, dużo soulu, melodyjności, pojawią się żywe instrumenty. Tekstowo będzie to wyprawa w głąb mojej świadomości i wydobywanie jej na wierzch. Nie wiem, czy to będzie brzmiało jak J5, czy jak coś innego, a może będzie zupełnie różne? Definitywnie jest efektem szukania siebie.
J5 ma aż dwóch DJ'ów. Dlaczego musiałeś się zwrócić się do DJ'a Slum Village, żeby zmiksował utwory na „Fish Market"?
Daz jest moim dobrym znajomym. W czasie, kiedy przygotowywałem obie swoje płyty, Nu Mark i Cut Chemist pracowali nad własnymi solówkami, więc naprawdę nie mieli czasu, żeby mi pomóc. A mówiąc o Dazie – obaj jesteśmy ze środkowego zachodu, w zasadzie jesteśmy jak bracia, więc chcieliśmy coś razem nagrać.
Nagrałeś w swoim życiu wiele featuringów. Z kim współpracowało Ci się najlepiej?
Bardzo dobrze pracowało mi się z Roots Manuvą, świetnie się bawiłem także współpracując z Mikiem Shinodą z Linkin Parku. Duuuużo zabawy było także przy nagrywaniu numeru ze Swollen Members. Kooperacja między mną i Ozomatli przy okazji „Who's to blame?" to prawdopodobnie mój ulubiony gościnny występ. Ma w sobie dużo dancehallowego rytmu.
Skoro już mówimy o Ozomatli, to jest coś więcej niż tylko muzyka, to coś jak ruch społeczny. Wspierałeś tę ideę, ale ostatnio chyba nie jest między Wami dobrze?
Miałem straszne problemy z ich managerem, zwłaszcza, że wtedy też przygotowywałem swój materiał. Sytuacja nie była zbyt zdrowa, musiałem więc zrobić kilka kroków w bok, odsunąć się od tego zamieszania. Nie chcę mieć kłopotów. Jednak wszyscy członkowie zespołu są moimi kolegami, bardzo się lubimy i zamieszanie nie wpłynęło negatywnie na nasze stosunki.
To dobrze, wróćmy zatem do wspomnianego Roots Manuvy. To była wielka niespodzianka – ciemny, eksperymentalny brytyjski hip-hop spotkał się ze słonecznym trueschoolem z Kalifornii...
(Śmiech) Byłem fanem Roots Manuvy od momentu, kiedy go usłyszałem. To było podczas naszego tournee po Europie. Słyszałem różne mixtape'y, gdzie pojawiał się jego głos, jakieś pojedyncze utwory w radiu. I byłem zaskoczony, zastanawiałem się, któż to może być. Kim jest ten typ? Jak mogę się z nim skontaktować, bo podoba mi się jego materiał? Wreszcie to on do mnie zadzwonił i zaproponował współpracę, czym mnie bardzo ucieszył.
Razem ze swoimi przyjaciółmi z Jurassic 5 zdecydowaliście się przywrócić stare, dobre brzmienia hip-hopowe i nadać im nową formę. Co Was do tego popchnęło?
To nie była jakaś głęboka potrzeba, nie było wielkich prób. Po prostu zaczęliśmy robić hip-hop, który się nam podoba. Nie pchaliśmy się na siłę do tego całego oldschoolowego ruchu, tylko nagraliśmy numery, które brzmiały tak, jak nam pasowało.
A czy teraz jest jeszcze miejsce dla takiego brzmienia?
Mam nadzieję, że nadal jest miejsce dla eksperymentów z hip-hopem, choćby takich, jakie zrobiło Ozomatli. Mnie cieszy, że kiedy zaczynaliśmy wspólnie pod szyldem J5, znalazło się miejsce dla zespołu takiego jak nasz, że z grupy podziemnej, lokalnej, staliśmy się rozpoznawalni, mogliśmy zagrać wiele koncertów, bez wpasowywania się w jakieś sztywne ramy z naszą twórczością.
Twój niski, głęboki głos jest legendarny. Jest jeszcze kilku takich MC's, którzy brzmią podobnie, na przykład Saatir czy Lord Have Mercy. Myślałeś może o nagraniu wspólnego kawałka?
Rozmawiałem o tym wczoraj z moim przyjacielem. Bardzo bym chciał nagrać taki numer z raperem pokroju Lorda Have Mercy. Jestem fanem jego głosu i twórczości, tylko nie wiem, czy on to samo myśli o mnie (śmiech). Więc jeśli tylko by się zgodził, ja byłbym zachwycony.
Czy miałeś propozycję, żeby użyczać swojego głosu do kreskówek lub gier komputerowych?
Już kilka razy zdarzyło mi się podkładać głos w kreskówkach, myślę o tym, by robić to w przyszłości, wtedy, kiedy nie będę już mógł rapować (śmiech).
A możesz nam zdradzić, w jakiej kreskówce się pojawiłeś?
Nazywała się „A Night before Christmas", była o elfie, który siedział w garażu Świętego Mikołaja i robił zabawki.
Uroczo. W takim razie ostatnie pytanie, które nie może być poważne. Czy Ty, Chali „Tuńczyk", lubisz owoce morza?
Tak oczywiście. Jadam je często i chętnie.



CHALI 2NA
FISH MARKET
THE OFFICIAL MIXTAPE

Ten mikstejp jest rozgrzewaczem przed oficjalnie wydaną solową płytą jednego z emcees J5 (już wkrótce). Skonstruowany jest prostą metodą, bowiem DJ Dez ładnie zmiksował wszystkie kawałki, w których 2na pojawił się gościnnie. Rozpiętość spora, bowiem spotkamy tu Roots Manuvę, Rasco, Evidence'a wraz ze Swollen Members, kolegów z J5, czy w końcu Linkin Park (a listę gości można by ciągnąć jeszcze przez dłuższą chwilę). Wszystko to na najwyższym poziomie, da się wyczuć, że emcee tej klasy nie współpracowałby z przypadkowcami. Spotkałem się już w życiu z wieloma mikstejpami, ten zdecydowanie otrzymuje tytuł jednego z najbardziej wypasionych. A to, że trochę tu za mało samego Chaliego, prawdopodobnie wynagrodzi nam jego solówka. W każdym razie – perełka! **k.**

koniec hip-hopu?!

tekst Andrzej Cała, Marcin Flint (CS)

Wydawcy

„Pojawienie się wielu dobrych albumów HH wydanych w 2005 na liście OLiS i to na wysokich pozycjach (top 10 – top 30) świadczy o tym, że hip-hop, nie tylko polski, ma coraz większy udział w polskim rynku muzycznym", twierdzi Piotr Sadowski z Embargo Nagrania. Czyżby? Niestety, notowania bieżące dotyczą sprzedaży tygodniowej i nie pozwalają na globalne spojrzenie. Są też równie niekonkretne podsumowania poprzednich miesięcy, ujęte w formie pozbawionych danych liczbowych pozycji. „Tylko właściciel praw producenckich może podać dane liczbowe odnośnie sprzedaży", informuje pani Zofia Skubikowska ze ZPAV-u, odsyłając do ewentualnego wywnioskowania czegoś z proporcji sprzedaży jednej pozycji do drugiej. W momencie, gdy piszę artykuł, najświeższe informacje pochodzą z okresu 13.06-19.06. POE znajduje się na 29. miejscu, Jeden Osiem L na 41. i są to jedyne pozycje hip-hopowe. Przeglądam zestawienie za maj 2005. Tam Jeden Osiem L notowane jest na trzecim miejscu, ze sprzedażą stanowiącą jedną piątą sprzedaży otwierającej ranking składanki ze Smooth Jazzem. Kolejne (i ostatnie spośród stu tytułów) polskie rap pozycje? Red i Spinache – dwie setne (!) sprzedaży powyższej kompilacji, oraz Pokahontaz – jedna setna. Wyniki więc nie są najlepsze, co więcej wyjątkowo łatwo nimi manipulować. „Jak widzę, jak się sprzedaje Jeden Osiem L, to mnie krew zalewa. Bo co ma się, kurwa, sprzedać, jak nie Jeden Osiem L?! Dwadzieścia tysięcy wyszło na sklepy, a sprzedało się półtora tysiąca sztuk. Polak wchodzi do Empiku i gdzie nie spojrzy – Jeden Osiem L. Podejdzie, weźmie, może kupi... Płyty są zamówione na prawo zwrotu. Czyli jeśli nie sprzeda się przez trzy miesiące, to Universal dostanie na ryj 18000 płyt. Ale Universal ma pieniądze, by zaryzykować" – piekli się anonimowy wydawca. A słuchacz nie ma szans w jakikolwiek sposób zweryfikować wyników. Universal potwierdza wyjście 20 tysięcy płyty na sklepy, póki co nie ma zwrotów i to wszystko, co może powiedzieć. Próbowaliśmy uzyskać dane od sieci Empik – po kilkukrotnym przekierowywaniu na inne numery telefonów trafiliśmy w końcu na dyrektora produktu, który zobowiązał się do przysłania danych mailem. Po czym oczywiście ich nie przysłał. Musimy więc bazować na wynikach podawanych przez wydawców, jak pokazuje doświadczenie – często „podkoloryzowanych". „W Polsce mamy sytuację dosyć absurdalną. Nakłady płyt poleciały na łeb i szyję, a sprzedaż muzyki stała się poważnym problemem wszystkich wytwórni. Statystycznie Polak kupuje 0,25 płyty CD rocznie. Czyli od 3 do 5 tracków. Nakłady płyt w wielu przypadkach są coraz mniejsze", mówi Piotr Sadowski. Pewnym jest, że nakłady, a przede wszystkim sprzedaż, spadają. „W postępie geometrycznym, czyli co rok dzielimy ją przez dwa", utrzymuje Tytus z Asfaltu. Doskonale pokazuje to przykład Blend Records i jego dwa koronne zespoły – Kasta i Fenomen. Pierwsze płyty odpowiednio 7 i 15 tysięcy, kolejne: 3,5 i niepełne 8. Bardziej spektakularne są jednak spadki w UMC: kiedyś sprzedali 60 tys. Jeden Osiem L, 23 tys. Meza, 18 tys. Libera, 22 tys. pierwszej Rap Eskadry, a nawet 11 tys. mało komercyjnego przecież 52 Dębiec. Teraz są inne realia: Verba 3 tys., Doniu 7 tys., nowy Mezo 6 tys., druga Rap Eskadra 6 tys. i Endefis – 1600 (!). Oddajmy głos Remikowi: „Nie ukrywam, że wpływy i zarobki w UMC Records zmalały kilkakrotnie, płyt sprzedaje się kilkakrotnie mniej. Wszyscy to odczuwają. Peja sprzedał 80 tysięcy, teraz dobił do 15, mniej więcej, bo dokładnie nie wiem. Wiemy, jakie są sytuacje w innych wytwórniach, płyty przekłada się na wrzesień, dlatego, że nie ma na tłocznię. My nie rozpierdoliliśmy naszych pieniędzy, one leżą i ich ilość maleje, ale wystarczy żeby jeszcze coś robić, próbować. Wielkie Joł miało Sistars, od tego czasu nic, więc na ile jeszcze starczy? Koszt utrzymania wytwórni to około 30000 złotych miesięcznie".

Marek „Pro" Gluziński, szef Blend Records, komentuje sytuację na rynku i koncentruje się na eksplorowaniu nisz muzycznych: „Jest według mnie tak, że sprzedają się aktualnie dwa rodzaje płyt hip-hopowych. Po pierwsze, płyty pod publikę, czyli te, przy których słuchaniu czuć, że nadrzędnym pomysłem zespołu jest sprzedać jak najwięcej i zarobić tak samo. Po drugie, płyty artystów świadomych, często rozmyślnie uciekających od komercyjności (większość płyt z Asfaltu), najczęściej jednak postaci istniejących już w świadomości (porażki Afrontu, Stylowej Spółki Społem, Sinego itp.). Więc kończę tę nierówną walkę wyciszając działalność Blendu i zamierzam zająć się artystami świadomymi w ramach nowych labeli Qulturap i Kruls". Tytus, właściciel Asfalt Records, informuje o sprzedaży swoich ostatnich premier: POE i Fisz Envee. Obie to sprzedaż rzędu 4 tysięcy sztuk (na 4 tysiące Embargo szacuje również sprzedaż swojej premiery 2czte-ry7; póki co dumni są z „3" Grammatika – 7 tys.). Mogłoby to uchodzić za przyzwoity wynik, ale nie jest tak słodko, jak mówi poprzednik, i Tytus mimo wszystko zaskoczony jest niemile. „Mogę tylko sobie gdybać, ile sprzedałbym takich płyt jak POE czy Fisz Envee, gdyby wyszły w 1999 roku (kiedy jakikolwiek tytuł hip-hopowy nawet pozbawiony kompletnie reklamy i promocji schodził w ilości minimum 5000 sztuk). Na szczęście artyści o ugruntowanej pozycji (jak właśnie wymienieni) jakoś jeszcze sobie dadzą radę", podsumowuje. Co do jednego panowie się zgadzają – poprzedni ustrój wżarł się w mentalności ludzi i nie może z niej wyjść. Tytus do biedy i dostępności piractwa, które wini za słabą sprzedaż płyt, dodaje „nieposzanowanie własności intelektualnej czy też w ogóle nie uważanie jej za formę własności". Krótko kwituje: „To sięga PRL-u oczywiście". Pro jest bardziej dosadny: „Niestety, w demokracji zakorzenionej w PRL-owskiej kulturalnej kastracji górę biorą najniższe gusta. Wiśniewski, Jeden Osiem L, Lepper, Kaczyński, «M jak miłość», Familiada to wszystko rezultat. Pozostają dwie drogi: emigracja albo zaciśnięcie zębów i praca u podstaw właśnie. Ja wybieram to drugie". Remik wciąż widzi w tym szansę na duży biznes i apeluje o optymizm wydawców: „Nie powiedziałbym, że rynek hip-hopowy umiera, ja mówię, że się «uśpił». Już tyle rzeczy zostało wymyślonych... Rap uliczny, rap techniczny, to wszystko już było zagrane, choć nie ukrywam, że wierzę w płytę WWO. Hip-hop przechodzi wyjście z bloków, staje się medialny i robi trochę źle, bo przestaje być alternatywny. Płyty RRX, Cameya – Nagły Atak Spawacza czy Liroy to było coś zakazanego, co nie poleciało nigdzie i przebiło się, sprzedawało się «masakrystycznie». Czy pierwsze piosenki Ich Troje gdzieś leciały? Nigdzie! Nie można było tego usłyszeć – i ludzie sięgali po płyty. To cały fenomen. Kiedy hip-hop stał się popularny i podany na tacy, płyty sprzedają się coraz gorzej. Trzeba mieć hita, to wszystko, bo promocja polega na tym, żeby umieć go wykorzystać. Nie ma w sprzedaży okresów gorszych lub lepszych. Przebój sprzeda się i w czasie wojny." „Przetrwają ci, którzy są rozpoznawalni i mają markę", dodaje i z tym właściwie zgadzają się wszyscy wydawcy, inaczej widząc jedynie listę faworytów. Oznacza to jednak zupełny brak szans dla nowych twarzy. Remik: „Nie ma szans zaistnieć na rynku nic nowego, jeżeli chodzi o hip-hop". Tytus: „Po finalnej sprzedaży albumu Stylowej Spółki Społem w wysokości 400 sztuk (+300 promocyjnie rozdanych) nie jestem już zainteresowany debiutami w Asfalt Records – to po prostu nie ma sensu w Polsce (tym bardziej że wybierać też w sumie nie ma z czego)". Debiutem (Projektanci) miało powrócić na rynek od dłuższego czasu niewidoczne T1 - póki co na szumnych zapowiedziach się skończyło...Przyszłość maluje się słabo. Przemijanie mody na hip-hop utnie potencjalnych inwestorów, którzy jeszcze krążą na rynku. Jeden z wydawców mówi, że już teraz nieopłacalne są pełnobudżetowe klipy. Przyzwyczailiśmy się do pewnej jakości brzmienia, niestety z odejściem pieniędzy, szykuje się powrót do prowizorek. Przyszłość? Owa kierunki. Po pierwsze, telefonia komórkowa. Piotr Sadowski: „Teraz 20-100 złotych kieszonkowego, które młodzi ludzie dostając kiedyś wydawali na płyty, teraz zabiera «Pan operator komórkowy». Na pewno sytuacja w fonografii się zmieni, kiedy ten sam «Pan operator komórkowy» będzie «dealował» także muzyką w postaci pełnowartościowych plików muzycznych", deklaruje. W sukurs wchodzi mu Remik: „Wydawcy powinni się skupić na rynku komórkowym. Dzwonki, loga, pierdoły. Nie mówmy, że to jest komercyjne, to normalne, korzystają z tego nawet prawilni hip-hopowcy. Rynek komórkowy ma 11 mln złotych obrotu na samych płatnych sms-ach w miesiącu!". Po drugie, Internet. Tytus: „90% nagrywających artystów (w tym także niektórzy o znanej marce) będzie niestety skazanych wyłącznie na internetową egzystencję – nikt nie wyłoży na ich karierę złotówki. Net-labele, net-single, net-albumy, net-postery pewnie też, a może i net-clipy (we flashu). Można będzie wtedy gorzko powiedzieć, że od Internetu kryzys się zaczął i na Internecie się skończył".

Artyści

Być może najciekawszy i najważniejszy w tym wszystkim jest punkt widzenia artystów. Jak oni postrzegają obecną sytuację, czy są sfrustrowani, czy też nie stanowi ona dla nich zaskoczenia? Eis – jeden ze sztandarowych przykładów raperów o ogromnym potencjale, który nigdy nie został w pełni doceniony przez odbiorców – widzi sprawę bardzo jasno: „Z rapu zawsze były kieszonkowe, przynajmniej w moich kategoriach. Ale jakoś to się jeszcze opłacało, teraz już chyba nie. Najlepiej niech świadczy o tym to, że nie wydaję płyty. Dla mnie rap to hobby i nigdy nie liczyłem, że zrobię na tym większe pieniądze. Owszem, znam ludzi, którzy chcą z tego żyć za parę lat. Średnio to widzę. Płyty się nie sprzedają i nie ma co o tym dyskutować". W dramatyczny ton nie uderza Eldoka z Grammatika, nawet pomimo tego, iż trzeci album grupy ze stycznia tego roku nie sprzedał się w ilości takiej jak poprzednie płyty grupy: „Denerwować może przede wszystkim to, że ty wkładasz w coś pracę, serce, oddajesz całość swojego czasu, by nagrać jak najlepszy materiał, a później za sprawą znikomych działań marketingowych ze strony wytwórni ten trud jest po części niweczony. Nie chcę jednak narzekać na ogólną sytuację na rynku i wcale nie uważam, że za kilka lat nie będzie już tej sceny i nie będziemy mieli dla kogo nagrywać". Gural widzi to następująco: „To nie idzie ani w górę, ani w dół. To czas stagnacji, typowy dla naszego biznesu, nie tylko w fonografii. Stawia się u nas na sprawdzone patenty, nie ma innowacyjności. Sprawdziło się pitu pitu do bitu o dupie maryni, a tak naprawdę żal mi tych odbiorców i wykonawców. Nie mówię tylko o disco polo, bo wtedy to pół biedy, ale mówię o wykonawcach stricte hip-hopowych. Połowa ra-

Choć wakacje w pełni, a słońce i wolne dni odcisnęły już mocne piętno na obliczach zapewne sporej części z Was, Drodzy Czytelnicy, w tym numerze „Ślizgu" poruszymy kwestię wcale nie taką lekką, łatwą, przyjemną i wakacyjną. W związku z coraz częściej docierającymi sygnałami o dużym kryzysie polskiego hip-hopu i wszystkiego, co z nim związane, postanowiliśmy zbadać sprawę od podszewki. W ten sposób powstał najrzetelniejszy, jaki możecie sobie tylko wyobrazić raport o rzeczywistej kondycji sceny rap AD 2005. Nie ferowaliśmy sami wyroków, specjalnie na potrzeby tego materiału uzyskaliśmy szereg ciekawych opinii od ludzi od lat będących w samym środku naszej hip-hopowej sceny. Zanadto nie przedłużając, zapraszamy do lektury

perów z górnej półki nadaje się do dupy. Technicznie niedobre, treściowo nieciekawe, muzycznie bez polotu. Mamy bardzo kiepskich raperów na rynku, a na najbardziej kiepskich najwięcej się stawia. Czarne konie nie są w cenie, lansuje się najtańszy syf, który nie ma prawa bytu. Ludzie nie kupują płyt, bo nie kumają, co jest dobre, a co nie jest dobre, bo nie mają wyrobionego jakiegokolwiek gustu. Nic temu nie sprzyja, środki masowego przekazu, gazety, książki, telewizja – to wszystko promuje najtańsze gówno dla najgłupszych skurwysynów. Pieniędzy jako profitów ze sprzedaży płyt jest bardzo mało, bo nie mamy kultury kupowania albumów". Nie ma się co jednak oszukiwać, że w naszym kraju nigdy ludzie nagrywający rap nie mogli utrzymać się tylko ze sprzedaży albumów. „Wiadomo, że samo wydanie albumu nie daje w zasadzie żadnych profitów" – rozpoczyna rozmowę Numer Raz, który krążkiem „Muzyka, Bloki, Skręty" (bardzo dobrze przyjętym zarówno przez krytykę jak i odbiorców) powrócił po kilku latach ciszy. „Wydając płytę bardzo często tworzysz tylko tak naprawdę pole do przysztych koncertów. W ostatnich latach chyba tylko nagrywającym w UMC udało się zarobić przyzwoite pieniądze z samej sprzedaży płyt". Tym bardziej musiało w nich chyba uderzyć załamanie na tym rynku. Oddajmy głos Rahimowi: „Polski rynek muzyczny od zawsze wygląda podobnie. Kiedyś usłyszałem mądre stwierdzenie, że w Polsce nie zarabia się ze sprzedaży płyt, a z koncertów. Będąc w sytuacji, kiedy gra się tych koncertów X w miesiącu, to można powiedzieć, że wychodzisz na swoje. Ja na razie nie znalazłem drogi do tego, by super się wzbogacić na sprzedaży swojej muzyki. Najwięcej zarabiasz sprzedając siebie w całości, przy komercyjnym podejściu. Kiedy jednak ma się ideały, wyższe wartości i próbuje to tworzyć dla sztuki, nie można mówić o dużych zarobkach. Oczywiście, gdybyśmy mieli płytę złożoną z 15 utworów, z czego 13 byłoby hitami, wtedy gralibyśmy po trzy koncerty w tygodniu. Mając muzykę mniej «przystępną» gramy 4 koncerty na miesiąc", stwierdza artysta. Dodaje jednak: „Tworzywo Sztuczne jest przykładem muzyki ambitnej, bardzo alternatywnej, wykraczającej poza ramy hip-hopowe i widać, że tych koncertów jest dużo". No właśnie – Tworzywu się udało, i to do tego stopnia, że w grudniu ubiegłego roku Tytus wypuścił w Asfalcie album „Na Rzywo w Mózgu" – pierwszy około hip-hopowy krążek live. Tyle że tak naprawdę okres największych triumfów braci Waglewskich rozpoczął się w momencie, gdy nie tyle odcięli się oni od hip-hopu, co po prostu w kapitalny i doceniany przez wiele środowisk muzycznych sposób odeszli od jego klasycznej formy kojarzonej co najwyżej z debiutem Fisza „Polepione dźwięki". No właśnie, ale trzeba wykroczyć poza ramy, a co z tymi, którzy mają ochotę trzymać się czystego hip-hopu? Pytamy więc, co powiedziałby Rahim młodemu człowiekowi, który zastanawia się, czy wydawać swoją płytę na legalu. „Jeżeli chciałby się na płycie wzbogacić, odradzałbym mu". Numer Raz widzi to jeszcze inaczej: „Koncertów jest co prawda mniej niż kiedyś, bo scenę tę zdominowali twórcy z wiadomej wytwórni. Organizatorzy imprez są im w stanie zapłacić dużą, naprawdę bardzo dużą stawkę, wiedząc, iż dzięki temu zapełnią salę czy też dużo ludzi przyjdzie na jakiś piknik z ich udziałem. Jednak okazuje się, że i na naszych imprezach ludzie bawią się doskonale tak jak ostatnio miało miejsce w Augustowie, gdzie grałem dla 5 tysięcy osób i wszyscy bawili się świetnie. Tak naprawdę nie jest źle i jeśli ma się zdolnych ludzi od promocji, którzy we właściwy sposób reklamują to, co robisz, można jakoś wyżyć z koncertów, a przy okazji jest to przecież najlepsza forma kontaktu z odbiorcą i sprawdzenia, jak reaguje na twoją muzykę. Ja na to nie mogę narzekać". Wracając jednak do samej kondycji hip-hopu, sceny i tego wszystkiego, co wiąże się z nią. Czy naprawdę wszystko leci na łeb na szyję?! Czy naprawdę skończyły się czasy, gdy na rapie ktokolwiek może zarobić? „Więcej pieniędzy kręci się wokół hip-hopu, a nie w nim samym – w odzieży, sponsoringu, product placement, we wszystkich tych rzeczach. A u nas nie ma klasy ludzi pociągających za sznurki – menadżerów, A&R, executive producers, agentów. Nie ma ludzi łączących sztukę z biznesem, nie mamy wykształconej kadry, bo nie ceni się profesjonalizmu. Amatorka jest górą, bo głośniej krzyczący jest szybciej dostrzegany", tak sprawę postrzega Gural. Dochodzi ponadto kwestia, o której wspomina Eldo: „Owszem – jest to moment dziwny, pod hip-hop podczepia się rzeczy, które moim zdaniem nie mają z nim nic wspólnego, co wpływa na negatywne postrzeganie jego wizerunku. Wiadomo też, że z racji mniejszej sprzedaży płyt, mniejszej liczby koncertów również finansowo sprawa nie wygląda idealnie, ale z drugiej strony chyba mało kto decydując się na nagrywanie płyt liczy, że będzie miał z tego kokosy". Być może dochodzimy w pewnym stopniu do sedna sprawy. Wizerunek hip-hopu, jego ośmieszanie poprzez twórczość części, pożal się Boże, pseudo-rapowych artystów. Wiele osób właśnie w tym widzi podstawowy problem i przyczynę do stopniowego kończenia się mody na rap. Gural zdaje się tym nie przejmować: „Robiliśmy to zanim powstał polski rap biznes. To przyszło i być może pójdzie, ale byliśmy tu wcześniej i tu zostaniemy. Sprytni sobie zawsze poradzą. Albo będą rapować, albo wyplatać koszyki. Ja chcąc czy nie chcąc będę bogatym skurwielem, niekoniecznie w pieniądze, ale będę napierdalał tak, że tym, co wiedzą, o co chodzi, szczęka będzie opadać. A ciecie wypierdolą się na plecy". Eis i Eldo również nie rozpaczają: „Kończy się moda na hip-hop. Czy to dobrze, czy źle, to inna sprawa. Śmieszni są tylko ci sami ludzie, którzy narzekali na modę na hip-hop, a teraz narzekają, że się kończy", zauważa pierwszy. „Mogę mieć tylko nadzieję i mam ją, że wszystko pójdzie w normalnym kierunku, a ci, którzy poważnie traktują to, co robią, wkładają to w serce i pasję, na pewno wytrwają i sobie poradzą", dodaje drugi. Numer Raz nie tylko nie dramatyzuje, ale postanowił wręcz rozszerzyć swoją działalność i założył label. „Przez 7 lat pracowałem w sklepie z farbami, bo zmuszała mnie do tego sytuacja. Konieczny był dla mnie stały dochód i ten rodzaj pracy dawał mi tę pewność i stabilizację. Teraz jednak postanowiłem zaryzykować i oddać się w całości muzyce. Myślę, że nadejdą jeszcze lepsze dni dla wszystkiego, co związane z polskim hip-hopem. Jestem dobrej myśli, bo wydaje mi się, że jeśli ciężko na coś pracujesz, wkładasz w to pasję, a w dodatku pomaga ci grupa ludzi, która naprawdę zna się na swojej pracy i wspólnie dążycie do celu, to po prostu musi się udać". Wygląda na to, że ci, którzy już od bardzo dawna są obecni na naszej scenie, osiągnęli na niej stabilną pozycję i zarazem nie jedno już przeszli, byli na to po części przygotowani. Nabyte doświadczenia, szereg obserwacji pozwala im jednak na bardzo trzeźwą ocenę sytuacji i choćby cień optymizmu i wiary w jej poprawę. Komu jak komu, ale właśnie im tego brakować nie powinno, bo to przecież jeden z motorów napędowych do ciężkiej pracy.



Media

Sytuacja na rynku prasowym przypomina to, co działo się z hip-hopowymi audycjami w radio – część znikła z ramówek Radiostacji czy Radia Jazz, inne mocno zmieniły formułę. Dla nieco ugrzecznionych (absolutny zakaz wulgarnego słownictwa, unikanie treści kontrowersyjnych, w tym politycznych) programów znalazło się miejsce w Radiu Bis. W wypadku prasy doskonale widać, że pisma czysto hip-hopowe nie radzą sobie, a hh nawet w roli elementu składowego jest ograniczany. Przyjrzyjmy się bliżej. Ostatecznie pismo „Hip-Hop. pl" zrezygnowało (a może raczej zostało zmuszone do rezygnacji) z wydawania magazynu na papierze. „Gazety i książki papierowe znikną i to szybciej niż Wam się wydaje", utrzymywał na własnym forum Seba. „Uznaliśmy, że lepiej robić to w pdf (format pliku – przyp. red.), bo miarą sukcesu medium jest wpływ, jaki osiąga na czytelników", uzasadniał Hex, drugi z kierujących pismem panów. Jeden z proszących o zachowanie anonimowości redaktorów hip-hop. pl w ten sposób rozpatruje kwestię wycofania się z papierowej edycji magazynu: „Wejście Cropptown w hip-hop. pl odrzuciło innych potencjalnych reklamodawców. W momencie, gdy Cropptown się wycofał, a wizerunek pisma został mocno nadszarpnięty, nie starczyło po prostu pieniędzy na dalsze wydawanie, nie było ono jakkolwiek opłacalne, ba, chyba nawet nie było możliwe. Trudno bowiem wierzyć w przekonywanie, iż chodzi o to, że magazyn na papierze to przeżytek itp. To dobre tłumaczenie, bo teoretycznie ktoś śledzący z boku i nie wnikający w te kwestie może uwierzyć i nie widzieć jakkolwiek porażki hip-hop. pl". „Dosdedos" obrało inną drogę i w pewnym stopniu zmieniło profil pisma. „«Dosdedos» nigdy nie było o muzyce środka. Główny, rozbudowany teraz nurt hip-hopu nie mieści się w konwencji tego pisma" – tłumaczy nowy redaktor naczelny, Jacek Szymielewicz. „Nie podążamy za trendami związanymi z nurtem hip-hopolo i nie interesują nas gwiazdy jednego sezonu". Ograniczenie jest wyraźne – w okresie od połowy 2002 do początku 2005 hip-hop (i ogólnie teksty odnośnie czarnej muzyki) zajmował średnio ok. 1/3 numeru, ale proporcja często zmieniała się nawet do 40%, a kilka numerów w tym okresie było niemal w połowie poświęcone muzyce. Teraz hh sprowadzono na margines – góra 6-8 stron w numerze, tworzone przez dwójkę redaktorów. Jest za to miejsce na publikacje o artystach pokroju Marilyna Mansona czy Papa Dance. Jak oficjalny i dyplomatyczny nie byłby ton Szymielewicza, nietrudno zauważyć, że ucieka z tonącego statku. Upadł, przeżywający lepsze lub gorsze chwile, weteran – „Klan". Korzystając z morskiej analogii, próba jego reaktywacji, okazała się biletem na Titanica. „«Klan» po reaktywacji wyszedł w liczbie 10 tysięcy egzemplarzy i nikt w zasadzie nie robił z tego tajemnicy. Wydawało się nam, że jest to wartość adekwatna do ilości potencjalnych fanów, którzy naprawdę interesują się tą muzyką, kupują płyty, a kupując gazetę liczą na ciekawe wiadomości, są zainteresowani dobrymi wywiadami, recenzjami. Przeliczyliśmy się. Nie znam dokładnych danych, ale te po pierwszych 2-3 tygodniach dawały nadzieję na góra 2-3 tysiące", mówi jeden z twórców. Zniknął kontrkulturowy „Moment", mocno undergroundowy „Loop" i bazujący na szeroko rozumianej kulturze afroamerykanów „Blek". Spadło również zapotrzebowanie na kilkustronicowe pisma z dołączaną płytą.

Koncerty, imprezy

Różowo nie jest też w branży koncertowo-imprezowej. Organizatorzy tych wydarzeń niemal jednogłośnie mówią o recesji odnośnie zainteresowania. Aby nie pozostać gołosłownymi, oddajemy głos Markowi Zioło z agencji Bongos Promocja: „Na pewno dobrym barometrem rynku koncertów rapowych są wydarzenia o podobnej skali, podobnych nakładach poniesionych na promocję oraz podobnym składzie artystycznym. Myślę tutaj o zainteresowaniu trasami koncertowymi Ślizgery edycja 2003 i 2004 oraz Reebok Hip-hop Tour 2004 i 2005. Porównując frekwencję obu tras koncertowych do ich edycji z roku poprzedniego możemy śmiało powiedzieć, że spadek jest nawet do 50%". Możemy jedynie dodać, że z naszych źródeł wiemy o znikomym zainteresowaniu trasą Pokahontaz, obecności mniej więcej 100 osób na warszawskich koncertach Masta Ace'a z EdoG. czy Peji – jakby na to nie patrzeć jednej z gwiazd naszej sceny. Przyjazd The Beatnuts zmobilizował do zakupu biletu ok. 1050 osób, a jeszcze mniej wybrało się na De La Soul (ok. 650 widzów). Dlaczego tak się dzieje? Łukasz Minta: „Mam wrażenie, że ludzie odchodzą od hh, bo ta muzyka staje się mniej szczera i mniej ciekawa". Istotne są też oczywiście fakty, takie jak te podane przez Mateusza „Konkreta": „Kiepska sytuacja finansowa większości polskiego społeczeństwa również nikomu nie pomaga. A jeżeli weźmiemy pod uwagę, że polscy raperzy nagrywają kolejne takie same płyty, a ich koncerty wyglądają jak kolejny taki sam koncert, to nie mamy się co dziwić, że hip-hopowe kluby coraz częściej świecą pustkami". Marek Ziolo dodaje: „Wydaje mi się również, że wielu organizatorów jak i samych artystów ukręciło na siebie bat. Wielokrotnie organizacja koncertów pozostawiała wiele do życzenia. Problemy z odpowiednią infrastrukturą techniczną (stosowne nagłośnienie czy oświetlenie), problemy z odpowiednim miejscem koncertu, przyjaznym, a zarazem bezpiecznym dla uczestników. Podobnie jeśli chodzi o artystów, którzy czasami za dużo wypiją i odbija się to na ich wykonaniu koncertu. Co z tego, że artysta da z siebie wszystko, jeśli nikt go nie usłyszy i nie zobaczy i odwrotnie – przy świetnym nagłośnieniu bez odpowiedniej próby dźwiękowej czy bełkocząc po dużej ilości alkoholu efekt będzie podobny. Wydaje mi się, że to przede wszystkim zniechęca odbiorców do odwiedzania koncertów. Koncerty są na słabym poziomie artystycznym lub zepsute przez złą organizację. Wychodząc z koncertu rozczarowany, małą masz ochotę, aby wrócić na kolejny i ponownie kupić bilet". Warto przy tym zwrócić uwagę na jeszcze jeden mechanizm, o którym wspominał Marek: „Martwi mnie fakt, że odbiorcy nie mają potrzeby edukacji kulturą hip-hopową i gdy do Polski przyjeżdża naprawdę fajny i wartościowy artysta, np. Roots Manuva, lub są organizowane tematyczne cykle imprez, np. «French Connection», to nie ma zadowalającej liczby widzów. Publiczność rapowa niestety jest ograniczona. Ciężko jest też ją edukować przygotowując koncert, skoro z mediów znikły audycje autorskie (chyba można je liczyć na palcach jednej ręki), a królują jedynie klonowane playlisty". Najważniejsze jednak, że ludzie ci wcale nie załamują rąk i bardzo trzeźwo oceniają perspektywy odnośnie rynku koncertowo-imprezowego. Marek Ziolo: „Trzeba robić swoje lepiej niż dotychczas i mieć nadzieję. Myślę, że będzie łatwiej podejmować decyzje, jeśli rynek się ustabilizuje. A czy to się będzie opłacać, to już inna sprawa". Konkret widzi to podobnie: „Posługując się cytatem z klasyka, «Tak było, jest i tak będzie zawsze: twardsze przetrwają, wyginą te słabsze». Recesja powoduje, że z rynku wypadają najsłabsi. Miejmy nadzieję, że tak jak po okresie suszy przyroda odżywa ze zdwojoną siłą, tak po tym okresie stagnacji kultura hip-hopowa w Polsce odżyje silniejsza i zdrowsza".

Wnioski

Mamy więc do czynienia z mniej lub bardziej umiejętnie ukrywaną recesją we wszystkich dziedzinach. Wydawcy odczuwają ją szczególnie boleśnie, mimo iż niewielkie pieniądze inwestowane przez nich w poszczególne tytuły zwracają się już przy niedużej ilości sprzedanych nośników. Artyści są bardziej optymistyczni (być może dlatego, że wybraliśmy pasjonatów z długim stażem), traktują rap jako hobby, a nie pracę. Ich zysk jest w niewielkim stopniu powiązany ze sprzedażą płyt. Liczą na koncerty, które potrafią jeszcze czasem wypalić pomimo zarżniętej koniunktury. Polski hip-hop jako idea nie umiera, mc's będą nagrywać, a dziennikarze nie wyzbędą się potrzeby pisania o nich. Polski hip-hop jako biznes wpadł w głęboką śpiączkę i trochę w niej pozostanie – szykuje się czas stagnacji z rap-partyzantką gdzieś na marginesie, czas prowizorki, względnie sytuacja, w której z muzyką wyrosłą na ulicy kojarzyć będzie się głównie Apple, Microsoft i Nokia. Oby obudziło go nowe, wychowane już na hip-hopie, obdarzone profesjonalnym podejściem pokolenie.

Zachęcamy czytelników do udziału w dyskusji na temat „końca hip-hopu" na naszym forum internetowym. Możecie też wysyłać do nas listy i maile. Najciekawsze wypowiedzi opublikujemy w następnym numerze Ślizgu.

skimboard jam

dębki 25.06.2005







tekst Radek Rybnik
foto Łukasz Ziętek/beblue. pl

Na kilka dni przed opisywanym wydarzeniem, dokładnie 22 czerwca, internetowe łącza rozniosły wiadomość: „Skimboard jam 25.06.2005 – Dębki". Nikt nie wiedział, czego można się spodziewać. Czy na miejscu zastaniemy odpowiedni spot? Czy pogoda nie pokrzyżuje planów? A co najważniejsze, czy ktokolwiek przyjedzie? Sobotni upał o poranku ukazał uprzejmość bogów. Telefony brzęczały, potwierdzając kolejne przybywające ekipy. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przebudowy dróg, uzupełnianie baków, mycie stuningowanych aut, nabywanie produktów spożywczych – tak wygląda droga skimboardera. Rozwaga w prowadzeniu samochodów pozwoliła nam bezpiecznie dotrzeć na miejsce. Bogowie znów docenili starania, zostawiając płyciznę z ciepłą wodą bliżej nieokreślonego pochodzenia. Przyjemność rysująca się na twarzach dzieci zanurzonych w kałuży, nasuwała skojarzenia, jednak i to nie przeszkodziło. Ostatni problem związany z ilością zawodników przestał istnieć. Kolory desek rozścieliły się na piasku. Plaża w Dębkach, gdzie rzeczka Piaśnica łączy się z Bałtykiem, nie była wcześniej świadkiem podobnego wydarzenia. Tego dnia około 50 osób usprawniało się w pływaniu lub stawiało pierwsze kroki na skimboardzie. Największą atrakcją jamu stała się trzymetrowa rurka, która zabrała zdrowie wielu śmiałkom. Oczywiście nie zabrakło opieki medycznej. Siostra Dorota miała pełne ręce roboty z jej wodą utlenioną. Przedstawiciele Trójmiasta, Warszawy i Poznania wymienili się doświadczeniami z tego wciąż tak mało znanego sportu. Spalona skóra, odmoczone ręce i stopy, siniaki, zadrapania, zakwasy i przemęczenie organizmu wciąż nie są w stanie wygrać z uśmiechem i spełnieniem na twarzach ludzi, którzy spróbowali skimboardingu. Dzień pod hasłem „Spontan Skim Jam" lub „Kulczyk, jak ty masz na imię?" zostanie w pamięci na długo. Bądźcie czujni, gdyż data kolejnej imprezy nie jest znana, a będzie ich coraz więcej, walka trwa...

Specjalne podziękowania: Łukasz Ziętek, kierowcy samochodów dostarczający zawodników, niespodziewani goście, skimdziewczęta, opieka medyczna, kamerzyści i paparazzi, graficiarze i gwiazdy rapu, nieobecni, nowopoznani, pozytywnie nastawieni, Doniu i Liber.

Dziękuję za ten dzień, zawsze do usług Radosny SB'ek.







batman
nie tylko początek

Najnowsza wersja przygód Mrocznego Rycerza właśnie wchodzi na ekrany naszych kin. Warto więc przy tej okazji prześledzić poprzednie ekranizacje, tym bardziej, że filmowy żywot Batmana jest niemal tak samo długi jak komiksowy

tekst Kuba Demiańczuk

Pierwsza opowieść obrazkowa z Batmanem w roli głównej pojawiła się w „Detective Comics" w 1939 roku i od tej pory jego przygody pojawiają się regularnie. Świetnie wymyślona postać – Bruce Wayne, milioner prowadzący podwójne życie jako pogromca zła – szybko przyciągnęła zainteresowanie Hollywood. Filmowych wcieleń Batmana było już kilka i, co ciekawe, czasami wpływały one w znacznym stopniu na komiksy.

Pierwsza ekranizacja to rok 1943, zaledwie cztery lata po komiksowym debiucie Mrocznego Rycerza. „The Batman" nie był w zasadzie zamkniętą całością, tylko kinowym serialem, formą w latach 40. bardzo popularną. Reżyserią zajął się Lambert Hillyer, który już wcześniej wykazał się m.in. jako twórca horroru „Córka Draculi" (pewnie fascynowały go nietoperze...). Czasy, w jakich film powstał, odcisnęły na nim piętno. Po pierwsze, głównym przeciwnikiem Batmana i Robina był w serii złowieszczy Dr Daka, japoński geniusz zbrodni. Po drugie, zmiany w treści wymusił obowiązujący w Hollywood restrykcyjny kodeks Haysa, ograniczający pokazywanie zbrodni i przestępstw w kinie. Ów kodeks spowodował, że Batman i Robin musieli zostać przedstawieni jako agenci FBI, gdyż cenzura nie dopuściła postaci mścicieli na ekran. Co ciekawe, w komiksie nie było to traktowane jako „zły przykład"...

„The Batman" wywarł również znaczący wpływ na komiksy o Mrocznym Rycerzu, a ściśle rzecz biorąc na postać Alfreda, wiernego służącego Bruce'a Wayne'a. Wcześniej był on rysowany jako jegomość pucołowaty i gładko ogolony, natomiast w serialu grający go aktor nosi charakterystyczny wąsik i jest szczupły. Po sukcesie filmu zmiana zaszła również w wyglądzie komiksowego Alfreda, który zapuścił wąsy i udał się na kurację odchudzającą.

W 1949 roku film doczekał się kontynuacji, również w postaci kinowej serii zatytułowanej „Batman and Robin" (reżyseria: Spencer Gordon Bennet). Tym razem bohaterowie walczyli ze złowrogim Wizardem, który ukradł stworzone przez profesora Hammila urządzenie pozwalające na przejęcie kontroli nad wszystkimi pojazdami mechanicznymi w promieniu 50 mil. Urządzenie zasilane było diamentami, więc nie wiem, czy specjalnie się jego zbudowanie profesorowi opłaciło. Najwyraźniej opłacało się Wizardowi, który kradł diamenty, gdzie mógł, po to, by zrobić z machiny użytek. Warto zauważyć, że w tej serii pojawiła się również postać reporterki Vicki Vale.

Renesans popularności filmowego Batmana przyniosły lata 60. i duże przedsięwzięcie, jakim był serial telewizyjny o Mrocznym Rycerzu. Trzy sezony, blisko sto odcinków, ogromna sława i rzesze wielbicieli. Adam West, który wcielił się w rolę Batmana, już na zawsze w oczach widzów pozostanie facetem w pelerynie, choć później starał się o inne role i nawet sporo grał. Oprócz serialu powstała również wersja kinowa (1966). Film początkowo był planowany jako pilot, jednak produkcja się opóźniła i ostatecznie powstał jako łącznik między pierwszym a drugim sezonem serialu. Zyskał na tym za to budżet produkcji, Batman (bo dostał sporo nowych gadżetów) i producenci (bo widzowie pokochali serial, więc i do kin stawili się tłumnie). Fabuła kręci się wokół spisku czterech największych wrogów Batmana. Joker, Pingwin, Catwoman i Riddler tworzą Zjednoczone Podziemie, by zniszczyć ONZ i w efekcie przejąć władzę nad całym światem. Oczywiście, oglądane po czterdziestu niemal latach film i serial raczej bawią niż trzymają w napięciu, stanowiąc cudowny pokaz naiwności. Odzwierciedlają też w jakiś sposób styl komiksów o Batmanie z lat 60. To wówczas pojawiały się coraz dziwaczniejsze postaci w rodzaju Bat-Doga i Bat-Mite'a. Zresztą, służę przykładem (z pełnometrażowego filmu): Batman i Robin Batkopterem ścigają Zjednoczone Podziemie, które ma swoją kwaterę na okręcie. Batman schodzi na pokład statku po drabince sznurowej i nagle okazuje się, że okręt to hologram, więc Bruce ląduje w wodzie. Wynurza się z niej z wielkim gumowym rekinem przyczepionym do nogi i wspina się (cały czas z krwiożerczą bestią gryzącą go w łydkę) po drabince, wołając „Robinie, podaj spray na rekiny". Robin wręcza Batmanowi puszkę, Mroczny Rycerz spryskuje aerozolem rekina i „Dynamiczny Duet" (tak nazywano parę bohaterów w materiałach reklamowych) rusza w dalszy pościg za złoczyńcami. Pomyślelibyście, żeby w helikopterze umieścić spray na rekiny? Na pewno nie. To grafomania, która ociera się o geniusz.

Dobra, pora porzucić lata 60. i przejść do roku 1989, w którym Tim Burton nakręcił swoją wizję Batmana, tworząc jedną z najlepszych (do spółki z sequelem, czyli „Powrotem Batmana") adaptacji komiksowych w dziejach kina. Burton dokonał licznych zmian w dziejach bohatera, pokazując światu własną wizję Batmana: mroczną, schizofreniczną, momentami perwersyjną baśń. Nie bez znaczenia jest fakt, że film powstał już po tym, jak z legendą Mrocznego Rycerza mierzyli się wybitni twórcy, choćby Frank Miller czy Alan Moore. I chociaż nie ma w dziele Burtona bezpośrednich odwołań do ich komiksów, to czuć, że były źródłem inspiracji. Nie brakuje też w obu filmach innych odwołań kulturowych, choćby do niemieckiego ekspresjonizmu filmowego, różnych stylów architektonicznych, filozofii Freuda czy klasycznych komiksów (wyspa, na której Vicki Vale robiła zdjęcia, nazywa się Corto Maltese, co jest oczywiście nazwiskiem bohatera komiksowego cyklu Hugo Pratta, Burton zaczerpnął zresztą ten pomysł z „Powrotu Mrocznego Rycerza" Franka Millera). Siłą filmów Burtona byli też znakomici aktorzy: niespodziewanie dobry w roli Batmana Michael Keaton, genialni Jack Nicholson (Joker w pierwszej części), Danny De Vito i Michelle Pfeiffer (Pingwin i Catwoman w drugiej).



Burton uczynił z symbolu komiksowego także symbol filmowy. I byłoby pięknie, gdyby nie Joel Schumacher, który przyszedł na reżyserski stołek i wszystko spieprzył. „Batman Forever" oraz „Batman i Robin" to przykłady, jak komiksów ekranizować nie należy. Schumacher postawił na wizualne fajerwerki i szybką akcję, spychając w cień psychiczne i moralne dylematy bohaterów. Zmarnował znakomite postaci i świetnych aktorów (jedyna niespodzianka to świetny Arnold Schwarzenegger jako Mr. Freeze), dorzucił masę zbędnych elementów (choćby wyśmiewane przez fanów sutki na kostiumach Batmana i Robina), a wreszcie uśmiercił Alfreda, aż cierpliwe dotąd studio Warner Bros. powiedziało „pas".

Przez kilka lat trwały przymiarki do kolejnej części Batmana. Wokół projektu kręcił się m.in. Darren Aronofsky, Frank Miller (wytwórnia odrzuciła jego scenariusz), David Fincher, a nawet Clint Eastwood, który miał zagrać starego Bruce'a Wayne'a w adaptacji „Powrotu Mrocznego Rycerza" (i myślę, że możemy żałować, iż akurat ten film nie powstał). W końcu zapadła decyzja: odciąć się od serii Burtona i Schumachera, zacząć sagę na nowo. I tak powstał „Batman – początek".

Obsada od razu przykuwa uwagę: Christian Bale jako Batman, Liam Neeson jako jego nauczyciel i mentor, Michael Caine jako Alfred, Gary Oldman jako James Gordon, reżyseruje Christopher Nolan (twórca „Memento"). Początkowo miała to być ekranizacja „Batman: Year One" Millera i Mazzucchelliego, w efekcie powstała historia zupełnie inna, ale czerpiąca ze wspomnianego komiksu pełnymi garściami. Przeciwnikami Mrocznego Rycerza są tu Ra's Al Ghul (w Polsce mało znany nawet z komiksów) i Scarecrow, ale przede wszystkim poznajemy wszystkie wydarzenia, które uczyniły z Bruce'a Wayne'a mściciela.

W przeciwieństwie do poprzedników, Nolan postawił na realizm opowieści – wiele rzeczy wyjaśnia (np. skąd Batman bierze wszystkie swoje gadżety), pokazuje żmudny etap szkolenia młodego Bruce'a Wayne'a na Dalekim Wschodzie i jego pierwsze kroki w nowej roli superbohatera. Ukazuje też istotne dla komiksu i całej historii (a pomijane we wcześniejszych ekranizacjach) relacje między Batmanem a Gordonem, jedynym nieskorumpowanym gliną w Gotham City. Rzecz jasna nie brakuje tu efektownych gadżetów i spektakularnych scen, jednak nie przysłaniają one istoty filmu – a tą jest budowanie legendy Batmana. Może zbyt wiele tu przegadanych scen, sam Batman pojawia się zbyt późno (niemal połowa filmu to opowieść o edukacji Bruce'a), ale znakomitych pomysłów i szacunku dla komiksowego pierwowzoru tu nie brakuje. Nolan chętnie wykorzystuje drobiazgi, np. w jednej ze scen w Arkham Asylum można wypatrzyć Mr. Zsasza, mordercę, który swoje ofiary oznaczał kolejnymi nacięciami na własnym ciele. „Batman – Początek" to przede wszystkim solidna porcja rozrywki, wspartej znakomitym aktorstwem (Caine jest wręcz wymarzony do roli Alfreda) i dobry start nowej serii.

Na samo zakończenie ciekawostka: sporo filmów o Batmanie powstało... na Filipinach. Od lat 60. kręcono tam parodie przygód Mrocznego Rycerza. W jednej z nich Batman walczył z Draculą, w innej Batmanem był sam James Bond. Brzmi intrygująco, jednak opinie ludzi, którzy te filmy widzieli, nie są zachęcające. („Teraz już wiem, dlaczego filmy z Filipin nie trafiają do naszych kin" – napisał jeden z internautów z Anglii). Ciekawość jednak pozostaje.

na zdjęciach od lewej: Christian Bale, Adam West oraz Jack Nicholson i Michael Keaton



george romero
władca żywych trupów

George A. Romero zadebiutował skromnie: filmem nakręconym za grosze, prostymi środkami, przy pomocy garstki zapaleńców. Młody reżyser nie podejrzewał zapewne, że tworzy dzieło, które będzie kamieniem milowym horroru i doczeka się trzech kontynuacji (najnowsza wkrótce na naszych ekranach) i niezliczonych naśladownictw. Ale tak się stało: „Noc żywych trupów" zmieniła oblicze całego gatunku.



Debiut Romero (na zdjęciu na planie „Ziemi żywych trupów") nie jest bynajmniej pierwszym filmem o zombie. Warto pamiętać o takich obrazach jak „White Zombie" Victora Halperina z 1932 roku czy „I Walked with a Zombie" Jacques'a Tournerura z 1943. Z reguły filmy o żywych trupach były związane z budzącą fascynację widzów mitologią voodoo. Jednak to właśnie reżyser z Pittsburgha, wcześniej znany jako twórca reklamówek, zmienił horror na dobre. Wraz z „Nocą żywych trupów" w 1968 roku narodził się gore, wyjątkowo krwawy podgatunek filmów grozy (doprowadzony do przyprawiającej o mdłości perfekcji przez włoskich mistrzów, takich jak Lucio Fulci). Co jednak ważniejsze, debiut Romero dał początek horrorom odzwierciedlającym społeczne problemy i niepokoje.

Katastrofa sondy kosmicznej, która miała dotrzeć na Wenus, powoduje, że z grobów powstają zmarli. Niczym bezmyślne maszyny atakują i zabijają żywych. Grupa ludzi barykaduje się w opuszczonym domu, odpierając przez noc oblężenie zombie. Nie do końca wiadomo, dlaczego wypadek spowodował ożywienie trupów – istotne są tu relacje między ludźmi, ich niemożność porozumienia w obliczu zagrożenia, odmienne postawy i decyzje. Teraz nie wydaje się to niczym specjalnym, jednak pod koniec lat 60., gdy film powstawał, było mechanizmem wręcz rewolucyjnym. Co więcej, dało właśnie możliwość oceniania horroru przez pryzmat wydarzeń społecznych i politycznych.

Do tematu zombie Romero powrócił w 1978 roku kręcąc sequel „Nocy...", czyli „Świt żywych trupów". Tym razem akcja toczy się w wielkim centrum handlowym, w którym ludzie ukrywają się przed żądnymi krwi bestiami. Film został odczytany jako manifest skierowany przeciwko bezmyślnej konsumpcji i chciwości i spore grono fanów uznaje go za najlepszy film w dorobku Romero – z pewnością nie tak rewolucyjny jak część pierwsza, ale lepiej dopracowany od strony formalnej i z dużo czytelniejszym i dobitnym przekazem. W 1985 powstała trzecia część cyklu „Dzień żywych trupów", najsłabsza i najmniej wyrazista – tu krwawe efekty specjalne (to już gore pełną gębą) przysłoniły istotę i przesłanie filmu. Po dwudziestu latach Romero nakręcił czwartą odsłonę serii – „Ziemia żywych trupów" wkrótce wchodzi na nasze ekrany.

Oczywiście Romero ma w swojej filmografii o wiele więcej filmów niż te o żywych trupach, jednak niewiele osiąga równie wysoki poziom fabularny i artystyczny. Wyjątkiem jest z pewnością „Martin", nietypowy horror wampiryczny. Nietypowy, bowiem do końca nie dowiadujemy się, czy wampiryzm głównego bohatera, młodego chłopaka dokonującego potwornych zbrodni, nie jest jedynie urojeniem.

Warto też wspomnieć o kontaktach Romero z literaturą króla horroru, Stephena Kinga. Reżyser jest autorem przyzwoitej filmowej adaptacji „Mrocznej połowy" (o pisarzu, którego prześladuje jego literackie alter ego), współpracował z Kingiem przy filmie „Creepshow" i napisał scenariusz według jego opowiadania do nowelowych „Opowieści z ciemnej strony". Teraz pracuje nad ekranizacją krótkiej powieści „Pokochała Toma Gordona". Był również kandydatem do reżyserowania „Smętarza dla zwierzaków" i „Bastionu", jednak z różnych względów wycofywał się z projektów (z niewątpliwą stratą dla obu tych filmów).

Od lat 90. kariera Romero nieco przygasła. Jego kolejne reżyserskie próby – wspomniana „Mroczna połowa" i psychologiczny horror „Maska diabła" – nie okazały się sukcesami. Jednak udany remake „Świtu żywych trupów" (swoją drogą ten film to jeden z nielicznych przykładów, że nowa wersja może być prawie tak dobra jak oryginał), a także długo oczekiwany czwarty rozdział filmowej sagi o żywych trupach spowodowały, że Romero powrócił „do łask". Oby kolejne produkcje potwierdziły jego niewątpliwy reżyserski talent. (jd)

WARTO OBEJRZEĆ: „Noc żywych trupów" (1968), „Martin" (1977), „Świt żywych trupów" (1978), „Creepshow" (1982), „Mroczna połowa" (1993). Najnowszy film Romero „Ziemia żywych trupów" pojawi się w polskich kinach w sierpniu.

and1 g-shock
basket music tour

AND1 – G-SHOCK Basket Music Tour 2005 to z pewnością jedno z największych wydarzeń streetballowych tego roku w Polsce. Pierwsza (i – miejmy nadzieję – nie ostatnia) edycja imprezy odbyła się w maju i czerwcu i objęła 6 miast. Ekipa And1 urządziła mini turnieje w Białymstoku, Olsztynie, Lublinie, Rzeszowie, Łodzi i Warszawie. Wszędzie mogły wystartować amatorskie ekipy streetballowe męskie i żeńskie, odbywały się także konkursy rzutów za 3, wsadów i freestyle'u. Nie samą jednak rywalizacją żyją ludzie, można więc było również obejrzeć pokazy teamu And1 i ekip breakdance'owych, a atmosferę nakręcali WSZ i CNE oraz DJ Bart. Zaś po każdym turnieju odbywały się imprezy klubowe, na których można było odpocząć po sportowych zmaganiach, posłuchać fajnej muzy i wreszie zobaczyć koncert Wujka i CNE. Artyści mocno się zresztą zaangażowali w tour – całą trasę promował ich nowy singiel „Jeszcze raz". Pierwszy And1 – G-Shock Basket Music Tour to była zdecydowanie udana imprezka. W końcu tego nam potrzeba – muzy i sportu. Mamy nadzieję, że spotkamy się na kolejnych za rok. Aha, jeszcze ważna informacja: wyniki wszystkich konkurencji, relacje z imprez i całą masę zdjęć z touru znajdziecie na stronie www.and1.pl.









RECENZJE SKATE VIDEOS

DVS „Skate more"



To był najdłużej reklamowany film ostatnich czasów. Czekali na niego prawie wszyscy i chyba nie końca spełnił oczekiwania. Zrobiony został w stylu filmów Monty Pythona. Każde intro przed przejazdem przypomina do złudzenia motywy z tych angielskich komedii, jednak według mnie nijak to się ma do zawartości „Skate more". DVS ma bardzo mocny team, jednak moim zdaniem film ten nie oferuje czegoś nowego, czego nie było w innych produkcjach. Jedynie Daewon Song pokazał, że jest w stanie odnaleźć się w każdym miejscu i nie musi ustawiać sobie slotów piknikowych, żeby zrobić coś naprawdę fajnego. Reszta występujących w filmie skaterów pokazała to, na co ich stać. Mnie ani nie zachwycili, ani nie zażenowali. Ot, taki sobie film amerykański, jakich wiele...

The Strongest of the Strange



Film ten jest autorskim dziełem skateboardera Pontusa Alva. Zawiera on bardzo osobistą wizję skateboardingu przekazaną przez autora. Uprzedzam, że to, co znajduje się w środku, jest naprawdę dziwne, takiego czegoś jeszcze nie widzieliście w deskorolkowym video, choć z drugiej strony nie jest to coś tak odkrywczego, jak wynalezienie żarówki. Nie będę pisał, o co chodzi, musicie to zobaczyć. Jazda stoi na bardzo wysokim poziomie. Do udziału w tym projekcie Pontus zaprosił bardzo charakterystycznie jeżdżących gości, których dewizą nie są flipy na wszystko i ze wszystkiego. Takiej jazdy w tym filmie nie znajdziecie. Natomiast trafícíe na przegląd naprawdę dziwnych miejsc i dziwnych trików. Wszyscy pokazujący długie przejazdy (Scott Bourne, Daniel Hakonson, Pontus Alv, Javier Mendizabal i Jan Kliewer) pokazali siłę alternatywnej deskorolki. tOi Oi

TWS „First love"



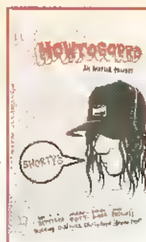
Kiedyś byłem fanem produkcji spod znaku TWS. Z filmu na film mój zachwyt ustępował miejsca jeśli nie znudzeniu, to na pewno lekkiej frustracji. Przestała mi się podobać zbyt napuszona forma i wzorowanie się na produkcjach hollywoodzkich. W tej chwili video Transworlda jest właśnie dokładnie takie samo jak filmy z fabryki snów – niby są zajebiste i nie ma do czego się przyczepić, ale z drugiej strony są bardzo naiwne i do bólu „amerykańskie".

Jazda stoi na najwyższym poziomie. Nic dziwnego – każdy skater przykłada się na maksa przy kręceniu dla TWS, to już tradycja. Na pierwszy ogień idzie starszy już Shiloh Greathouse. Pokazuje on jednak, że starość to radość. Potrafi się bardzo cieszyć swoją jazdą i dużo w niej kombinuje z nowymi miejscówkami. Jeśli spodziewacie się tego, co robił on do tej pory, to się mylicie. Richard Angelides jeździ jako następny i również pokazuje się z najlepszej strony. Kilka lat jego nieobecności w filmach nie było spowodowane brakiem umiejętności. Przejazd Omara Salazara jest moim ulubionym w tym filmie. Gość ten jeździ na ogromnych prędkościach i robi same konkrety. Ryan Gallant pokazuje jak zwykle swoje standardy, czyli flipy na dużych wysokościach. Ostatnia część należy do Leo Romero, który chce wszystkim udowadniać, że nie wie, co to strach. Raile, które robi, są niewiarygodne. Jeżeli lubicie po prostu filmy z najbardziej modnymi trikami, to jest to film dla was... pc skate

Puzzle summer 05

W letnim wydaniu Puzzle możemy obejrzeć dość ciekawe materiały, aczkolwiek nie sprawiły one, że spadłem z wrażenia z fotela. Jumble jest jak zwykle przepełniony mało znanymi skaterami, którzy jeżdżą na bardzo przyzwoitym poziomie. Następnie mamy coś dla polskich fanów francuskiej deskorolki, czyli relację z touru Aeona w naszym pięknym kraju. Ci, którzy nie mieli szans, żeby pojechać do Australii na zawody, mogą obejrzeć, co Salabanzi i spółka tam wyczyniali. Europejski team Globe nie próżnuje, tylko podróżuje po całym świecie. Rezultat z wycieczki do Hiszpanii można sprawdzić w tym wydaniu Puzzle. Chris Oliver, młody wymiatacz z Wielkiej Brytanii, został na deser, jego przejazd powinien przypaść do gustu każdemu. Jeśli chodzi o Puzzle jako całość, to jak zwykle mnie nie zachwyciło. Montaż i muzyka są, według mnie, nudne i dlatego polecam ten film tylko wielbicielom tego magazynu. pc skate

Shorty's „How to go pro"



Shorty's nie przekonał mnie nigdy żadnym swoim filmem. Wszystkie miały bardzo dziwny klimat westcoatowego rapu, który jest bardzo ciężkostrawny dla takiego człowieka jak ja. Nie inaczej jest w tym wypadku. W najnowszym filmie Shorty's główną rolę mają grać amatorzy z teamu tej firmy. To oni wykonują po długim przejeździe, natomiast profesjonaliści mają wspólną osobną część. Młode wilki są typowymi amerykańskimi harpaganami, jakich obecnie jest wielu. Flip na croocked na railu nie stanowi dla nich większego wyzwania, podobnie jak trudne triki techniczne. Wszyscy z nich – Torey Pudwill, Rodrigo Lima i Andrew Pott – jeżdżą bardzo podobnie, są wielkimi talentami i nie boją się niczego. Jeśli chodzi o sekcję prosów, to też jest bez niespodzianek – Fabrizio zalicza ogromne loty, Brandon robi nollie boardy, a Chad Muska... No właśnie, jeżeli jest jakaś niespodzianka, to jest nią właśnie przejazd naszego gwiazdora. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się go zobaczyć w tym filmie. Myślałem, że spasł się on strasznie i zaniechał już jazdy. Na szczęście Chad pokazał, że nie opierdala się i nadal atakuje wielkie poręcze. Film jest po prostu średni... pc skate

FTC „A fine line beetween love and haight"



FTC to Skateshop z San Fransisco, który od kilkunastu lat wspiera skateboarding w tamtych rejonach. Kiedyś w ich szeregach znajdowali się najwięksi gwiazdorzy, tacy jak reprezentanci teamów Girl, Chocolate, Mad Circle. Owocem ich współpracy były trzy filmy, z których pierwsze dwa odbiły się szerokim echem i były niemalże wzorcowym przykładem, jak należy się cieszyć jazdą na desce. Ich ostatnia produkcja próbuje nawiązać klimatem do tamtych dzieł, dużo jest nagrywek z SF. Jeśli chodzi o głównych aktorów tego spektaklu, to niestety twórcy nie posiadają już w zanadrzu takich typów jak Carrol, Howard czy Johnston, ale za to posiłkowali się lokalami z Frisco, którzy nie zawiedli ani trochę. Są to goście, którzy wyrastali pod okiem ekipy z Pier 7 i teraz mają możliwość pokazania, na co ich stać. Myślę, że Jackson Curtin, Robbie Holmes, Adrian Williams i Lee Smith byli świetnym wyborem, bo według mnie czwarty film FTC spokojnie można nazwać kontynuacją poprzednich, też czuć w nim bardzo przyjemną wibrację. Jeśli chodzi o jazdę, to jest ona bardzo charakterystyczna. Nie znajdzie się tutaj raczej „hammerów" i innych rzeczy rodem z produkcji np. TWS, tylko bardzo fajnie pomyślane sekwencje, po obejrzeniu których od razu chce się iść na deskę. tOi Oi



BRAUN G-SHOCK TOWN TOUR

We wrześniu rusza kolejny po Kamuflage Circa Tour wielki tour deskorolkowy z udziałem najlepszych polskich teamów. Organizatorami tej imprezy są – tak jak w zeszłym roku – 79TH oraz Kamuflage, a impreza nazywa się BRAUN G-SHOCK TOWN TOUR. Chłopaki zapewniają, że będzie jeszcze lepiej niż w ubiegłym roku. Wypasiony autokar, wypełniony po brzegi najlepszymi skejtami, odwiedzi kolejno: 08.09. Trójmiasto, 09.09. Poznań, 10.09. Wrocław, 11.09. Opole, 12.09. Katowice, 13.09. Kraków. Wielkie zakończenie 14.09. w Warszawie w skatepaeku Kamuflage połączone z wieczornym afterparty w wypasionym klubie Lucid w Blue City. Więcej znajdziecie na stronie internetowej poświęconej tej kozackiej imprezie: www.towntour.79th.pl

total chaos

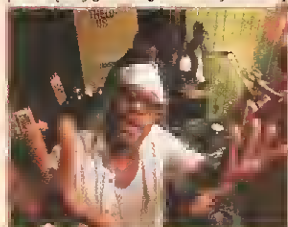
GURU



w świecie klipów

Mrówka wyruszyła na miasto w poszukiwaniu nowych klipów. Chodziła, chodziła, chodziła i... nie mogła się zdecydować. W końcu trafiła do telewizji muzycznej i tam przypomniała sobie o gruuubym materiale – wywiadzie z Guru w Warszawie! Wywiad jest o tyle szczególny, że dotyczy tylko i wyłącznie teledysków... Zatem, specjalnie dla wszystkich klipoholików, z Guru rozmawia REDANT:

Lubisz kręcić klipy, czy raczej traktujesz to jako przymusowe działania marketingowe?
Zawsze czułem się z tym trochę ciężko. Pracowałem z wieloma wytwórniami i one wynajmowały reżyserów, którzy próbowali coś narzucić. Zwykle wkładam w projekty dużo swoich pomysłów, ale wytwórnie i tak zawsze próbowały mnie nakłaniać w stronę wizji reżyserskiej. Ja natomiast lubię posiedzieć i pokombinować, co jak ma wyglądać. Reżyser potrzebny mi jest po to, aby pomóc przenieść to na ekran. Na szczęście teraz z nową wytwórnią 7 Grams kręcimy klip, którego jestem współtwórcą. Stworzyliśmy scenariusz i będę współreżyserem, więc jestem bardzo podekscytowany i nie mogę się tego doczekać. Przygotowujemy też filmy na nowe DVD o naszej firmie, więc będę mógł się teraz wyżyć (śmiech)! A wracając do pytania, to uważam, że klipy są bardzo ważne. Zobacz, jak to się potoczyło z MTV Raps – to było bardzo ważne dla wczesnych produkcji Gangstarr, które mogły zaistnieć na tak wielką skalę! Oczywiście ważne też są telewizje muzyczne prezentujące rapowe produkcje, które miały i mają ogromny udział w historii klipów i w całej rap grze. W tej chwili jest bardzo dużo klipów podobnych do siebie, producenci kopiują z innych teledysków, dlatego my teraz tworzymy coś naprawdę oryginalnego i mamy nadzieję, że uda się nam Was zaskoczyć.



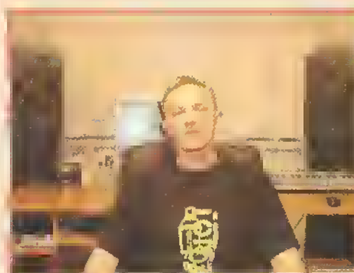
Pamiętasz swoją najbardziej zwariowaną produkcję teledyskową?
Zrobiliśmy kilka zwariowanych klipów, ale... niech pomyślę... Najbardziej szalony był klip „You know my steez". Graliśmy tam więźniów pracujących w kamieniołomach. Scenariusz przewidywał naszą ucieczkę po pionowej skalnej ścianie. W rzeczywistości czołgaliśmy się po ziemi, udając, że jest nam ciężko... Musieliśmy to wielokrotnie powtarzać, bo nasze udawanie nie było do końca wiarygodne, ale w końcu nakręciliśmy to jak trzeba. Zrobiliśmy też szalony klip z naszym ziomem Fab 5 Freddym. To był ekscytujący, ale prawdziwy teledysk zrobiony w złotej erze hip-hopu. W sumie to muszę powiedzieć, że klipy są tak samo ważne jak winyle. Jest to esencja twojej twórczości i jeden ze sposobów przedstawiania jej odbiorcom. Trzeba pamiętać, że teraz to, co ludzie widzą w telewizji, to nie jest do końca hip-hop, to jest taka marketingowa masa. Nie w pełni się z nią zgadzamy jako artyści, ale tak to działa. Klipy jednak przekazują wiele informacji o tym, jak żyjesz, jak się ubierasz, co lubisz robić. Myślę, że w przyszłości problem w świecie klipów stworzy sama publiczność, bo niektórzy artyści mają mega budżety na swoje „filmy", a inni niestety nie. Wszystko staje się uzależnione od sprzedaży i od wielkich wytwórni, więc jeśli do nich nie należysz, to jesteś odcięty od hajsu. Myślę, że teraz będzie coraz więcej lokalnych, undergroundowych produkcji, które będą bardziej zwariowane, ale za mniejszą kasę. Ludzie zaczynają robić winyle, nagrywać mixtape'y, aby się zaprezentować. W Stanach mamy coraz więcej klipów „z okolicy". Nasz nowy teledysk do kawałka „Step in the arena 2" z Doo Wop z najnowszej płyty Guru „Version 7.0" jest właśnie klipem „z okolicy", który został zrobiony w gronie przyjaciół i co ważne, płacimy za niego z własnej kieszeni. To taki powrót do korzeni tworzenia, dający ogromną radość i satysfakcję, bez udziału żadnych wielkich wytwórni...

A masz swój ulubiony klip, który Ci się podoba i zawsze o nim pamiętasz?
Tak! To Eric B & Rakim „Follow the leader". Ten klip jest niesamowity! I tyle. Więcej Wam nie powiem, sprawdźcie to sami, a na pewno się ze mną zgodzicie.

Dzięki za rozmowę, mam nadzieję, że teraz będziemy się częściej widywać.
Niewykluczone, w końcu jesteście moimi Szalonymi Ziomami (śmiech)...

REDANT





PRO-DUKCJA
vol. 2 WDK

Pierwsze kompozycje WDK, wówczas jeszcze nie hip-hopowe, powstały, gdy chodził do szkoły podstawowej, a pierwsze beaty zrobił ponad 10 lat temu. Producent z Przemyśla wyprodukował 5 nielegali Jaoshowi, można go było słyszeć u Toudiego i BPS S.K.W.A.D., ale z pewnością szerzej znany jest dzięki podkładom dla Fenomenu, Owala, Libera, Endefisu, Ascetoholix, Spontanarracji, Meza... W planach: płyta Juras/Wigor (skończone 5 kawałków), Mor W.A., RDW, projekty chłopaków z Yelonek (Fenomen/Endefis), Mei i wspólna płyta z Mezem, która – jak mówi WDK – „będzie muzycznie i lirycznie powrotem do złotej ery hip-hopu".

Najchętniej słucham: Hip-hopu z czasów tzw. złotej ery, czyli z lat 90. Myślę, że nie ma sensu wymieniać ulubionych płyt z tamtych lat, bo jest tego za dużo. Bardzo lubię funk z lat 60. i 70. oraz tematy muzyczne z filmów z gatunku „blaxploitation". Poza tym słucham prawie każdej muzyki, producencka profesja zmusza do tego.
Mój styl w jednym zdaniu: Neckbreakin' beats, czyli „karkołamacze". Takich beatów robię najwięcej...
Najchętniej sampluję: Wszystko. Skąd tylko się da. Otacza nas masa ciekawych i inspirujących dźwięków, trzeba je tylko uchwycić.
Beaty oparte na pętlach to dla mnie: Moim zdaniem beaty oparte na pętlach to przeszłość. Teraz trzeba bardziej kombinować, urozmaicać produkcje, dogrywać coś samemu. Były czasy, kiedy wydawało się to zajebiste – fajny loop, mocne bębny i bas, ale po setnej płycie opartej na tym schemacie zaczyna czegoś brakować, nawet jeśli te loopy są naprawdę zajebiste.
Beaty, z których jestem najbardziej dumny: Hmm... „U. S. Connection" (Owal/Alfred/Mezo/Rahzee ze składanki „Rap Eskadra"), Endefis „Nas nie uda ci się złamać" i „Zostaw nas z naszą pracą". Dobre beaty są na nadchodzącej płycie Juras/Wigor. Jestem dumny ze wszystkich moich produkcji, bo każdy beat jest częścią mnie i jeśli ktoś chce do mojego beatu zarapować, bo „czuje" dany beat, to jestem z tego dumny.
„Żywe instrumenty" w hip-hopie to: Bardzo dobre urozmaicenie. Dogrywanie partii instrumentalnych do beatów opartych na samplach „ożywia" schematyczny często aranż, wynikający z ograniczeń, jakie narzucają sample. Jednak w moim odczuciu podstawą w hip-hopie są i będą sample. To stanowi esencję brzmienia hip-hopu.
„Elektronika" w hip-hopie to: Jest OK, jeśli jest traktowana jako dodatek. Nie cierpię bitów opartych tylko na syntezatorowych brzmieniach, bo to sprawia, że muzyka jest pozbawiona tej „szorstkości" i „brudu" – jest bez charakteru. Zawsze byłem i jestem zdania, że muzyka hip-hop powinna mieć taką „szorstkość"... Jak mury bloków, w których powstała.
Moi trzej ukochani producenci to: Pete Rock, Bomb Squad (grupa producencka) i Dr. Dre.
Moi trzej znienawidzeni producenci to: Nie ma takich, ale myślę, że bez kilku moglibyśmy się obejść, np. bez Jermaine'a Dupni:)
Hip-hop instrumentalny jest dla mnie: Dobrą odskocznią od codziennej pracy przy kawałkach z raperami. Lubię produkcje RJD2.
Najbardziej chciałbym współpracować z: Chętnie współpracuję z każdym, kto mi współpracę zaproponuje. Najbardziej chciałbym, żeby pojawił się skład konkretnych MC's w moim mieście. Lubię pracować z ludźmi konkretnymi. Póki co, pracuję sam.
O brzmieniu amerykańskiego mainstreamu hh mogę powiedzieć, że: Obecnie jest kompletnie do dupy, pojawiają się co prawda perełki, ale ogólnie jest do dupy...
O nowym brzmieniu hh angielskiego mogę powiedzieć, że: Jest intrygujące i odkrywcze. Bardzo zaskoczyło mnie brzmienie The Streets. Popieram rozwój tego nurtu, na razie idzie w dobrą stronę.
Mając beaty Soul Supreme i 9th Wondera wybieram: Wybieram 9th Wondera – jest lepszy technicznie, choć ostatnio obniżył loty... Czyżby soulowe sampelki się kończyły?
Mając beaty Pete Rocka i Premiera wybieram: Pete Rocka. Koniec i kropka.
Mając beaty Madliba i Jaya Dee wybieram: Madliba zdecydowanie. Jay Dee za często zamula – ja lubię energiczne beaty.
Nigdy nie zrobiłbym beatu dla: Funky Filona.

Marcin Flint (CS)



KONKURS:

Mamy dla Was kilka płyt Fu i Olsena „Kameleon", wystarczy tylko odpowiedzieć na bardzo łatwe pytanie – w jakim zespole Fusznik występuje razem z Pono i Korasem? Proste? Pewnie, że tak. Odpowiedzi nadsyłajcie na adres redakcji lub mail redakcyjny do końca sierpnia. Elo!

HIP-HOP W PIGUŁCE

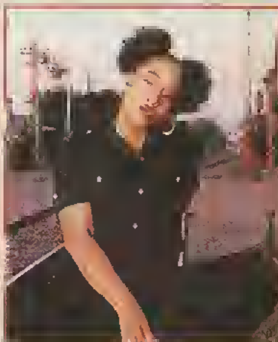
czyli o czym każdy słuchacz wiedzieć powinien...
Część 2 – Damy...



T-Love

Nie chodzi bynajmniej o rockową kapelę Muńka Staszczyka. Taura Taylor-Mendoza to jedna z najlepszych, najbardziej inteligentnych, błyskotliwych, obdarzonych ciętym językiem kobiecych emce. Na scenie rapowej obecna jest niemalże od początku lat 90. Najpierw związana była z luźną formacją Heavyweights Crew, do której należeli młodzi, przebijający się dopiero kalifornijscy twórcy – m.in. The Pharcyde. Później zaistniała w duecie Urban Prop, który podpisał nawet kontrakt z wytwórnią Capitol. Niestety – nie został on w jakikolwiek sposób zrealizowany, a sfrustrowana wszystkim T-Love założyła własną wytwórnię Pickininny Records. W 1998 r. jej nakładem wydała pierwszą swą płytę, czyli wspaniałą epkę „Return of the B-Girl". Produkcją krążka zajął się This Kid Named Miles, działający później na czele The Breakestry – funkowego zespołu nagrywającego dla Stones Throw Records. Na przełomie wieków pani T-Love przeniosła się do Wielkiej Brytanii i związała umową z labelem Astral Werks, podlegającym Virgin. W 2003 r. mogliśmy w końcu delektować się jej debiutanckim długogrającym dziełem „Long Way Back". Tym razem o bity zadbali m.in. Dwele, Jay Dee, Herbaliser i Beyond There. Znamienny jest fakt, że nie znalazłem nigdzie słabej recenzji tejże płyty! Niezależnie kto ją oceniał, czy były to pisma/media mainstreamowe, czy też hołdujące podziemiu – oceny za każdym razem były nader przychylne. Dodam na końcu, że T-Love poza tym, że wspaniale rapuje, śpiewa i produkuje, jest też doskonałą dziennikarką. Pracowała dla wszystkich najważniejszych magazynów zajmujących się czarną muzyką, napisała ponadto dwie książki – „Girl Power" i „It's Not About Salary".

Dyskografia: „Return of the B-Girl [EP]" (1998, Pickininny), „Long Way Back" (2003, Virgin)



The Lady of Rage

Raperka niezmiernie ceniona przez dwóch prawdopodobnie najważniejszych producentów lat 90. – Dr. Dre i DJ'a Premiera, najważniejszy damski głos g-funkowej rewolucji. Pochodząca z Virginii Robin Yvette Allen przeprowadziła się do Kalifornii na początku lat 90. za namową Dre. Bardzo szybko podpisała kontrakt z Death Row, ale z wydaniem debiutanckiego albumu czekała aż do 1997 r. Wcześniej pojawiła się na wszystkich ważnych płytach z logo wytwórni Suge'a Knighta, a w 1994 r. namieszała na listach za sprawą singla „Afro Puffs". Niespecjalnie to dziwiło, biorąc pod uwagę, z kim tenże utwór nagrała – Dr. Dre i Snoop Doggy Dogg – jakieś pytania?! Równie ekscytująca dla fanów rapu była obsada gości i producentów debiutanckiego, a zarazem niestety jedynego jak dotąd, krążka Lady „Necessary Roughness". Bity dostarczyli jej m.in. Daz Dillinger (jeszcze pod ksywą Dat Nigga Daz – uwaga ta ukłonem w stronę Tego Typa Mesa), DJ Premier, Easy Mo Bee i Kenny Parker, a rymowali 2Pac, Daz i Snoop. Płyta doskonała, kapitalnie zarymowana od początku do końca, nie uzyskała jakiegoś większego rozgłosu, podobnie zresztą jak wydane w podobnym okresie solo Daza. Schyłek ery Death Row „zaowocował" brakiem promocji, a i fani jakby wówczas odwrócili się od g-funku. Mogą żałować – w ten sposób stracili szansę zapoznania się z twórczością jednej z najlepszych raperek w historii. Czy będzie na to kolejna okazja, tego nie wiadomo. Lady of Rage od lat przymierza się do wydania drugiego krążka, ale jak na razie to tylko przymiarki bez wymiernego efektu.

Dyskografia: „Necessary Roughness" (1997, Death Row Records)



Ms. Jade

Zdecydowanie najmłodsza w tym towarzystwie Chevon Young urodziła się w 1979 r. w Filadelfii. Jak wspomina, największy wpływ na podjęcie decyzji o tym, iż chce zostać raperką, miało na nią obserwowanie karier Queen Latifah, MC Lyte i... Janet Jackson. W drugiej połowie lat 90. zaczęła nagrywać pierwsze kawałki, produkowane przez niejakiego Meeka Millsa. Po kilkunastu miesiącach pracy puściła w obieg płytę demo, która szczęśliwym trafem wpadła w ręce Timbalanda. Ten nie namyślał się nazbyt długo i podpisał z Chevon kontrakt, włączając tym samym do swojego labelu BeatClub. Po zakończeniu pracy nad debiutanckim krążkiem Bubby Sparxxxa Timbo wziął się do roboty nad produkcją albumu Ms. Jade, czego efektem okazała się płyta „Girl Interrupted". Wydany późną jesienią 2001 r. przebojowy materiał miał nie tylko doskonałą muzykę (16 bitów Timbalanda i rodzynek The Neptunes), ale i gwiazdorską gościnną obsadę – m.in. Jay-Z, Missy Elliott i Nelly Furtado, która nagrała z Jade hitowy singiel „Ching Ching". Najważniejsze jednak, iż to wszystko nie przysłoniło efektów pracy naszej bohaterki. Obdarzona bardzo dobrym głosem Chevon Young zaprezentowała się również jako całkiem niezła tekściarka, nie dziwiły więc całkiem pozytywne recenzje albumu i jego dobra sprzedaż. Nie bardzo za to wiadomo, co się stało z Ms. Jade po jego wydaniu. Poza kilkoma gościnnymi występami słuch o niej zaginął.

Dyskografia: „Girl Interrupted" (2001, BeatClub/ Interscope)

Andrzej Cala

BITWA O ANGLIĘ VOL. 1



The Streets

Nie bez powodu cykl „Bitwa o Anglię" zaczynam od artystów innych niż Braintax, Task Force czy choćby Lewis Parker, a mianowicie od The Streets. Wielka Brytania cechuje się wieloma anomaliami, nie tylko ruchem lewostronnym i odstającymi od typowych gniazdkami. Artyści brytyjscy byli od lat twórcami nowych trendów w popularnej muzyce europejskiej, wystarczy tu wspomnieć Genesis, Prodigy czy Oasis. The Streets to jeden z tych zespołów, które spopularyzowały na kontynencie brzmienia, nad których nazwaniem głowią się wszyscy dziennikarze muzyczni. Wiley – inny przedstawiciel tego nurtu – nagrał utwór „Watcha call it?", gdzie podśmiewa się z każdej kolejnej próby zaszufladkowania stylu. Garage? 2step? Trip-hop? Nic z tych rzeczy, może – skoro już trzeba to nazwać – powiedzmy po prostu brit-hop. Ale... Miało być o Streetsach.

W tej chwili jest to zespół jednego człowieka – Mike'a Skinnera – i jest tak wyłącznie na jego życzenie. Ten stanowiący kwintesencję brytyjskości (za sprawą wyglądu jak i charakterystycznego egzaltowanego akcentu) artysta najzwyczajniej w świecie wywalił z grupy sześciu pozostałych członków w trakcie nagrywania debiutanckiej płyty „Original Pirate Material". Jak sam twierdzi, powodem było lenistwo i notoryczne zaćpanie pozostałych osób, które uniemożliwiało spotkanie się razem w studio. Co prawda, jak zwykle bywa w takich sytuacjach, pokrzywdzeni mają własną wersję wydarzeń. Współzałożyciel zespołu Crispy napisał na ten temat obszerny esej, w którym zarzuca Mike'owi, że jego gust muzyczny nie został ukształtowany przez kilkuletnie dj'owanie w klubach Australii, a przez Crispy'ego we własnej osobie. To on dla żartu nakłonił Skinnera do rymowania i to on jest głównym autorem pierwszego singla „Has it come to this?", co utożsamia z całym sukcesem Streetsów i znalezieniem przez nich wytwórni. Mike natomiast nie potrafi się ubrać, lubi techno (i zapewne dziś produkowałby je, a nie brit-hop), zaś kolegów z zespołu wyrzucił, bo chciał zatrzymać dla siebie wszelkie korzyści płynące z szeroko pojętej sławy.

Gdzie tkwi prawda? Trudno powiedzieć, patrząc na to z dystansu tysiąca kilometrów poprzez barierę ekranu. Fakt jest jednak faktem i The Streets mimo redukcji składu istnieje do dziś i to z sukcesami. Już od roku na półkach sklepowych znaleźć możemy drugą płytę „A grand don't come for free" i podobnie jak debiut z powodzeniem łączy brzmienia klubowe, breakbeaty, niekiedy typowe beatlesowskie brzmienia, łzawe sample, a czasem dziwne komputerowe piski z rapem czy czymś, co jest pomiędzy nim a melodeklamacją. Tematyka jest nam na swój sposób bliższa niż rozterki przeciętnego czarnoskórego Amerykanina z Nowego Jorku. Mike poprzez kreację „bohatera codzienności" przedstawianego z perspektywy konkretnych sytuacji rozprawia o wyższości marihuany nad innymi używkami, przeżywa rozpad kolejnego związku i z odpowiednią dozą typowego brytyjskiego poczucia humoru opowiada o kolejnych niefartach spotykających człowieka w zwyczajnym życiu...

Spóźniasz się na ważne spotkanie, niechciani goście pojawiają się znienacka w domu pod twoją nieobecność, nie radzisz sobie z odpowiedzialnością, w niewyjaśnionych okolicznościach tracisz pieniądze, przyjaciel odbija ci panienkę – cóż, „shit happens", ale czemu by o tym nie nagrać utworu do oryginalnie brzmiących podkładów? Ta recepta doskonale się sprawdza w wypadku The Streets i w ten sposób kolejne single święcą triumfy.

Jeśli więc szukacie esencji angielskości bez włączania BBC Prime, brakuje wam albumu opartego na storytellingu i konceptach, bo Slick Rick jest na emeryturze, a Masta Ace'a nie dystrybuują w Polsce albo jeśli po prostu chcecie skonfrontować akcent waszej anglistki z prawdziwym Anglikiem – zacznijcie od The Streets.

Cess (Czyste Słowa)



Daniel Hakonson
crail slide na donicy przy hotelu Marriott
Warszawa

coś nowego

tekst Pc skate
foto Wojtek Antonów/WZRR

Czymś, co najbardziej zabija deskorolkę, jest nuda. Przypomnijcie sobie, ile razy zdarzyło się wam wyjść z domu będąc pełnymi pozytywnej energii i optymizmu, by potem wszystko to stracić w ciągu jednej sekundy po dotarciu na miejscówkę, na której okazuje się, że nie ma już co robić. Niestety, nawet najlepsze miejsce do jazdy staje się czymś mało atrakcyjnym, jeśli spędza się tam pół życia. Pamiętam, jak działała jeszcze najlepsza miejscówka w historii Polski, Capitol, i nikomu nie chciało się tam jeździć, każdy pragnął jakiejś odmiany. Nuda potrafi być bardzo nieprzyjemna, czasem niszczy ona skateboarding skuteczniej niż prezydent Kaczyński i policja razem wzięci.

Uczucie to według mnie jest jednym z głównych powodów tego, że ludzie przestają jeździć na desce. W Polsce panuje przekonanie, że wybiera się jeden styl jazdy na desce. Niestety, tak myśli zdecydowana większość młodych skejcików. Jeśli Polak wybiera jazdę na murkach, to automatycznie przestaje lubić każdą inną przeszkodę. Oczywiście w moich słowach jest dużo przesady, ale tak właśnie z grubsza sprawa się w naszym kraju przedstawia – ludzie traktują skatebaording trochę zbyt serio. Nic więc dziwnego, że w przy takim myśleniu szybko może się to znudzić, bo ile czasu można jarać się jazdą tylko na murkach.

Deskorolkowcy na świecie dostrzegli tę prawidłowość i dlatego wszędzie za granicą rozwijają się różne style jazdy. Do chwili obecnej w Polsce, jeżeli ktoś mówi o miejscówce deskorolkowej, to ma na myśli albo plac z murkami i schodkami, albo klasyczny, drewniany skatepark. Natomiast wszędzie na świecie deskorolkowcy starają się znaleźć nowe tereny do eksploatowania.

Często zapominamy, że bardzo istotną rolę w uprawianiu skateboardingu odgrywa nasz mózg. Nogi służą jedynie do wykonania triku, natomiast rozum przyda się nam do wymyślenia całej ewolucji. Oczywiście można nie używać głowy i wszystkie pomysty czerpać z filmów albo wcale nie zaprzątać sobie umysłu innowacjami, tylko tłuc non stop murki i schody. Gwarantuję jednak, że w takiej sytuacji szybko wam się deskorolka znudzi. Po pewnym czasie stwierdzicie, że ciągle robicie to samo.

Tomek Goławski
bs. nose grind na śmietniku na parkingach Blue City
Warszawa

Jeżeli spojrzymy na skateboarding z perspektywy kilku lat, zobaczymy jak bardzo on się zmienia. Podobnie jak każda inna rzecz na świecie, tak i deskorolka podatna jest na różnego rodzaju mody. Oglądając nowe filmy na pewno dostrzegliście, że skaterzy starają się nagrywać na coraz to nowszych spotach, nie wystarczają im swoje lokalne miejscówki, deskorolkowcy pragną kolejnych doznań.



Pontus Alv
wallie na barierce na jednej z głównych ulic Warszawy

Dlalego gorąco namawiam Was do spróbowania swych sil na różnych spotach, nie lylko na „klasycznych" placach z typowymi murkami. Zacznijcie może większą wagę przywiązywać do wyglądu miejscówki i jej poszczególnych elementów, starajcie się spojrzeć na elementy architeklury z innej slrony. Wtedy okaże się, że niektóre rzeczy w miejskim budownictwie przypominają części skateparku, wystarczy tylko lrochę uprzątnąć lub dołożyć plylę sklejki jako odjazd i zabawa na całego gotowa.

Takie miejsca są z reguły „spotami na jeden trik" i przychodzi się lam po to, aby zrobić konkretne zdjęcie lub nagrać materiał. Jazda na takich dziwnych, na co dzień niejeżdżonych przeszkodach jest o wiele lrudniejsza niż na zwyklych miejscówkach lypu Witos czy Slalin. Na tego typu przeszkodach nawel prosty trik cieszy jak malo co. W lakiej syluacji często nie chodzi nawet o samą sztuczkę, ale po prostu o zdobycie miejscówki, pokonanie jej w jakiś ciekawy sposób.

Nieslety, żeby tego dokonać należy korzystać z usług naszego mózgu, a robić to nie każdy lubi. Jeżeli się jednak na to zdecydujemy, to wyslarczy tylko dobrze poszukać w swoim mieście. Świelne miejsca w tym slylu lo stare, puste, belonowe sztuczne zbiorniki na wodę, stare zajezdnie pociągowe, dziwne pomniki i rzeźby. Jesl ich pełno prawie w każdym mieście – wystarczy tylko dobrze poszukać. Wiadomo, że w naszym kraju nie ma zbyt dużo marmurowych miejscówek, ale tego lypu rzeczy jesl naprawdę sporo. Po co więc udawać, że jeździ się na murkach i budować kolejną skrzynkę z dwóch europalet, lepiej poszukać prawdziwej „miejscówki z duszą". Pamiętajcie, że lak naprawdę wszystko zależy od was i od waszej pomysłowości, nie ma więc sensu oglądanie nowych filmów i ślepe kopiowanie amerykańskich prosów. Dużo większą satystakcję sprawia wymyślenie czegoś nowego, co np. później będzie kojarzone z własną osobą. Tak naprawdę wszyslko zależy od pomysłowości, a nie od umiejętności.

Skateboarding lym się różni od sportu, że nie ma ściśle wytyczonych ram i może być odbierany przez każdą osobę inaczej, więc nie bójcie się próbować innych rzeczy niż reszla kolegów – przede wszystkim kombinujcie z deskorolką, bo lylko lo prowadzi do postępu w skateboardingu.



tekst Marcin Flint (CS)

Każdy coś znajdzie

„Robienie muzyki to wielka frajda i jakiś sposób na przełamanie marazmu. Gramy muzykę, która powstała na Jamajce, co nie znaczy, że nie można jej robić po swojemu u nas w Polsce. Zaczęło się wszystko od Marleya. Potem odkrywaliśmy innych artystów i całe bogactwo reggae, później zaś zaczęliśmy sami tworzyć muzykę w tym klimacie. Aż w końcu spróbowaliśmy swoich sił jako nawijacze. Mi podoba się to hip-hopowe spojrzenie na reggae, bo w sumie oba nurty mają wspólne korzenie. Reggae łączy różne gatunki i pozwala się wypowiadać na wiele sposobów. Każdy po prostu znajdzie tu coś dla siebie" – twierdzi paXon z wrocławskiej formacji (chodź właściwszym określeniem jest „rodzinno-przyjacielski kolektyw") Natural Dread Killaz. Razem ze swoim rodzonym bratem Mesajah, wokalistką Nalty, posiadającym hip-hopową przeszłość nawijaczem Yanazem i odpowiedzialnym za gramolony, nie zamykającym się na żadne gatunki Ko-Tune nagrali barwny, twórczy album. „Robimy własne riddimy. Nie skupiamy się tylko na interpretacji już powstałych riddimów, ale robimy też własne. Czyli jesteśmy producentami i nawijaczami w jednym. NDK to samowystarczalna formacja, która od pomysłu na kawałek aż do tłoczni płyt robi wszystko sama, włącznie z miksem i masteringiem. Wiele sound systemów wykorzystuje nasze rytmy we własnych setach. Poza tym staramy się, żeby nasze występy były pełne energii i jak najbardziej żywiołowe" – informuje artysta. W jednym z utworów usłyszeć można, że ambicją NDK jest – owszem – ruszać głodne zabawy tłumy, jak «tak, jestem Jamajczykiem», toastować czy nawijać w patois. Dla mnie to po prostu kolejna metoda rzucenia tekstu na bit" – tłumaczy Grande Pe. Trafił on w Cinq G na zasłużonego opiekuna. Pochodzący z warszawskiego Grochowa Tomasz Konca vel Radikal Irie w latach 90. grał mieszaninę reggae i funku z kultową w pewnych kręgach Transmisją. Po rozpadzie Transmisji stworzył dancehallowy zespół Kontrabanda oraz jego imprezowe oblicze, Au Sound System (w obydwu partnerowali mu Mista Pita i Jamajski Spekulant aka DJ Seb). Kiedy DJ Leo reklamował swoje imprezy jako „Najlepsze reggae", Irie kontratakował głosząc, że gra „Najgorsze ragga". Obecnie oprócz działalności w Cing G ma w państwowym radiu jedyną audycję poświęconą muzyce dancehall.

Konca to jednak przede wszystkim działacz ideowy i „koło zamachowe" nadające przedsięwzięciu o nazwie Cinq G rozmachu. Za 90% warstwy muzycznej kryje się zaś drugi nawijacz w teamie, wymieniany już wyżej Mista Pita. On, jego dziewczyna (obecnie żona) Lady Mocca oraz Grande Pe, niesieni chęcią użycia pomysłów niewykorzystanych na „Panamie" stworzyli projekt Banda Tre, którego mini LP ujrzało w kwietniu 2005 światło dzienne na serwerach internetowego wydawnictwa alterbeat. org. „Absurdalno-imprezowa" – tak Pe określa charakter jej twórczości. Jeśli szukacie harmonii i spokoju – uciekajcie, gdzie pieprz rośnie, bo albo od razu dostaniecie zawału, albo zatańczycie się na śmierć. Syntetyczne piekło i „przaśny dancehall" to właściwe określenia. Nie wiesz, czy za chwilę nie wejdzie ciężki gitarowy riff, nie wiesz nawet, czy w danym momencie wysokim, „Red Ratowym" głosem nawija facet czy dziewczyna. Nie wiesz nic...

dogonić jamajkę


Natural Dread Killaz



każe tradycja reggae, ale jednocześnie dać sporo do myślenia. Nie na darmo utwór „TXT" poświęcony jest pustce w przekazie zespołów, również tych hip-hopowych. A na tym albumie rzeczywiście jest się nad czym zastanowić, nie należy dać się zwieść zabawowemu charakterowi singla, bo już np. kawałek „Malija" konkretnie rozlicza się z Watykanem i bezlitosnym narzucaniem swojej interpretacji religii, a „Blades" mówi o zapominaniu o korzeniach, przywołując nawet martyrologię Tupaca Amaru. Oczywiście każdy, kto zarzuci, że dla zespołu wszystko jest albo czarne, albo białe, będzie miał trochę racji, bo ten prezentuje świat rządzący się wyjątkowo prostymi regułami i często ujęty w ogólniki. Ale lepiej poddać się brzmieniu, muzyce różnej pod względem tempa, pomysłowo zaaranżowanej. Bywa nieco elektronicznie, najczęściej jest (jak wskazuje tytuł albumu) naturalnie, prawie zawsze melodyjnie i miło dla ucha.

Panamskie Piekło

Cing G i Banda Tre to zespoły, które założyły sobie inny cel – eksperymentowanie po całości, muzyczny dowcip z solidną dawką prowokacji i totalną żywiołowość. „Cinq G wyróżnia «imidżowość» – nieco wykraczamy poza przetarte bojówki, koszule w kraty i rozciągnięte swetry statystycznego polskiego studenta słuchającego reggae, a ostatnio i dancehall'u. Idziemy raczej w stronę maksymalnie festyniarskich, wieśniackich, «najgorszych» karaibskich zespołów w stylu TOK" – stwierdza Grande Pe. Twórcom szczególnie bliska jest nie Jamajka, a Panama. Wpłynął na to dokument w telewizji regionalnej, po którym „przestępcze ragga z Panamy" stało się motywem przewodnim na próbie raczkującego jeszcze „zepsołu" Cinq G. Wtedy też zapadła decyzja o skonkretyzowaniu składu (przed Pe na próbach obecni byli tacy MC's, jak Frenchman czy Vienio i Pele). I tak już zostało...

Praca z Cinq G jest dla Pe przygodą, szansą na odpoczynek od atmosfery polskiego hh, bardziej formą ekspresji niż ideologią. „Nie starałem się na siłę głosić haseł w stylu

Lew trojański plemienia Vava

Dla odmiany w wypadku Vavamuffin od razu wiadomo, że masz do czynienia z czymś słonecznym i harmonijnym. Zespół sam nazywa siebie „wielopokoleniowym" i stare, dobre roots reggae czy oldschoolowy dancehall przyprawia dynamicznym, nowszym raggamuffin. Na pytanie, jak udaje się bezkolizyjnie połączyć wszystkie te gatunki, pada obrazowa odpowiedź: „W lesie drzewa iglaste rosną obok liściastych, a pod nimi są jeszcze krzaki i runo leśne, a wszystko to wyrasta z jednej ziemi i doskonale daje sobie radę, tak samo jest z muzyką reggae (...). Już dawno odkryliśmy to, że prawdziwa muzyka daje poczucie pozytywnej siły, dodaje mocy, daje energię niezbędną, by przetrwać w sytie i korupcji, to dzięki niej uśmiech nigdy nie znika z naszych twarzy... A wszystko to zaczyna się w serduchu" – mówi Mr. Reggaenerator, a trzeba dodać, że zaczynał we wczesnych latach 80., kiedy to syfu i korupcji było jeszcze więcej. To koncert Misty In Roots zmienił młodego chłopaka w wiernego fana reggae. Wszyscy młodzi „załoganci" robili sobie wtedy „gitary samoróby", grali na garnkach i kartonowych pudłach, bo na prawdziwe instrumenty stać było tylko wybrańców losu. Klawiszowiec Mista Olo Bwoy ma już jednak zgoła odmienną historię. „Jak miałem 4 lata byłem na wczasach z rodzicami. Spotkałem jeszcze młodszego ode mnie chłopca z keyboardzikiem Casio. Tam był taki aranżer, że wciskało się jeden klawisz, a brzmiały całe akordy. Bardzo się tym zajarałem"- tłumaczy. „No i tak mi już zostało, tyle że dużo później się na poważnie za to wziąłem". „To chyba dlatego, że były tam całe akordy, a rytm reggae gra się najczęściej pełnymi akordami... Dziś Olo potrafi o wiele więcej i czasem trzeba „ustawiać" mu łapkę tak, by grała jedynie proste akordy"– śmieje się Reggeanerator. Kraj mamy w sumie dosyć smutny, a w muzyce Vavamuffin słychać niekłamaną radość. „Skoro w naszym kraju jest ponuro, szaro i smutno, my chcemy to zmienić. Taki właśnie jest nasz plan" – mówi gitarzysta Kazan

Ratti i zaczyna się dyskusja pomiędzy całą wyłonioną z kolektywu (obejmującego jeszcze chociażby perkusistę Jahcoba Juniora, basistę Emily Jonesa /tu bassowe pozdrowienie dla Primo „Bu Bu" Rebela – na zawsze Vavamuffina/ czy kontrolującego sampler Dubbista) w celach wywiadowczych trójką. „Mamy plan, żeby ten Babilon zniszczyć od środka, bo wielu przed nami odbiło się od jego murów, a on pozostał niewzruszony. My budujemy lwa trojańskiego, by postawić go pod bramą Babilonu i cierpliwie czekać aż go wpuszczą do środka. To będzie Zwycięski Lew trojański plemienia Vava" – mówi z uśmiechem Mr. Reggaenerator. „Wyróżnia nas to, że z założenia nie walczymy o popularność. Nie potrzebne jest parcie na sukces, bo jak za bardzo napierasz, to łatwo możesz się potknąć i przewrócić". Mista Olo: „Z jednej strony gramy w oldschoolowym stylu, korzystamy ze starych brzmień i takiej stylistyki, z drugiej strony jest w tym trochę elektroniki, trochę połamanych beatów, pojawiających się nagle chilloutowych harmonii. Vavamuffin to magiczna miksturka składająca się z ludzi chodzących często własnymi drogami". „Vabang!" to pozbawiony ciśnienia, spontaniczny, spójny album nagrany przez ludzi, którzy po prostu lubią to robić – tak jak mówią piosenki – z poszanowaniem tradycji i sercem, motywując się wiarą i sensimillą, uciekając od agresji, darząc jedynie stonowaną niechęcią organy ścigania, odwołując się do cytatów zarówno z Marleya i Tosha, jak i z grup takich jak Izrael czy Bakshish. Mamy też płytę uniwersalną, a zarazem warszawską – utwór „Paramonov" nawiązuje np. do lokalnego folkloru. Dodam, że warto przyjść na koncert, by sprawdzić, jak pogodny repertuar zmienia się w prawdziwie energetyczną pigułę.

wić. „Rewolucje" krzyczące z okładki płyty bardziej widzi w głowach niż na ulicach i wbrew pozorom nawet skrajni reggae'owi puryści powinni dobrze się bawić przy takim choćby „Babilonie". Resztę porwie skrajnie zróżnicowany i bardzo przebojowy materiał. „To nie jest tylko głos z betonowych osiedli / sami nie wiemy, dokąd jeszcze będziemy biegli / chcemy tylko, żeby ludzie sami dostrzegli / kiedyś będzie nas więcej", głosi jeden z utworów. Pozostaje w to wierzyć.

Hell Yeah!

Poznańskie Bass Medium Trinity również ma kawałki zastawiające częstokroć po kilka pułapek na biedne, nieświadome uszy. Jak bakcylem „R" zarazili się twórcy? „To wynika z tego, czego lubimy sami słuchać. Mamy ambicję próbować robić to po polsku, czerpać z kultury, która nas fascynuje, ale przystosowywać do naszych realiów" – opowiada Marika. „Ja pojawiłam się jako ostatni członek. Stosunkowo późno, bo raptem trzy lata temu, podczas gdy Bass Medium istnieje już z osiem. Pierwszy był Abor, trzon soundsystemu, selektor. Zajarał się tą muzą, kiedy ja byłam jeszcze szczylem, grał imprezy reggae, kiedy ja grałam w gumę. Potem pojawił się Frenchman, który z racji na to, skąd pochodzi, świetnie rymował i śpiewał po francusku, ma taki miękki akcent, potrafi toastować nawet w takim pobrzmiewającym patois angielskim i po polsku zresztą też. Poznałam się z nimi w okresie studiów, czyli w takim okresie, kiedy to człowiek wyrabia sobie ostatecznie gust muzyczny. Wcześniej słuchałam tego, czego słuchały nastolatki: różne Janisy Jopliny, Boby Marleye, Jimy Hendrixy, gdzieś tam Daab, gdzieś Izrael. Zwyczajnie. Dopiero pod wpływem chłopaków horyzonty na karaibską muzykę mi się rozszerzyły". Ukorono-

Zmęczony małą ilością dobrego polskiego hip-hopu? Uważasz, że jego teksty brzmią jak wyklepane, przekaz nastawia cię do życia negatywnie, a brak muzyki w muzyce, plastik i tak samo poukładane perkusje już zaczynają irytować? Sprawdź, co nakłoniło reggae'owców do tak szeroko zakrojonej ofensywy i co wyróżnia ostatnio wypuszczone płyty. Skosztuj Karaibów w naszym wydaniu

Jamal
foto marszall.com

foto Cess

Będzie nas więcej

Jamal to energia nie tylko na koncercie i znacznie ograniczona ideologia. „Grałem już reggae w zespole, który się nazywał Le Illjah. Kilka lat jeździłem po festiwalach w Polsce, ale i zagranicą, m.in. w Czechach. Ale gdybyś przed tym zapytał, czy będę grał tą muzykę, zacząłbym się śmiać. W końcu ją pokochałem, ale paradoksalnie zaczęło się od robienia, nie od słuchania. Pojawił się impuls, spróbowałem, wszedłem w to jakoś ładnie i pokochałem rytm, w którym się odnajdujemy. W tej chwili jest najbliższy mojemu sercu, ale absolutnie nie wiążę go z żadną filozofią typu rastafarianizm. Z całą pewnością dzięki reggae jestem lepszym człowiekiem, ale z ruchem się nie utożsamiam. Bardzo łatwo o tym śpiewać, że miłość, że pokój, trudniej zaś wprowadzić w życie" – mówi Miód o swojej przygodzie z reggae. Wspomina również, że początki współpracy z odpowiedzialnym za muzykę Łukaszem, to klimaty stricte hip-hopowe. Pytany o to, co wyróżnia pochodzący z Radomia i wciągnięty w szołbiznes przez Morwę zespół spośród innych wykonawców w jamajskich klimatach, wymienia: „Po pierwsze to, że płyta jest połączona z hip-hopem. Po drugie, teksty są bardziej osobiste niż typowe reggae'owe nawijanie o rastafarianiźmie". To tylko pół prawdy. Elementy hip-hopowe są widoczne, ale oprócz nich mamy do czynienia z prawdziwą muzyczną burzą – wolny, hipnotyczny dub, jazzowy numer utrzymany w atmosferze zadymionego klubu, track funkowy, breakbeaty z żywymi instrumentami, a nawet nawiązanie do muzyki południowoamerykańskiej w utworze tytułowym. Choć nie usiłujcie dociekać zakamuflowanych treści w obcojęzycznym refrenie: „Śpiewaliśmy, wygłupialiśmy się podczas freestyle'owej nagrywki w studio" – wyjaśnia autor. Po Łukaszu Borowieckim słychać z całą pewnością dużo muzycznego obycia i doświadczenia oraz chęć bawienia się konwencją. Miód brzmi świeżo, gniewnie, a zarazem świetnie wykorzystuje głębię i siłę swojego głosu. Co ważne, jest naturalny, podczas gdy trochę nawijaczy wydaje się jeszcze gubić w przestawianiu akcentów, plątać przy przyspieszaniu gadki, on ma to wyćwiczone na medal. Ma też o czym mówaniem dwóch lat działalności Bass Medium i śpiewania do riddimów granych po klubach z winylowych siódemek była płyta „Mówisz i Masz", na tyle udana, że potrzebna stała się reedycja. „Trio, w którego skład wchodzi selektor i śpiewająca kobieta ze śpiewającym mężczyzną to nic nowego i nie jesteśmy tu rodzynkami. Wyróżniają nas języki, którymi operujemy. Nasze głosy dobrze razem brzmią, barwy naszych wokali zgrywają się w całość przypadającą ludziom do gustu, skoro chcą nas słuchać i przychodzą tłumnie na koncerty. Selektor miksuje reggae, ragga i dancehall naraz, ale to też nie jest wyjątkowe. Moje zainteresowania muzyczne słychać po sposobie mojego śpiewania – nie tylko siedzę w klimatach reggae dancehall, ale nasłuchuję też Jill Scott albo Eryczki Badu, czyli rzeczy łagodniejszych, delikatniejszych" – dodaje Marika. To, co dzieje się na wykorzystanych przez grupę jamajskich podkładach, rzeczywiście buja, a chemia między Frenchmanem i Mariką naprawdę jest unikalna. Nieco nostalgicznie, tęsknie jadący wokalista zostaje podbity przez dziewczynę z głosem subtelnym, ale i pełnym wigoru, trafiają na kozacki riddim i tworzy się hit, a po nim następny, i znowu... Płyta nie angażuje szczególnie pod względem tekstowym – trochę to wina „multijęzyczności", choć przyznać trzeba, że Francuz kaleczy nasz język z takim wdziękiem, że i Miodek pewnie by go uściskał, a Marika nawet przy prostych tekstach pokazuje drzemiący w niej potencjał. Na stacji stoi pociąg do Babilonu, mamy drzewo, po którym należy iść do korzeni, mamy ody do marihuany, ale wszystko to tak nawinięte, że gdyby nawet była mowa o biopaliwach, nikt nie miałby nic przeciwko.

„Rasta! Bądź gotowy na nowe brzmienie z miasta / nawet na betonie czasem coś wyrasta" – rymuje BMT. Natural Dread Killaz, Banda Tre, Vavamuffin, Jamal i właśnie Bass Medium Trinity pokazują, że nie tylko wyrasta, ale i potrafi efektownie zakwitnąć. Nowa fala szeroko rozumianego reggae robi duże wrażenie. Miejmy nadzieję, że się rozpleni.



Freddy Cricien jest jednym z nielicznych, którzy mogą z pełnym przekonaniem powiedzieć, że ponad trzy ćwierci dotychczasowego żywota poświęcili scenie hardcore. Jako młodszy brat Rogera Mireta, wokalisty Agnostic Front, Freddy już w wieku siedmiu lat odwiedzał hardcore'owe koncerty, by kilka lat później stanąć na czele formacji Madball

rozmawiał Sebastian Rerak

Choć dziś Freddy ma na karku dopiero trzydziestkę, od dawna już uchodzi za weterana. Dowodzony przez niego Madball stał się w międzyczasie jednym z filarów nowojorskiego HC, a nazwa zespołu wymieniana jest jednym tchem obok takich uznanych firm jak Agnostic Front czy Sick Of It All.

I jeżeli nadchodzący, siódmy album nowojorczyków – „Legacy" – okaże się równie wybuchowy, co ich niedawne polskie koncerty, to możemy oczekiwać autentycznej rewelacji. A oczekiwanie na jego premierę sugeruję umilić sobie lekturą poniższego wywiadu, przeprowadzonego z charyzmatycznym Freddym C. (bo z kimże by innym?).

Na plakatach obwieszczających dzisiejszy koncert można przeczytać: „Madball – definicja hardcore'a". Czy Twoim zdaniem Madball może posłużyć za modelowy zespół hardcore?
To dla nas na pewno wielki komplement, jestem z tego dumny. Nie wiem, czy rzeczywiście możemy uchodzić za definicję hardcore'u, ale mam nadzieję, że reprezentujemy scenę najlepiej, jak umiemy. A jeśli jesteśmy zespołem modelowym, to super! To świetnie, jeżeli mogę wnieść coś pozytywnego, pomóc komuś osobiście lub poprzez naszą muzykę. Przypuszczam, że po tylu latach grania i angażowania się w scenę, staliśmy się zespołem, który docenia wielu ludzi. Nie wiem, czy możemy służyć za wzorzec, ale zawsze staramy się dawać dobry przykład. Wszyscy mamy swoje dobre i złe strony. Nie zawsze byliśmy paczką najlepszych kolesiów, jakich można naśladować, ale teraz jesteśmy już dorosłymi facetami, znacznie bardziej dojrzałymi. Teraz bardziej niż kiedykolwiek możemy dawać dobry przykład. A w kwestii muzyki, po prostu robimy swoje. Jeśli kogoś przy tym zainspirowaliśmy, bardzo nam to schlebia.

W swoich początkach, Madball był tylko ubocznym projektem Agnostic Front, grającym jego niewykorzystane utwory. Ty byłeś wtedy małym dzieciakiem...
Tak, miałem dwanaście lat. Skończyłem trzynaście lat, kiedy wydaliśmy pierwszą EP-kę. I faktycznie było tak, jak powiedziałeś – graliśmy stare, odrzucone utwory Agnostic Front. Ja śpiewałem, goście z AF grali – np. mój brat grał na basie. Tak zasiane zostało ziarno Madball. Ponieważ dorastałem przy Agnostic Front, czasami podczas koncertów wychodziłem na scenę, żeby śpiewać z nim. To zainspirowało Rogera, Vinnie'ego i resztę do założenia nowego zespołu. I tak powstał Madball. Słowo „Madball" było ksywką, jaką nadał mi Vinnie, takie jest pochodzenie tej nazwy. Przez jakiś czas zespół przechodził ewolucję, by odnaleźć wreszcie własną tożsamość. Z powodu moich relacji z bratem długo pozostawaliśmy w cieniu Agnostic Front. Korzenie Madball tkwią w AF, więc zawsze byliśmy z nim porównywani, ale ostatecznie pokazaliśmy wszystkim, że choć należymy do jednej rodziny, to jesteśmy zupełnie inni – muzycznie, ale nie tylko.

O ile Ty zawsze będziesz bratem Rogera, tak Madball przestał być młodszym bratem Agnostic Front.
Tak, Madball wyrósł na samodzielny zespół. Zawsze szanowałem Agnostic Front, ponieważ wiem, skąd pochodzę i gdzie tkwią moje korzenie. AF jest jednym z najbardziej wpływowych zespołów w hardcore – zainspirował nie tylko nas, ale całą scenę. Zawsze będę miał dla nich ogromny respekt, ale w pewnym momencie życia trzeba stworzyć własną niszę i zacząć robić swoje. To właśnie zrobiliśmy z Madball. Ja i Roger jesteśmy braćmi, ale nie jesteśmy takimi samymi ludźmi, bardzo się różnimy. Podobnie Madball nie może być klonem Agnostic Front, ponieważ jest już jeden AF. Madball stał się oddzielnym zespołem i teraz ludzie szanują go jako siłę samą w sobie.

Madball rozpadł się niespodziewanie w 2001 roku. Okazało się jednak, że nie możecie żyć bez muzyki, bo już po niewiele ponad roku zeszliście się na nowo.
Przerwa trwała trochę dłużej, prawie dwa lata. Rozeszliśmy się z wielu powodów – osobistych, zawodowych i innych. Byliśmy wtedy naprawdę przybici i nie sądziliśmy, że jeszcze się pozbieramy, ale jakieś dwa lata potem zaczęliśmy wszystko od nowa. Nie podobał mi się sposób, w jaki się rozstaliśmy, więc zdecydowaliśmy się na powrót. Chcemy osiągnąć pełnię naszego potencjału, co nie udało nam się poprzednio. Mamy właściwą drużynę, by tego dokonać, bo nowy skład jest lepszy niż kiedykolwiek. Oprócz mnie i Hoyi, oryginalnych członków grupy, w Madball grają Rigg i Mills, którzy stali się częścią naszej rodziny. Nigdy wcześniej nie byliśmy z sobą tak silnie związani, jak teraz.

Często powtarzasz, że hardcore w Europie ma się lepiej niż w USA. Czemu tak sądzisz?
Myślę, że w USA tylko kluczowe miasta reprezentują hardcore i mogą się pochwalić silną lokalną sceną. Generalnie hardcore jest teraz silniejszy w Europie. Nie znam przyczyn, dla których tak się dzieje, ale jednak jest silniejszy. Nie zrozum mnie źle, w kilku amerykańskich miastach scena jest bardzo silna, ale w wielu innych miejscach musimy poprawić jej kondycję. Dobrą muzykę można znaleźć wszędzie, ale scena w Europie jest bez wątpienia jedną z najsilniejszych.

Jakiś czas temu nagraliście nową płytę, która oczekuje teraz swej premiery. Sądząc po kilku udostępnionych utworach, można przypuszczać, że będzie ona kontynuacją tego, co do tej pory robiliście. Nie dojdzie raczej do żadnych rewolucji w Waszym stylu.
O, tego bym nie powiedział (śmiech). To na pewno będzie kontynuacja. Każdy nasz album jest kontynuacją poprzedniego, ponieważ wciąż się rozwijamy, choć małymi krokami. Nie chcemy dostosowywać Madball do najnowszego trendu. Mamy bardzo sprecyzowane brzmienie i zawsze będziemy je mieć. To nie znaczy, że nie zamierzamy ulepszać naszej muzyki, bo to właśnie próbowaliśmy zrobić na nowej płycie. Nowy album jest najlepiej wyprodukowaną płytą w naszej historii. Utwory są zwięzłe, ciężkie i agresywne, a jednocześnie brzmią nowocześnie. To nadal Madball, ale Madball 2005. Każdy, kto lubi nasz zespół, na pewno będzie zadowolony. Sądzę nawet, że dzieciaki, które nas do tej pory nie znały, zainteresują się tą płytą. To na pewno kolejny rozdział w naszym życiu, ale pod wieloma względami jest to najważniejszy rozdział. Ta płyta ma być deklaracją i myślę, że będzie mówić sama za siebie.

Zdarzało Wam się łączyć hardcore z hip-hopem. Co sądzisz o mariażu tych stylów?
Próbowaliśmy łączyć oba te style, ale nigdy nie byliśmy grupą rap-core'ową. Zawsze czerpaliśmy pewne inspiracje z hip-hopu, np. w kwestii rytmu czy struktury utworów. Dorastaliśmy otoczeni przez taką muzykę, więc przypuszczam, że zawsze miała na nas pewien podświadomy wpływ. Kocham hip-hop i hardcore, ale nigdy nie grałbym ich tak, by nie łączyły się ze sobą płynnie. Staramy się do naszych utworów wrzucać trochę rymowanych wersów i wstawek, w których sami rapujemy itp., ponieważ dorastając słuchaliśmy także hip-hopu, ale Madball to zdecydowanie zespół hardcore.

Pomyślałem, że w Waszej okolicy może być tak, że w piwnicy jednego budynku gra swoje próby grupa hardcore, a w sąsiednim budynku ćwiczy skład hip-hopowy.
Bo tak jest! Kiedy w sali prób pisaliśmy materiał na nowy album, w sąsiednim pomieszczeniu ćwiczył hip-hopowy DJ, a w jeszcze innym jacyś kolesie grali metal. Tak jest w porządku. Dorastaliśmy przy bardzo różnej muzyce i czasami te inspiracje wychodzą na jaw, ale raczej niespodziewanie i nigdy nie przytłaczają naszego stylu. Nowa płyta jest bardzo bezpośrednia, nie ma na niej elementów hip-hopu. I nie stało się tak z żadnego konkretnego powodu, tak po prostu wyszło. Nagraliśmy to, co mieliśmy i jesteśmy z tego zadowoleni.

Chciałem zapytać Cię także o udział Latynoamerykanów w scenie hardcore. Czy wielu Latynosów jest związanych z HC?
Jasne! Ja jestem Latynosem, podobnie jak Hoya i mój brat. W zależności do miasta, scena hardcore jest mniej lub bardziej wymieszana etnicznie. Scena w Nowym Jorku jest bardzo zróżnicowana, bo Nowy Jork to tygiel całego świata. Obok siebie istnieją różne kultury, religie, płcie, orientacje seksualne i rasy. Scena odzwierciedla to w naturalny sposób, co bardzo mi się podoba, bo doceniam zróżnicowanie. Jesteśmy Latynosami i zawsze będziemy szanować nasze korzenie. Czasami grywamy w Ameryce Południowej i zawsze spotykamy się tam ze znakomitym odbiorem ze strony wielu dzieciaków.

No właśnie, zastanawiałem się jak dzieciaki np. w Argentynie reagują na Wasze hiszpańskojęzyczne utwory.
One je uwielbiają! Są zaangażowane w scenę hardcore, ale dzięki nam mogą utożsamiać się z nią jeszcze bardziej bezpośrednio, ponieważ łączy nas język i latynoskie pochodzenie. Tamtejsza publika zawsze ma szczególny stosunek do hiszpańskojęzycznych utworów, bo może się do nich odnieść. Chociaż nie nagrywamy całych albumów po hiszpańsku, a zazwyczaj jeden numer, by dać dowód naszych korzeni. Na nowej płycie też znajdzie się taki utwór.





kitesurfing
kilka słów o sprzęcie

W ostatnim numerze mowa była o pierwszych krokach przy całkiem świeżej letniej zajawce, jaką jest kitesurfing. Teraz postaram się przybliżyć sprzęt i gadżety, które każdy uprawiający ten sport posiadać powinien

tekst Szczepson

Na początku doradzałbym poczynić pierwsze kroki pod okiem instruktora, a dopiero później zabierać się za zakup sprzętu. Ale jeżeli ten etap mamy już za sobą, potrzebny nam będzie: latawiec (najlepiej dwa), deska, trapez, pianka. Koszt nowego kompletnego latawca (latawiec, pompka, bar z linkami i systemami bezpieczeństwa, pokrowiec oraz zestaw naprawczy) waha się od 2000 do 6500 pln w zależności od rozmiaru (od 5 do 25 m^2). Wielkość latawca dobieramy przede wszystkim do wagi oraz do siły wiatru, przy jakim chcemy sprzętu używać. Nie będę rozpisywał się na ten temat, gdyż takich informacji udzieli wam każdy instruktor. Potrzebujemy także deski (za ok. 1500-3000 pln), trapezu (350-600 pln), oraz pianki (350-1500 pln). Wychodzi nam z tego dość pokaźna kwota, dlatego warto rozważyć opcję wypożyczania sprzętu lub zakupu używanego.

Przy podejściu czysto rekreacyjnym i pływaniu, powiedzmy, tydzień lub dwa w roku, radzę skorzystać z wypożyczalni. Koszt to ok. 200 pln za dzień w Polsce, natomiast przy wyjazdach zagranicznych jest to ok. 150-200 euro za tydzień. W tej cenie otrzymacie komplet: latawiec, bar i deskę oraz możliwość wymiany sprzętu na inny w razie zmiany warunków wiatrowych. Jest to atrakcyjna oferta, gdyż w polskich warunkach przy zmiennej sile wiatru zdarza się zmieniać rozmiar latawca dwa lub trzy razy w ciągu dnia. Jeśli zamierzacie na kiteboarding poświęcić więcej czasu, przybliżę także ofertę sprzętu używanego.

Najłatwiej jest kupić deskę, gdyż ona zużywa się najmniej. Jeżeli nie ma widocznych głębokich rys lub pęknięć, posiada wszystkie stateczniki, footstrapy są całe i dobrze trzymają nogę, możemy być prawie pewni, że będzie nam służyć jak należy. Najlepiej, gdy nie jest zbyt stara, ponieważ postęp technologiczny w tym sporcie jest dość szybki. Używaną możemy kupić od 600 pln w górę. Jaka powinna ona być na początek? Na pewno dość szeroka (ok. 40cm), jej długość powinna się kształtować pomiędzy 140-160 cm, w zależności od wagi ciała, gdyż przede wszystkim do niej dobieramy deskę. Jednak i tu w grę wchodzi opcja wypożyczalni, skąd lepiej wypożyczyć deskę na początek (ok. 60 pln za dzień), a zakupić sobie już deskę docelową, ponieważ progres w kiteboardingu jest bardzo szybki.

Z używanymi latawcami jest już trochę większy problem, ponieważ jest tu o wiele więcej możliwości „nacięcia się". Najtańsze są latawce sprzed ponad dwóch sezonów, jednakże ich właściwości są słabsze od latawców nowych. Następną rzeczą jest sprawdzenie, czy tuby są szczelne. Test prosty: wystarczy latawiec napompować i pozostawić na jakiś czas. Kolejna sprawa: sprawdzamy, czy latawiec nie był rozdarty, przy czym jeżeli był (jego cena powinna być o wiele niższa), dobrze naprawiony nadal może służyć, niemniej jednak okiem laika nie da się tego odpowiednio ocenić. Następna rzeczą świadczącą o stopniu zużycia latawca jest poszycie. Jeżeli materiał na kolorowych elementach jest „wytrzepany" od wiatru (cienki, z widocznymi białymi załamaniami) może oznaczać to, iż latawiec jest mocno zużyty i jego właściwości lotne są gorsze. Warto też spojrzeć na mocowania linek do latawca, czy na pewno są w dobrym stanie.

Kolejnym elementem jest bar. Doradzam kupno nowego, ponieważ linki oraz system de-power potrafią się przetrzeć. Inny argument przemawiający za nówką to bezpieczeństwo. Od zeszłego sezonu każdy latawiec musi posiadać system pozwalający w jednym ruchu pozbawić latawiec mocy, a gdyby to nie podziałało, w drugim odpiąć go zupełnie.

Gdy mamy już taki komplet lub też postanowiliśmy na razie sprzęt wypożyczać, warto nabyć osobisty trapez. Dobry byłby kajtowy z rączką z tyłu umożliwiającą przytrzymanie, będzie on dodatkowo bardziej wytrzymały od windsurfingowego.

I ostatni gadżet odróżniający kajciarzy od windsurferów – luźne spodenki zakładane na piankę, aby nie paradować w samej gumie w stylu „na fokę". Mam nadzieję, że moje spostrzeżenia i uwagi pomogą wam w doborze sprzętu, a w razie wątpliwości zawsze warto spytać specjalisty.



bunny hop



bmx

rafał „pilot" krajewski

tekst i foto Feliks.Szewczyk.info

Ile masz lat i od jak dawna jeździsz na bmx-ie?
Mam 20 lat i jeżdżę już piąty rok, z roczną przerwą.
Kiedy i od czego zaczęła się Twoja zajawka na bmx?
Z chwilą utraty tej na deskę. Co tu dużo ukrywać, brakowało mi wiedy motywacji, a bmx wydał się czymś ciekawym, nowym.
Gdzie mieszkasz? Czy to miejsce ma wpływ na Twoją jazdę?
Warszawa – Mokotów – Stegny. Nie wydaje mi się, żeby miało wpływ. Może na początku, kiedy wszystko się rozkręcało, nikt nie umiał jeździć, wszyscy ze sobą konkurowali i chciało się być „tym najlepszym na osiedlu".
Kto lub co Cię inspiruje, jeśli chodzi o jazdę?
Najbardziej mobilizuje mnie rywalizacja z moimi najbliższymi przyjaciółmi, z którymi jeżdżę. Nie ma nic lepszego niż taka „cicha konkurencja".
Twoja ulubiona miejscówka?
Nie mam ulubionej, każda prędzej czy później się nudzi. Dlatego jeżdżę, rozglądam się za coraz to nowszymi miejscami i czekam, co się zdarzy.
Czy nie boisz się upadków i kontuzji przy wykonywaniu trików?
Kontuzje to syf. Nie da się, niestety, przed nimi ustrzec, ale cóż, nie ma ryzyka, nie ma zabawy. Jak jeżdżę, staram się nie myśleć, co by było gdyby, tylko robię swoje. Mimo to zawsze mam ochraniacze, nigdy nie wiadomo, co się stanie.
Czy lubisz jeździć po Warszawie?
Lubię, choć rzadko mi się to ostatnio zdarza. Warszawa ma jeszcze mnóstwo ciekawych miejsc do odkrycia, nie wątpię. Póki co jednak kieruję się w stronę dirtu.
Street czy hopy?
Mimo wszystko street.
Co sądzisz o sytuacji bmx w Polsce?
Nigdy nie było lepiej, są części w sklepach, są imprezy bmx. Wszystko to jakoś się toczy w dobrym kierunku.
Co robisz na co dzień poza jazdą na bmx, czym się jeszcze interesujesz?
Spotykam się z dziewczyną, z kumplami. Mam zamiar powrócić do gry na basie. No i warto by było wreszcie zacząć myśleć o studiach. Wojsko nie śpi, a mnie nie prędko w kamasze.
Z kim lubisz jeździć?
To przede wszystkim Witold – mój dobry kumpel, który jest ze mną od początku i razem sobie radzimy, także Rudy – mimo że jeździ od niedawna, wprowadza w klimat coś świeżego i nie można się z nim nudzić. W sumie lubię sobie pojeździć ze wszystkimi, którzy motywują i popychają mnie do coraz to lepszych trików.
Twój ulubiony trik, który kleisz i Twój wymarzony, którego jeszcze nie potrafisz?
Turndown i 180. Poza tym, chciałbym wreszcie skleić tailwhipa.
Na czym jeździsz?
Mój rowerek jest taki, jaki lubię – mały, lekki, prosty i działa.
Czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś wspomnieć na łamach „Ślizgu"?
Jeździjcie na rowerze i bawcie się dobrze:) To chyba najważniejsze, nic więcej.
Pozdrowienia:
Well, przede wszystkim chciałbym pozdrowić moją rodzinkę: mamę, tatę, moich braci, moją wspaniałą dziewczynę Hanię, najbliższych ziomków: Witolda, Rudego, Tomka, Staszka (pornosonic), wszystkich, z którymi jeżdżę. Pozdrawiam tych, którzy znaczą bądź znaczyli w moim życiu bardzo wiele (wy wiecie, o kogo chodzi). Pozdro!




turndown

gorillaz

małpiszoł

Wiecznie przymulony wokalista, deathmetalowy basista, raper za perkusją i dziesięcioletnia gitarzystka. Dwóch Anglików, Amerykanin i Japonka. Czy taki zespół ma w ogóle szansę nie tylko zaistnieć, ale i utrzymać się w szołbiznesie? Oczywiście. I właśnie wydał kolejną płytę

tekst Kubanos

FIKCJA...

Oficjalny skład Gorillaz to: 2D (Stuart Tusspot) – wokal i klawisze, Russel Hobbs – perkusja, Murdoc Niccals – bas i Noodle – gitara. Nie byłoby tego zespołu, gdyby nie dziwaczny splot okoliczności. Murdoc – fan deathu i The Clash, wiecznie naspidowany wyznawca Szatana – próbował ukraść klawisze ze sklepu, nokautując (z poważnym skutkiem, jakim było wybicie zęba i krótkotrwały stan śpiączki) Stuarta, który pracował tam jako sprzedawca. Złapany na gorącym uczynku Murdoc musiał opiekować się od tej pory swoją ofiarą - była to część kary wymierzonej mu przez sąd. Czynił to z wyraźną niechęcią (zresztą okazywaną wokaliście zespołu do dziś) i przy okazji wybił mu drugi ząb. Wtedy to Stuart przybrał ksywkę 2D, czyli 2 Dents (Dwie Szczerby). Po tych wydarzeniach pozostały mu też na pamiątkę wieczne migreny i uzależnienie od środków przeciwbólowych.

Po pewnym czasie Murdoc i Stuart spotkali Russela, który wraz z rodziną przybył do Anglii ze Stanów Zjednoczonych po tym, jak obudził się z czteroletniej śpiączki, w którą zapadł wskutek postrzału. W ulicznej strzelaninie zginęli wszyscy kumple Russela, jednak ich duchy wstąpiły w jego ciało, wybitnie wspomagając jego talent raperski. Russ czasami uwalnia owe „funkowe widma", by wzbogacić muzykę Gorillaz (na czym to polega, możecie się przekonać oglądając niektóre teledyski zespołu, choćby „Clint Eastwood"). Jako ostatnia do Gorillaz dołączyła Noodle, która przysłała się do Anglii w paczce, w odpowiedzi na ogłoszenie zespołu, który poszukiwał gitarzysty. O jej przeszłości wiadomo niewiele, a przydomek pochodzi od jedynego słowa, które mówi po angielsku. Wspólnie założyli Kong Studios, pełniące jednocześnie funkcję ich mieszkania, mieszczące się na wysokiej górze pośrodku cmentarza w Essex. Przyznajcie, trudno o grupę większych freaków...

Historia Gorillaz jest o wiele bardziej szczegółowo opisana (wystarczy poszperać w Internecie). Członkowie zespołu mają w miarę możliwości dokładnie opisane życiorysy, charaktery, zainteresowania i umiejętności. Występują na żywo, udzielają wywiadów, angażują się w różne przedsięwzięcia, występują gościnnie na płytach innych wykonawców. I są całkowicie zmyśleni.

...I PRAWDA

Tak naprawdę za Gorillaz odpowiedzialne są dwie osoby: Damon Albarn, lider zespołu Blur, i rysownik Jamie Hewlett. Ten ostatni tworzył m.in. komiksy dla słynnego magazynu „2000 AD" (mini seria „Hewligan's Haircut"), jednak jego najsłynniejszym dziełem jest „Tank Girl", którą zaprojektował dla niezależnego magazynu „Atomtan". Stamtąd został ściągnięty do „Deadline" (założonego m.in. przez ilustratora „Kaznodziei", Steve'a Dillona), a „Tank Girl", rysowana do scenariuszy Alana Martina, zdobyła ogromną popularność, co zaowocowało choćby – marną, niestety – ekranizacją (w jednej z ról drugoplanowych wystąpił Ice-T). Porażka filmu spowodowała, że Hewlett porzucił rysowanie komiksów, a zajął się designem wnętrz klubów i sklepów.

Z Damonem Albarnem Hewlett po raz pierwszy spotkał się jeszcze podczas pracy w „Deadline". Blur rozpoczynali wówczas karierę sceniczną, a gitarzysta zespołu był wielkim fanem komiksów Hewletta, co doprowadziło do spotkania obu stron. Jamie przeprowadził wtedy wywiad z grupą, jednak jego pierwsze spotkanie z Albarnem nie mogło wróżyć nic dobrego. Panowie zdecydowanie nie przypadli sobie do gustu (Hewlett mówił później o Damonie głównie jako o „dupku i onaniście"), ale spotykali się potem dość często. Okazji nie brakowało, bo tak się dziwnie złożyło, że obaj w owym czasie chodzili z dziewczynami z grupy Elastica. To nie koniec zbiegów okoliczności: mniej więcej w tym samym momencie zostali przez te dziewczyny rzuceni. Hewlett i Albarn postanowili wynająć wspólnie mieszkanie w Londynie i utopić żale w powodzi imprez. I choć mieszkali razem tylko osiem miesięcy, to owocem ich wspólnych fascynacji był właśnie zespół Gorillaz.

Jak połączyć talent muzyka i talent artysty? To okazało się genialnie proste: trzeba stworzyć wirtualną kapelę. Głównym założeniem było jednak to, że zespół, choć nie istnieje, musi zachowywać się tak, jakby był najzupełniej prawdziwy. Stąd koncerty, wywiady, kolejne wydawnictwa... Projekt miał wykorzystać wszelkie dostępne media: teledyski, DVD, rozbudowaną, interaktywną stronę internetową. Koncepcja Gorillaz pojawiła się już w 1997 roku, jednak wówczas Albarn był zajęty promowaniem nowego albumu Blur i dopiero dwa lata później mógł zająć się nagraniem demo. Szybko podpisał kontrakt z wytwórnią Parlophone i zabrał się do produkcji płyty.

WCZORAJ...

Ukryty pod animowanym wizerunkiem Gorillaz Albarn pozwolił sobie na eksperymentowanie z muzyką, jakiej z Blur nie mógłby nagrać. Pierwsza płyta Gorillaz to mieszanka hip-hopu, trip-hopu, rockowej alternatywy z wpływami reggae i world music. Albarn zdawał sobie sprawę, że gdyby wydał podobny album pod szyldem Blur, byłby zupełnie niewiarygodny. Gorillaz nikt jeszcze nie znał, a i tak przez długi czas muzyk zaprzeczał, że jest „mózgiem" całego przedsięwzięcia i mówił, że wystąpił na płycie jedynie gościnnie. Jednak to on w olbrzymiej mierze jest odpowiedzialny za dokonania Gorillaz. Nie osiągnąłby jednak zamierzonego efektu, gdyby nie grono znakomitych współpracowników. Gdy Albarn napisał już większość piosenek na pierwszą płytę, zaprosił do współpracy znanego producenta Dana The Automatora. To właśnie on dołożył do nagrań większość hip-hopowych beatów i sampli. To on ściągnął do nagrania skreczy Kida Koalę i namówił do wystąpienia takich artystów jak



Del Tha Funkee Homosapien, Tina Weymouth, Miho Hatori czy Ibrahim Ferrer. Nie bez powodu Dan The Automator jest wymieniany jako jeden z głównych twórców sukcesu pierwszej płyty Gorillaz.

W czasie, gdy trwały ostatnie miksy i dogrywki, Jamie Hewlett nie próżnował. Założył własne studio Zombie Flesh Eaters, dzięki czemu prace nad wizualizacją Gorillaz przebiegały dużo sprawniej. Zaprojektował nie tylko sylwetki muzyków, ale i fikcyjne Kong Studios, które można było zwiedzać na bogatej i przemyślanej stronie internetowej zespołu. Zresztą Albarn i Hewlett do Internetu przywiązują ogromną wagę: strona www.gorillaz.com co jakiś czas się zmienia, pojawiają się (na wyłączność!) nowe nagrania i klipy, a wirtualni członkowie zespołu zabierają głos na forum. Wraz z uruchomieniem strony światło dzienne ujrzało pierwsze oficjalne wydawnictwo Gorillaz, epka „Tomorrow Comes Today". Praktycznie pozbawiona promocji nie zrobiła wielkiej furory, ale maszyna ruszyła. Uwagę przykuła zwłaszcza oprawa wizualna. Niezwykle plastyczne rysunki Hewletta, mocno inspirowane horrorami (obaj „ojcowie" Gorillaz przyznają się do fascynacji tym gatunkiem, wśród mistrzów wymieniając m.in. George'a Romero i Lucio Fulciego) okazały się strzałem w dziesiątkę. To była nowa jakość nie tylko w muzyce, ale i w animacji.

W marcu 2001 roku ukazał się singiel „Clint Eastwood", a dalej wydarzenia potoczyły się lawinowo. Wywiady, pierwsze koncerty i oczywiście wielki sukces singla, który okazał się największym hitem w całej muzycznej karierze Albarna. Pod koniec marca ukazała się pełnometrażowa płyta, zatytułowana po prostu „Gorillaz", a zespołem zainteresował się cały świat. Również muzyczny. Albarn współpracował m.in. z Redmanem, remiksując jego hit „Let's Get Dirty", w zamian za co raper nagrał swoje wersy na utwór „Gorillaz On My Mind", opublikowany na ścieżce dźwiękowej do drugiej części filmu „Blade". Wkrótce potem Gorillaz nagrali wraz z D-12 (bez Eminema w składzie) kawałek „911", poświęcony atakom na World Trade Center. 2D wystąpił gościnnie na płycie Massive Attack „100th Window". Swoją drogą, podobno Albarnowi sprawiło dużo radości podpisanie swojego udziału w utworze „Small Time Shot Away" jako 2D, ponieważ jeden z członków Massive Attack używa pseudonimu 3D. Gorillaz brali udział również w kilku koncertach antywojennych, a 2D zaangażował się w kampanię na rzecz wyzwolenia Tybetu (rzekomo dzięki przyjaźni z Ad Rockiem z Beastie Boys).

Pod koniec 2001 roku ukazała się kompilacja „G-sides", zbierająca kawałki publikowane na „stronach B" singli. Na początku następnego roku zespół ruszył w trasę po Stanach Zjednoczonych. Tu parę słów dla ciekawych, jak wyglądają koncerty zespołu, który de facto nie istnieje. Żywi muzycy grają ukryci za kurtyną, natomiast animowani Gorillaz (Hewlett przygotował na te okazje specjalne animacje trójwymiarowe) pojawiają się na dużych ekranach. Rozwiązanie proste, ale pomysłowe i dodatkowo przykuwające uwagę fanów.

Kolejne sukcesy Gorillaz pojawiały się jak na zawołanie: nominacje do Brit Awards jeszcze wyróżnień nie przyniosły, jednak już podczas MTV European Awards zespół dostał nagrodę dla najlepszego wykonawcy muzyki tanecznej (!) i za najlepszy utwór („Clint Eastwood"). Ukazał się też album „Laika Come Home", który był dubową wersją debiutu zmiksowaną przez The Spacemonkeyz. Na stronie internetowej pojawiła się informacja, że Kong Studios zostało zamknięte przez policję (na skutek doniesień o nagim wariacie biegającym w okolicy studia i cmentarza). Powoli dobiegał końca pierwszy etap w historii zespołu, nazwany przez Albarna „Fazą pierwszą" i uwieńczony wydaniem DVD „Phase One: Celebrity Take Down". Na płycie, oprócz teledysków i fragmentów koncertów, można było obejrzeć tzw. „Gorilla Bites", czyli krótkie filmy animowane Hewletta i sporo innych ciekawostek. Menu płyty to znów wizyta w Kong Studios, opuszczonym przez jego mieszkańców, za to od czasu do czasu można dojrzeć tam sylwetkę śmiejącego się wariacko golasa albo kilka zombie.

...I DZIŚ

Po wydaniu DVD na jakiś rok szum wokół zespołu przycichł. Przez pewien czas Hewlett i Albarn wspominali o nakręceniu pełnometrażowego filmu animowanego z Gorillaz w roli głównej (podobno o produkcję ubiegało się m.in. studio Stevena Spielberga, Dreamworks), jednak po odrzuceniu kilku scenariuszy projekt przesunięto na bliżej nieokreśloną przyszłość. Damon zajął się promocją nowej płyty Blur, Hewlett zaszył się w swoim studiu i projektował różne rzeczy na boku (m. in. menu na DVD z utworami Johna Lennona). W końcu zaczęły pojawiać się pogłoski o nowym albumie. Pod koniec 2004 roku ogłoszono, że kordon policyjny wokół Kong Studios został zdjęty, a zespół wraca do nagrywania (pierwsza w studiu pojawiła się Noodle). Odżyły nadzieje fanów, aż wreszcie w maju 2005 ukazał się drugi studyjny album Gorillaz, „Demon Days". I choć wirtualny skład zespołu się nie zmienił, to Albarn dobrał tym razem do współpracy zupełnie innych muzyków. Produkcją zajął się tym razem DJ Dangermouse, słynny ze swojego eksperymentu „Grey Album", na którym zmiksował nagrania z Beatlesów z „White Album" i Jaya-Z z „Black Album". Poza tym na płycie roi się od gwiazd w gościnnych występach: De La Soul, Roots Manuva, Shaun Ryder (Happy Mondays), Neneh Cherry i Ike Turner, swoje wersy dołożył także słynny aktor Dennis Hopper. Płytę promował singiel „Feels Good Inc." (z udziałem De La Soul), a z pewnością doczekamy się kilku następnych. Hewlett zdradził, że pracował nad ulepszonymi animacjami do wykorzystania w czasie koncertów, można się więc spodziewać, że wkrótce zespół ponownie ruszy w trasę. Rozpoczęła się „Faza druga"...



GORILLAZ
DEMON DAYS
VIRGIN

Minęły cztery lata od poprzedniej klasycznej, studyjnej płyty pierwszej w historii muzyki animowanej grupy. Kawał czasu jakby nie było i sporo zmian w międzyczasie. Z Gorillaz pożegnali się ci bohaterowie, których fani hip-hopu lubili najbardziej – producent Dan the Automator Nakamura, genialny turntablista Kid Koala i związany z Hieroglyphics emce Del Tha Funkee Homosapien. „Demon Days" stało się tym samym niemal solowym popisem Damona Albarna, zaś cichym bohaterem jest Dangermouse. To swoją drogą niesamowite, że facet, którego jeszcze półtora roku temu niemal nikt nie kojarzył, teraz dostępuje tylu zaszczytów, no ale fakt faktem – pomysł „Grey Albumu" mieszającego Beatlesów z Jayem-Z nie mógł przejść bez echa. Po kilkukrotnym przesłuchaniu „Demon Days" nasuwa się wiele wniosków, z których najważniejsze są dwa. To naprawdę bardzo dobra płyta, ale... No właśnie – trzeba dać jej szansę, bo jest albumem trudniejszym od „Gorillaz", bardziej mrocznym i wciągającym przede wszystkim jako doskonale uzupełniająca się całość, a nie zbiór pojedynczych szlagierów. Oczywiście – są numery porywające z miejsca, jak „Kids With Guns", „All Alone" z Roots Manuvą, mocno wykręcone „Every Planet We Reach Is Dead", klimatyczne „November Has Come" z MF Doomem czy eksperymentujące z elektroniką „Dare". Nie da się jednak ukryć, że materiał to w większości popis Albarna i „Demon Days" należy jako całość rozpatrywać bardziej pod kątem kolejnego etapu jego muzycznych jazd na najwyższym poziomie niż kontynuacji Gorillaz w ich pierwotnej formie. **Calak**






Filip vs. Majkel

finał WBW 2005

igrzysk, nie chleba!

Podekscytowany tłumek przed Ground Zero, nerwowe uśmiechy, przybijanie piątek. Przeciskanie się przez ciasne korytarzyki pokryte graffiti, żeby wreszcie dotrzeć do serca klubu, który nigdy nie wyglądał tak dobrze i nigdy nie był tak nagłośniony

tekst Marcin Flint
foto Cess

Poziom emceeingu czołówki czterech zawodów eliminacyjnych (w pierwszej grupie mieliśmy pierwsze miejsce z Warszawy i Katowic oraz wicemistrzów z Lublina i Poznania, w drugiej na odwrót), bokserska oprawa lokalu – pro-oświetlenie, gong, pas dla zwycięzcy, szlafroki dla finalistów i zwieńczenie wszystkiego w postaci wystylizowanej na ring sceny, wreszcie publika rozgrzana odrobiną breakdance'u i podkręcającą temperaturę konferansjerką Zag.Mad.Fanego. Wszystko to zwiastowało dobre show, a zarazem kawał dobrego hip-hopu.

Zaczęło się od bitwy Dioxa z zeszłorocznym mistrzem, Duże Pe. Pokazała ona więcej niż mogłoby się wydawać. Warszawiak udowodnił regres – przez cały turniej nie miał jednej dobrej rundy tematycznej, potrafił się przykro zaciąć czy pojechać wyświechtanym wersem. Zwykle udawało się mu nadrobić w drugiej rundzie, gdzie zmęczony chyba swoją indolencją wrzucał okrutne punchlines jeden po drugim. Do czasu... Z kolei Diox jechał miękkim, dopracowanym flow, w nienagannym technicznie stylu – bez dawnej histerii, ale i bez takiej determinacji, na jaką go stać. Publiczność jest pamiętliwa, zwykle werdykt ma przed walką, a formę w głębokim poważaniu – może być nie w tempo, poza beatem, byle by były wersy o ssaniu pały, jechaniu w dupę i dziewczynie, która, nawet jeśli nie ma jaj, to chętnie – daje się innym. Diox tego nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć.

Nie będziemy zagłębiać się w każdą walkę, natomiast warto poświęcić trochę czasu dyspozycji poszczególnych zawodników. Rewelacyjny w Katowicach Skow (pochodzi z Grudziądza) pokazał, że musi otrzaskać się jeszcze z imprezami największej rangi. Nieco spiął się, zamulił, stracił umiejętność błyskotliwego interpretowania tematu i klasę pokazał jedynie w pojedynku z Pe. Okrutnie sponiewierał go (Skowa) Dolar, sprowadzając typa o groźnej posturze do roli mięśniaka z siłowni, mordercze wersy szły naprawdę jeden za drugim. Niestety, im dalej w turniej tym z reprezentantem Lublina było gorzej. Najbardziej kontrowersyjny pojedynek wieczoru, czyli starcie Dolara z Dioxem, to ze strony tego pierwszego festiwal nieraz przypadkowych, zupełnie infantylnych, kanciastych rymów, dla których określenie „częstochowskie" byłoby komplementem.

Jeżeli chodzi o konstruktywność wrzutu, jego logikę i nieprzypadkowość, to gliwiczanin Majkel nie miał sobie równych, a w technice dorównywał mu tylko Diox. Ale niestety tu nie lubi się wbijania szpil w bystry sposób, tu wali się na odlew w mordę i nawet zniecierpliwiony Tetris dobijając przeciwnika kazał mu „zamknąć ryj". Natomiast Majkel, ze swoim image'em misia z brzuszkiem, lenistwem scenicznym, niespiesznym flow i wadą wymowy nie zyskuje odzewu, czego by nie mówił i jak nie próbował publiczności podkupić. Trudno, z pewnością jego przekrój wioski smurfów z mistrzowskimi analogiami wejdzie do historii freestyle'u, podobnie jak Kamel, który rok temu przeszedł spacerkiem przez wszystkie konsolowe mordobicia.

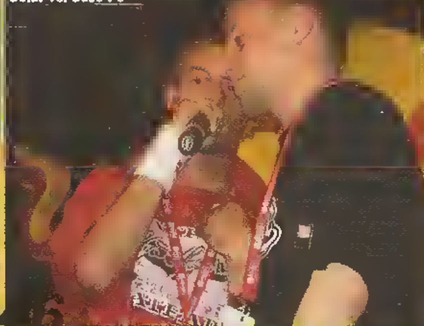
Filip okazał się żywym, szybko myślącym zawodnikiem, showmanem, ale zabrakło mu lekkości, pomysłów i doświadczenia, które widziałem np. w Katowicach. Upodobnił się do Siódmego – szalona energia plus za proste, za schematyczne, usilne punchlines. Ale za rok to zdecydowanie jeden z faworytów.

Półfinały powtarzały finałowe walki lokalnych Grand Prix, ale były rzeziami. Nie zdziwiłbym się, gdyby Pe zatchnął się po tematycznym wejściu Pogo, podobnie jak Eminem w „8 Mili". W rundzie bitewnej nawiązał już jakiś dialog, ale pod koniec walki sam doskonale wiedział, kto wygrał – Pogo. Mistrza trzeba znokautować i cóż, to właśnie się stało. Pe przegrał nieco na własne życzenie, bo najwyraźniej nie zadbał o trening i kondycję.

Druga walka to triumf Tetrisa nad Dioxem. Tet doskonale pamiętał poprzednie starcia i trafnie od nich nawiązywał. Świetnie sparodiował ładny, choć czasem rzeczywiście już monotonny styl przeciwnika. Miał już to, co pozwoliło Pe zdobyć tytuł mistrza rok temu – odrobinę chamstwa i umiejętność podsumowania mocnym uderzeniem. Diox zakończył zaś cokolwiek melodramatycznie, informując, że to jego ostatnia walka i żegnając się z publiką. Jeśli rzeczywiście odejdzie, to trzeba przyznać, że wybrał dobry moment.

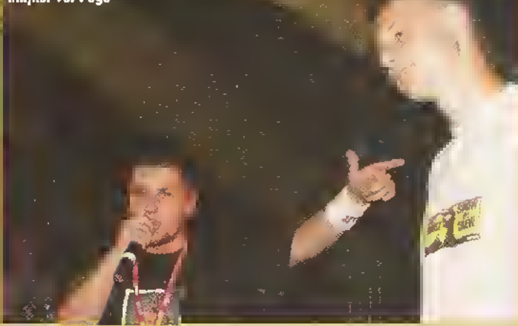
Finał był dobry, ale nie miał za grosz dramaturgii i magnetyzmu WBW AD 2004, co okazało się zresztą problemem całej imprezy. Więcej skillsów, mniej klimatu, a może raczej świadomość tego, czego można się spodziewać. Spotkali się goście z jednej formacji i wyszło to nieco familijnie, choć z drugiej strony imponująco poszukiwali w swoim mózgu haków na siebie, nawiązując do sytuacji, które znane są wąskiemu gronu i tocząc istotny spór psychologiczny. Tet nie dał rady nieprzystającemu nieco do finału tematowi (bodajże „skórzane spodnie", szkoda, bo w swoich tematach starałem się nawiązać do czarnej esencji, utworów m.in. Blackstara, Black Moona, Blackalicious), a co więcej zaskakiwał gubieniem się, wypadaniem z beatu. Cóż, Alicja przechadzająca się seksownie z planszami sprawiała, że wszyscy myśleli jakoś wolniej. Niemniej Pogo pojechał bez kompleksów, równo i choć nie wytworzył miażdżącej przewagi, to przy takim systemie sędziowania (właściwie niemożliwość dogrywki, tabliczki z ksywkami podnoszone na „trzy-cztery") okazała się wystarczająca, by ogłosić werdykt. Tak czy inaczej, wygrało WieszOCoChodzi.

Z przyjemnością wyławiałem z tłumu TDF-a (grał z Bezelami mądrze rozplanowany koncert), który najwyraźniej się dobrze bawił. Nieważne, że błędy, które zdarzały się i dj'om, i konferansjerowi bywały straszne. I tak było gruuuubo. $


Dolar vs. Duże Pe

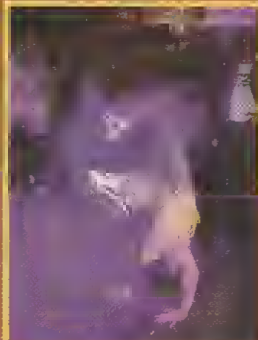


Diox vs. Skow


Majkel vs. Pogo



TOF w akcji



WBW

wywiad z finalistami

Opowiedzcie o wrażeniach po WBW. Są jakieś walki i wersy, jakich nigdy nie zapomnicie?

Tetris: Wrażenia jak najbardziej pozytywne. Kilka nowych, świeżych twarzy. Chociaż mimo wszystko myślałem, że tych konkretnych kotów będzie więcej. Organizacja na bardzo wysokim poziomie. Szczególnie finał w Ground Zero był dopięty na ostatni guzik. Walką, która chyba najbardziej utkwiła mi w pamięci, był półfinał Pe vs. Pogo i pierwsze wejście Pogza. Takiej determinacji i zawziętości podczas bitwy dawno nie widziałem. Jeśli chodzi o wersy bądź konkretną sytuację, to na pewno Filip vs. Lipsieux podczas Grand Prix Lublina. Mam na myśli burackie zachowanie pseudopubliczności i fakt opłucia Filipa. Jego reakcja na to zostanie w mojej głowie na bardzo, bardzo długo, jeśli nie na zawsze. Poza tym, było sporo dobrych, mocnych wersów.

Pogo: Odczucia są na pewno pozytywne, bardzo wysoki poziom, dobra organizacja i wspaniała publika, więc naprawdę nie ma co narzekać. A jeżeli chodzi o wersy, których nie zapomnę, to na pewno to, że „nie da się mnie z przodu nakręcić".

Działacie w jednej formacji – czy nie jest aby tak, że Tetris jest mentorem Pogo i nie chciał go zanadto okaleczyć? Nie są to pojedynki bratobójcza?

Pogo: Pomimo iż nie jestem w żaden sposób obiektywnym obserwatorem naszych walk, to jednak nie zauważyłem w żadnej z nich jakiegokolwiek hamowania mocniejszych linijek lub czegoś w tym stylu. Dla mnie obojętne jest, czy walczę z kolegą z grupy, czy z największym wrogiem, walczy się zawsze tak samo, tylko piątkę po wszystkim przybija się inaczej.

Tetris: No, jest to swego rodzaju novum w polskim freestyle'u, że w finale najbardziej prestiżowej bitwy spotyka się dwóch ziomów z jednej grupy. Na pewno jest w tym wszystkim sporo psychologii, ale zarówno w jedną jak i w drugą stronę. Ja mogę zaręczyć, że ani ja nigdy nie oszczędzam tego kota, ani on mnie. Nie ma miejsca na jakąś zimną kalkulację. Co do bratobójczych walk, to chyba nie da się ich inaczej określić (śmiech). Battle'owaliśmy się już tyle razy, że akurat do kogo jak do kogo, ale do Poga i jego docinek podchodzę ze stosownym dystansem.

Jesteście zadowoleni ze swojego występu? W części komentarzy zarzucano Pogo schematyzm, nietrudno też było usłyszeć Tetrisa potykającego się na beacie...

Tetris: Nie jesteśmy robotami. Potknięcia, „zawieszki" czy pomyłki to normalny element freestyle'u. Akurat co do „Tetrisa potykającego się na beacie..." to to, co działo się z igłą w finale, ... zostawię bez komentarza.

Pogo: Trudno nie być zadowolonym z wyniku tej bitwy. W finale dwóch członków WieszOCoChodzi, lepszego scenariusza nie można było sobie wymarzyć. Lecz wynik wynikiem, a poziom poziomem. Sam nie jestem bardzo zadowolony z tego, jak się zaprezentowałem, dla mnie są to kolejne doświadczenia, których niestety nie mam zbyt dużo, kolejne analizy i wnioski, aby móc wyeliminować błędy, których nadal jest sporo.

Tetris: Mam nadzieję, że to dopiero początek.

(flint)



Tetris vs. Pogo

kto?



kick flip przez śmietnik (sprawdź murek przed śmietnikiem!!!)
Ostrołęka








krzysiek poskrobko

foto Wojtek Antonów/WZRR

Ile masz lat i jak długo jeździsz?
23, jeżdżę 8 lat.
Skąd pochodzisz?
Białystok.
Czy to, gdzie mieszkasz, ma jakiś wpływ na Twoją jazdę?
Tak, ma negatywny wpływ na rozwój.
Sponsorzy?
Fenix AthletiCO, OC shoes.
Co najbardziej lubisz w skateboardingu?
Sam decyduję.
Czego w nim nie lubisz?
Kontuzji.
Ulubiony trik?
Fs. flip
Czego się teraz uczysz na desce?
Nollie (żenada!!!).
Osiągnięcia?
Brak.
Ulubiony film deskorolkowy?
Girl „Yeah right", Habitat „Mosaic".
Ulubieni deskorolkowcy?
Rick Howard, Kelly Hart, Paul Rodriguez.
Ulubiona miejscówka?
Nie mam.
Co Cię inspiruje?
Filmy, muzyka, koledzy.
Jak przełamujesz strach, czy jest coś, czego byś nigdy nie zrobił na desce?
Gdy jestem pewny, że dam radę coś zrobić, to się nie boję. Nie zrobiłbym czegoś wbrew sobie, znam swoje możliwości i wiem, kiedy powiedzieć dość.
Zainteresowania?
Deskorolka.
Muzyka?
Przeważnie z filmów deskorolkowych, poza tym każda ambitna, taka... z serca.
Film fabularny?
„Zielona mila".
Switch czy normalnie?
To i to.
Skatepark czy street?
To i to.
Lubisz zawody?
Hmm...
Co to jest styl na deskorolce i kto go posiada?
Styl porównałbym do wyrazu własnej osoby, coś jakby wyrzucenie swojego „ja" na zewnątrz. Posiadaczem stylu jest każdy, kto jeździ tak... z serca.
Co jest ważniejsze – styl czy umiejętności?
To i to jest tak samo ważne.
Co sądzisz o polskiej deskorolce?
Jest na dobrym poziomie, wciąż się rozwija, idzie w dobrym kierunku.

kto?






nollie flip z siedmiu schodów
Ostrołęka

Portfolio

Robert Ceranowicz

Nie ma co dużo pisać o Robercie, on sam poniżej opowiada trochę o swojej pasji, a zdjęcia dopowiedzą resztę. Portrety znakomitej większości polskich gwiazd hip-hopu i niektórych gwiazd popu, sesje mody, zdjęcia sportowe to pole, na którym działa. Dokładnie przygotowuje swoje sesje, poświęca dużo czasu na robienie zdjęć i rozwija się bardzo szybko i w dobrą stronę. Sprawdźcie pierwszego człowieka w nowym dziale SLG – „Portfolio". Panie, panowie – Robert Ceranowicz..

co robisz najchętniej: Portrety. Najbardziej lubię je robić takim osobom, które mają swój wizerunek, którym można ten wizerunek sfotografować, utrwalić, przedstawić. To mnie bawi. Poza tym lubię fotografować sport. Lubię też modę – choć tutaj mam bardzo dużo jeszcze do nauczenia się i chciałbym robić tego jak najwięcej.

dlaczego: Zawsze chciałem robić zdjęcia, a teraz po prostu wychodzę i robię, tak jest najlepiej. Wiążę z tym całe moje przyszłe życie, moje ambicje, chciałbym to robić, jak najlepiej będę umiał, a przy okazji chcę to robić po swojemu, iść moją własną drogą – a fotografia mi na to pozwala.

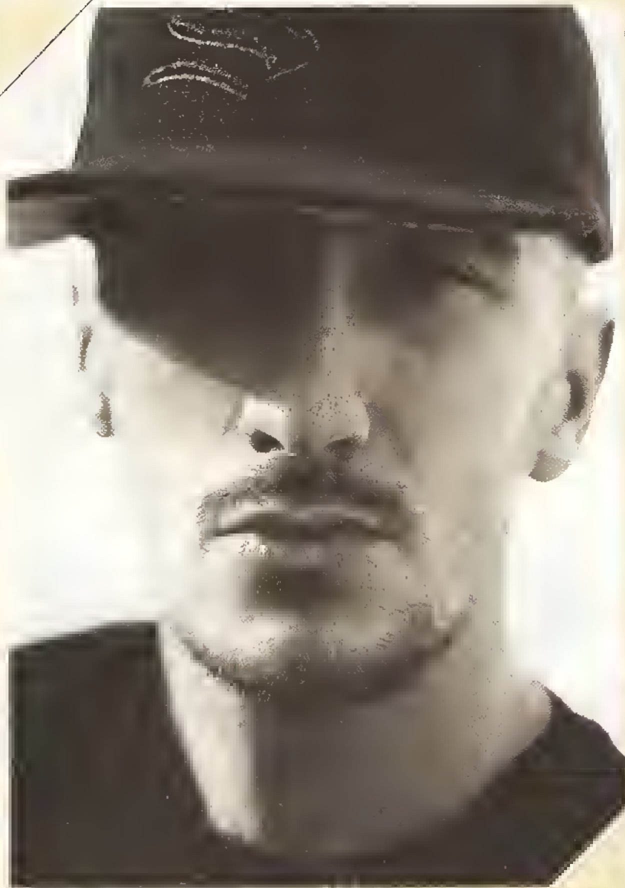
od kiedy: Tak jak mówiłem, chciałem od zawsze, a robię tak naprawdę od trzech lat, więc wszystko jest jeszcze przede mną.

czym pracujesz: Różnie. Głównie cyfra – Nikon. Mam też średni format – Mamiya 67rz. Wszystko zależy od tego, co robię i gdzie robię.

dla kogo: Też różnie. Pracowałem dla „Hiro", publikowałem w wielu gazetach, robię zdjęcia dla EMI, Universalu, pracuję też z różnymi agencjami. Od tego, czy publikujesz, czy się pokazujesz, zależy twoje życie fotografa. Zależy mi na tym, więc staram się publikować jak najwięcej.

co byś chciał zrobić: Chciałbym mieć możliwość realizowania własnych projektów autorskich, bez oglądania się na „różne czynniki", robić jak najlepsze portrety, zrobić z tego naprawdę sposób na życie. Chciałbym też ciągle się rozwijać, może wyjechać gdzieś i asystować, być padawanem jakiegoś mistrza fotografii... A przede wszystkim, być najlepszym, jak się tylko da!





Wybrane zdjęcia przedstawiają tylko mały wycinek działalności Roberta, ale prezentują zakres tematów w jakich się porusza. Tak więc macie tu portret Wdz z Hemp Gru i portret jednego z wielu grafficiarzy z Chicago, zdjęcie Gutka Szymańskiego, nosegrind na plastiku w malowniczej scerii wykonany podczas zeszłorocznego Kamuflage Touru i dwa zdjęcia z kategorii „moda”, której Robert poświęca ostatnio coraz więcej czasu. Enjoy:)





tekst Pc skate

Bad boys on the skateboard

Charakter człowieka bardzo dużo mówi o sposobie jazdy skateboarderów. Pomimo tego, że wśród deskorolkowców na ogół panuje bardzo przyjacielska atmosfera, to jest dosyć pokaźna grupa bardzo agresywnych ludzi. Ich agresja objawia się z reguły w czasie uprawiania skateboardingu, jednak niekiedy ich zły image nie kończy się razem z granicą spotu.

Po niektórych osobach, nawet jeśli są one milczące, widać, że lepiej nie wjeżdżać im w drogę. Ich determinacja i chęć zrobienia triku jest tak duża, że nie dostrzegają niczego poza przeszkodą. Nie liczą się dla nich konsekwencje – ani kontuzje, ani zderzenia z innymi skaterami. Nie muszę chyba mówić, że w czasie, gdy deskorolka stała się elementem popkultury, w takim kraju jak USA najlepiej „sprzedają się" skaterzy o lekko złym image'u. To jest dokładnie ten sam schemat co z 50 Centem w muzyce, ludzie po prostu to lubią. Dlatego idący tym samym tropem ludzie z amerykańskiej branży deskorolkowej kreują obecnie wizerunki newcomerów i dzięki temu mamy w tej chwili tysiące dwunastolatków przypominających Marilyna Mansona.

Istnieje jednak dosyć duża grupa ludzi w świecie skateboardingu, która cieszy się dużym szacunkiem, mimo że tak naprawdę nie robi nadzwyczajnych trików. Ich siła tkwi właśnie w ich charakterze i sposobie wykonywania trików. Te osoby mają bardzo silne osobowości, które idealnie współgrają ze stylem jazdy. Ich ciemniejsze strony są im wybaczane ze względu na widowiskowość jazdy. Mimo że taki styl życia i skateboardowania ma wielu przeciwników, to nawet oni muszą przyznać, że deskorolkowi bad boys ożywiają bardzo scenę deskorolkową i dostarczają tematu do rozmów.

Na samym początku istnienia skateboardingu, zgodnie z ówczesną modą statystyczny deskorolkowiec wyglądał jak skrzyżowanie cyber punka rodem z filmu Mad Max z surfingowcem z Kalifornii. Tak ubrany szalony nastolatek z zaciętą miną atakował puste baseny na swojej deskorolce. W tych właśnie czasach wśród społeczności skateboardowej postrach budził Bill Danforth (reprezentujący firmę BBC czyli Bad Boys Club). Chłopaczyna ten był cały wydziarany i przedstawiano go zawsze z dziwnym grymasem na twarzy. Tą bardzo prostą metodą stał on się pierwszym złym gościem deskorolki.

Śladem Danfortha poszło wielu. Najbardziej z nim kojarzy mi się największy obecnie twardziel deskorolki Mike Vallely. M. V. poszedł dokładnie tym samym schematem co Bill. Zaczęło się wszystko od dziar i groźnych min na zdjęciach tego jeszcze młodego punka z New Jersey. Z czasem do swej osobowości dodał bardzo charakterystyczne triki i tak powstał znany wszem i wobec Mike V. Vallely nigdy nie próżnował i nie dawał możliwości zapomnienia o sobie. Wykorzystywał każdą możliwość, w różnych filmach pokazywał siebie nie tylko jako agresywnego skatera, ale także jako wojowniczego hokeistę czy zapaśnika wrestlingu. Skate videos aż roiły się od nagrywek z różnych bójek z ochroniarzami chcącymi wywalić Mike'a ze spotu. Dzięki takim działaniom stał się on pierwszym macho skateboardingu

W latach dziewięćdziesiątych, gdy skateboarding czerpał wiele z kultury hip-hopowej, nie mogło w nim zabraknąć elementu gangstersko-ulicznego. Istniała wtedy firma Menace, która była kwintesencją tego wszystkiego. Jej teamriderami byli najgroźniejsi spośród deskorolkowych hip-hopowców. Firma ta wyrosła na fali popularności Wu-Tang, gdyż inspirowała się bardzo otoczką wokół tej grupy. Nie muszę chyba mówić, jak wyglądały reklamy Menace. Zwykle przedstawiały grupowe zdjęcia, gdzie twarze stojących najczęściej były zasłonięte cieniem. Chłopaki byli na nich groźniejsi od Ala Capone'a, tylko zamiast pistoletów trzymali deskorolki. Jednym z riderów Menace był Portorykańczyk Fabian Alomar, koleś żywcem wyjęty z teledysków Cypress Hill i filmów o Los Vatos Locos. Kiedy w jednym z magazynów był wywiad z Alomarem, na zdjęciu obok niego stała cała Familia i sądząc po twarzach członkowie rodziny nie trudnili się sprzedawaniem hot dogów.

Po tym jak Menace odniosło sukces dzięki swoim złym teamriderom, wiele innych firm również zapragnęło stworzyć podobny „gang". Okazało się, że podobnie jak w przypadku Mike'a Vallely dobrze się sprzedają produkty sygnowane przez typów spod ciemnej gwiazdy. Mimo że osoby gości z Menace i Mike'a V. różniły się od siebie bardzo (na jednym filmie pokazana była scena, w której Vallely miał starcie z Joey Surielem, jednym z reprezentantów Menace), dzieciaki lubiły ich za to samo – za to, że są „źli" i „mogą dopierdolić".

Śladem Menace poszły i inne marki, które żądne pieniędzy chciały posłużyć się tym samym patentem. Okazało się jednak, że wszyscy nie mogą być złymi raperami, bo wtedy nie odróżniają się od reszty „spokojnego" społeczeństwa. Kiedy większość amerykańskich firm przybrała właśnie ten wizerunek, zaczęły one padać jak muchy. Losu tego nie uniknęło również i Menace, które po dwukrotnej zmianie nazwy (najpierw na All City, a później na City Stars) definitywnie upadło.

To, że moda na hip-hop przeminęła, nie znaczy, że skończył się popyt na niegrzeczne dzieciaki. Wszystko dalej pozostało tak samo, tyle że zamienili oni szerokie baggy na wąskie rurki i teraz znowu punk i metal są na topie. Dziwnie to wygląda, gdy widzi się wytatuowanych piętnastolatków z biżuterią z trupimi czaszkami wyglądających, jakby właśnie szli na czarną mszę a nie na deskorolkę. Widać jednak, że i ten model skejcika się trochę przejadł i dlatego „hip-hopowcy – gangsterzy" znowu atakują. Dowodem na to jest popularność firmy Dirty Ghetto Kids, która jest niczym innym jak powtórką z rozrywki. Kiedyś było Menace, teraz jest DGK, nic tu się nie zmieniło, nadal mamy grzeczne białe dzieci przebrane za złych czarnuchów z getta.

Niestety, takie są prawa rynku, a skateboarding działa według tych praw, czy tego chcemy, czy nie. Miejmy nadzieję, że to, co dzieje się w Stanach, nigdy nie zawita do Europy i na Starym Kontynencie image skatera nie będzie miał takiego znaczenia jak w Ameryce. Jeśli jednak mowa w artykule jest o złych chłopakach, to warto trochę wspomnieć o prawdziwych złych dzieciakach. Nie wiem, czy wiecie, ale kilku z profesjonalnych deskorolkowców ma za sobą naprawdę konflikt z prawem i o tym raczej reklamy firm milczą.

Niegdysiejszy rampowy wymiatacz Christian Hosoi niedawno opuścił zakład karny (powodem pobytu oczywiście narkotyki). W tej chwili Holmes (to jego ksywka) dostał wsparcie od Quiksilvera i wrócił na deskę. To się nazywa program resocjalizacji...

Ciekaw jestem, czy znacie nazwisko Andy'ego Roya. Ten gość również spędził kilka lat w miejscu odosobnienia, czego wynikiem stał się jego obecny wygląd. Andy w puszce zajarał się na całego tatuażami i różnymi innymi dziwnymi ozdobami skóry i teraz wygląda naprawdę upiornie. Obejrzyjcie sobie jakąś starszą produkcję Antihero bądź Consolidated i zobaczcie Andy'ego przed pobytem w więzieniu (już wtedy wyglądał przerażająco).

Pojęcie „niegrzeczny chłopiec" to za mało żeby określić Marka Anthony'ego „Gator" Rogowskiego. Ten bardzo popularny w latach osiemdziesiątych pro stał się bohaterem najstraszniejszego epizodu w skateboardingu. Za zabójstwo połączone z gwałtem swojej koleżanki został skazany na wiele, wiele lat pozbawienia wolności. Powstaje podobno nawet dokumentalny film o nim, jakiś czas temu wydano nawet książkę opisującą jego życie. Wszystko to dlatego, że Gator toczył bardzo ciekawe i rockandrollowe życie, a okoliczności morderstwa są bardzo niejasne...

Oczywiście pod żadnym pozorem nie bierzcie przykładu z tych nazwisk – ani z tych robiących takie rzeczy na pokaz, ani tym bardziej z tych, którzy naprawdę są na bakier z prawem. Wystarczy, gdy będziecie je łamać jeżdżąc na deskorolce w niedozwolonym miejscu...



Mike Vallely



Zły Bill Danforth



Bad boys on the skateboard


JEREMY
WRAY


THE
HAMILTON


ADIO

BLACK EYED PEAS



Hip-Popowi wizjonerzy

tekst Andrzej Cała

Prolog

Will Adams (will.i.am) i Allan Pineda (apl.de.ap) poznali się w 1989 r. tańcząc w jednym zespole breakdance'owym – Tribal Nation. Ten pierwszy to rodowity Kalifornijczyk, Pineda przybył do Los Angeles z Filipin. Tym samym jest drugim bardzo znanym – wraz z DJ Q-Bertem – przedstawicielem tej nacji na hip-hopowej scenie. Will i Allan zakładają wspólnie zespół o przedziwnej nazwie Alban Klann. Pierwsze z tych słów to nic więcej jak akronim wyrażenia A Tribe Beyond A Nation. Hmm... A Tribe? To raczej nie jest przypadkowe skojarzenie, bowiem analogie do twórczości Tribe Called Quest nasuwały się, od kiedy tylko BEP pojawili się na rapowej scenie. Podobny punkt widzenia na muzykę, wyraźnie jazzowe i klasycznie czarne inspiracje odnośnie brzmienia plus pozytywny przekaz z częstym sięganiem do tematyki społecznej. Tak, bardzo prawdopodobne, że Adams i Pineda od początku chcieli być west coastową odpowiedzią na twórczość ATCQ.

Akt 1

Duet został w 1992 r. „wcielony" do Ruthless Records. Część czytelników na pewno mocno w tym momencie się zdziwi – tak, właśnie do wytwórni dowodzonej przez jednego ze słynnych „Czarnuchów z Charakterem" – Eazy'ego E. Nie do końca wiadomo, co tak naprawdę zadecydowało o tym, iż ten gangster zainteresował się twórczością duetu Alban Klann. Być może szukał przeciwwagi do własnych wcześniejszych dokonań, a może po prostu miał doskonałego nosa i przewidywał, że Adams i Pineda mogą stać się maszynką do zarabiania pieniędzy?! Jakby nie było, ten sam Eazy E odnalazł przecież i wypromował Bone Thugs-N-Harmony, kto wie, czy nie najbardziej niedoceniany w Polsce zespół ze ścisłej amerykańskiej rap czołówki. No, ale to tylko mała dygresja. Alban Klann prawie 3 lata nagrywali debiutancki krążek i gdy miał on już trafić do sklepów, miała miejsce tragiczna śmierć Eazy'ego E na AIDS. Płyta w efekcie nigdy się nie ukazała...

Akt 2

Will Adams i Allan Pineda na szczęście nie załamali się tym niepowodzeniem. Dokooptowali do grupy dwudziestoletniego wówczas Jaime Gomeza (Taboo), również doskonałego tancerza. Przede wszystkim jednak postanowili zmienić nazwę i tak na dobrą sprawę historia The Black Eyed Peas zaczyna się w końcówce 1995 r. Trio, którego głównym producentem muzycznym jest will.i.am, zbiera wokół siebie również grupę utalentowanych instrumentalistów, nadając tym samym swej twórczości oryginalne, żywe brzmienie. Koncertują wokół Los Angeles spotykając się z bardzo przychylnym odbiorem. Lokalna sława przełożyła się na podpisanie umowy z Interscope Records, wynikiem czego w wakacje 1998 r. w końcu na półki sklepów muzycznych na całym świecie trafił debiutancki album Black Eyed Peas – „Behind The Front". Był to naprawdę doskonały krążek, okraszony wielkim hitem „Joints & Jams", pełen ciekawych smaczków zarówno odnośnie warstwy muzycznej, jak i wokalnej. W ponad połowie numerów członkom tria towarzyszyły damskie wokale – m.in doskonałej Kim Hill (będącej wówczas ich etatową koncertową piosenkarką), a w utworze „Love Won't Wait" samej Macy Gray. To, że debiutanckie wydawnictwo BEP nie zyskało z miejsca wielkiej popularności, można chyba wytłumaczyć w dość prosty sposób – przebić się debiutantom w 1998 r. naprawdę nie było łatwo. Był to przecież rok wspaniałego powrotu Gang Starra z albumem „Moment of Truth", cudownej płyty „Aquemini" firmowanej przez Outkast, jak również wkroczenie Canibusa na scenę podgrzane beefem z LL Cool J'em.

Akt 3

Trio nie próżnowało. Do współpracy przy nagrywaniu drugiego krążka zaprosili tak uznane postaci muzycznego światka jak DJ Premier, Chali2Na z Jurassic 5, Mos Def, De La Soul, Wyclef Jean czy Les Nubians. Efektem tego „Bridging The Gap" – kto wie, czy nie najlepszy hip-hopowy album 2000 roku, a raczej na 100% najlepsza pozycja w dyskografii zespołu. Jeszcze bez uciekania w popowe rejony udało im się stworzyć dzieło eklektyczne, a zarazem niezwykle przebojowe. Materiał, na którym potrafili umieścić obok siebie klasyczny rapowy banger „BEP Empire", funkujący, oldskulowy szlagier „Weekends" z Esthero, eksperymentujące delikatnie z drum'n'bassem „On My Own" i latynoskie „Rap Song". W zasadzie każdy z utworów na albumie czymś się wyróżniał, miał w sobie element sprawiający, że przykuwał całkowicie uwagę słuchacza i wręcz dopraszał się o wciskanie „rew" na pilocie odtwarzacza. To był chyba szczytowy okres producenckiej kreatywności will.i.ama. Niczym nie skrępowane eksperymenty, żywiołowość, łączenie gatunków i świeżość brzmienia – to była wówczas „karta przetargowa" tria z Los Angeles. Niestety, nie wystarczyło to do sprzedania płyty w nakładzie mogącym przynieść chociażby złoty status i to zapewne po raz pierwszy postawiło grupę przed dylematem – co zrobić, by ich nagrania nie tylko zyskiwały bardzo wysokie recenzje i oceny, ale również cieszyły się komercyjnym powodzeniem...

Akt 4

Stacey Ferguson, czyli Fergie... Ech, to dopiero zagwozdka. Dziewczyna mająca za sobą różnorakie epizody filmowe, najczęściej w rolach czwartoplanowych, obdarzona całkiem niezłym głosem. Black Eyed Peas po raz pierwszy pokazali ją światu przy okazji premiery klipu do „Where Is The Love", singla promującego trzeci album („Elephunk") już wówczas nie tria, ale kwartetu. Nie da się ukryć, że dołączenie tej blondyny do grupy zmieniło jej charakter i od przełomu 2003 i 2004 r. BEP szturmem wtargnęli na popowe salony. By nie popaść w hipokryzję – obecność Fergie w zespole na trzecim albumie jeszcze mnie nie raziła. Choć na wydanym jesienią 2003 r. „Elephunk" zespół już zaczął odchodzić w trochę inne rejony muzyczne, to jako całość materiał prezentował się naprawdę wyśmienicie. Wyjście z hip-hopowego podziemia, w jakim zdawali się tkwić, wyszło im w naprawdę imponujący sposób. Każdy z singli promujących krążek zdobył przynajmniej złoto, a płyta osiągnęła multiplatynowy nakład. Tyle że niestety, po początkowych zachwytach zaczęło się coś, czego chyba nikt z fanów grupy z jej pierwszych lat nie mógł się spodziewać. Zaczęto nakręcać ogromną spiralę marketingową i dość nachalnie promować muzykę grupy. Czy potrzebnie? Chyba nie do końca, bo broniła się ona zawsze sama, a moment, w którym Fergie wypinała się ponętnie w stacjach muzycznych z regularnością beefów 50 Centa, raczej nie był tym najbardziej wyczekiwanym przez wiernych słuchaczy The Black Eyed Peas...

Akt 5

Fergie i wesoła gromadka zaatakowali ponownie kilka tygodni temu. „Monkey Business" swym brzmieniem podąża łudząco podobnym szlakiem, co „Elephunk". Tyle, że Fergie w kilku momentach na albumie poziomem bije gwiazdy pokroju Jessiki Simpson czy Britney Spears, a will.i.am jakby zapomniał o świeżości i kreatywności. Są na płycie momenty doskonałe, singlem może w zasadzie być każdy z kawałków, ale niestety – większość z nich to nie rasowe rapowe bangery, do jakich BEP przyzwyczaili nas w pierwszych latach, a po prostu kapitalnie wyprodukowane, bujające hip-popowe hiciory. Można chyba żałować, iż grupa wybrała taką drogę. Wcześniej ich płyt słuchało się, by doświadczyć czegoś naprawdę odmiennego od papki zalewającej rapowy rynek. Teraz mogą one dostarczyć przede wszystkim rozrywki na najwyższym poziomie. Chociaż w sumie – może to samo w sobie już jest sztuką...?

Epilog

Godzi się zaznaczyć, że will. i. am wydał dwa solowe krążki w serii „Beat Generation" wydawanej przez londyńską oficynę BBE. Pierwszy z nich „Lost Change" trzymał naprawdę kapitalny poziom. „Must B 21" już się to niestety nie udało. Nie da się jednak ukryć, że jest to wciąż jeden z najlepszych producentów muzycznych i stać go na rzeczy wielkie. Wypada chyba wszystkim życzyć jedynie, by jak najczęściej nam o tym przypominał.



THE BLACK EYED PEAS
MONKEY BUSINESS
INTERSCOPE RECORDS

Bałem się tej płyty, gdyż pogoń BEP za popularnością wydawała mi się tak szybka, że istniało podejrzenie, że gdzieś zupełnie z tyłu zostaną początki zespołu czy znakomite solowe dokonania will.i.ama. No i jest trochę tak, jak myślałem, że będzie – hit na hicie. Zaczyna ten album kawałek „Pump It" z samplami ze znanego z filmów akcji „Misirlou". Potem jest wyrzygliwy nieco „Don't Phunk With My Heart", ale już przy „My Style" z Justinem Timberlakiem nieco się poprawia. I poprawa następuje z każdym kolejnym kawałkiem. Musimy sobie uświadomić, że BEP zdecydowanie jest fabryką hitów, ale w tym wszystkim potrafi zachować przyzwoitość i nie atakuje ludzi ponad miarę. To jest muzyka rozrywkowa, bazująca na wszystkim, co może temu służyć, ale momentami kierująca się w stronę zdecydowanie ambitnej rozrywki – „Like That" z Q-Tipem, Talibem Kweli, Cee-Lo i Johnem Legend, czy temu kawałkowi czegoś brakuje? Oj, nie, zdecydowanie nie. Podobnie jest przy flirtach BEP z Jamesem Brownem i Stingiem. Zwłaszcza z tej drugiej współpracy wybrnęli stylowo. Ten zespół szuka wszelkich możliwości, by bawić ludzi i taka właśnie jest ta płyta. Nie starajmy się zapakować BEP pod jakieś fiszki, bo jeżeli taka może być muzyka rozrywkowa, to ja jestem zdecydowanie na tak. k.



parkour

czas na free running

Parkour jest sztuką poruszania się w mieście. W mieście, gdzie traktujesz wszystkie miejskie obiekty jak przeszkody, które trzeba przeskoczyć – które trzeba po prostu pokonać. Takimi przeszkodami mogą być latarnie, poręcze, ogrodzenia, murki, samochody, balkony, dachy. Można skakać salta, biegać, wspinać się – liczy się tylko to, co chcesz zrobić, gdzie chcesz iść i w jaki sposób tam dotrzesz

Dawid z grupy FROP - roof to roof gap jump

Fabian z grupy FROP
wallrun 360 out

tekst i foto WZRR

Parkour ma dwóch ojców – są nimi David Belle z Francji i Sebastian Foucan, też Francuz, ale mieszkający w Anglii. Wszystko zaczęło się w latach osiemdziesiątych na przedmieściach Paryża. Oni jako pierwsi świadomie zajęli się skakaniem z dachu na dach i jako pionierzy tego sportu – no, może nie całkiem sportu, ale jak to nazwać inaczej? – wyznaczyli kierunek, w którym parkour rozwija się od dwudziestu lat. Na równi z nazwą parkour funkcjonuje nazwa freerunning, po prostu pierwsza z nich przyjęła się we Francji i na świecie, druga zaś w Anglii. Pierwszą grupą z prawdziwego zdarzenia byli sławni Yamakasi (możecie o nich przeczytać w ramce pod tekstem) zebrani wokół osoby Davida Belle'a. Po filmie z ich udziałem i pod tym samym tytułem w całej Francji zaczęły powstawać „klany" zajmujące się tą zajawką. Obecnie liczbę tracerów – tak nazywa się uprawiających parkour – można szacować na kilkanaście tysięcy ludzi na całym świecie. W Polsce temat ten jest w sumie nowy, rozwijający się, ale na razie budzący raczej zdziwienie i niezdrowe podniecenie wszystkich łapiących świeże „trendy". Trzeba pamiętać jednak, że to nie jest akcja dla „sezonowych" samurajów, tylko dla wytrwałych, prawdziwych zawodników. Na razie prawdopodobnie w Polsce jest ponad 1000 osób uprawiających parkour.

Dlaczego nie jest to sport? Parkour łączy w sobie wiele elementów dyscyplin sportowych: pokonujesz pionową ścianę, napotykasz na swojej drodze blok – przydaje się wspinaczka, musisz dotrzeć w wyznaczone miejsce jak najszybciej – biegi, chcesz utrudnić swoje ewolucje, zrobić coś efektownego i skomplikowanego – akrobatyka, skok wzwyż, w dal i wiele innych. Jednak wszystko to jest pozbawione typowo sztywnych reguł, nie ma współzawodnictwa, nie ma olimpiady i złotych medali. Jedna rzecz jest wspólna – tak samo jak w sporcie trzeba bardzo ciężko trenować, żeby dojść do jak najlepszej formy. Każdy może robić to, w czym się czuje najlepiej, często na ulicę wychodzą ludzie z przygotowaniem akrobatycznym i oni chcą swoje parkourowe trasy pokonywać skacząc salta i obroty, innym chodzi o to, żeby po prostu sprawnie, miękko i skutecznie biec do wyznaczonego celu nie zważając na przeszkody. Brak zasad pozwala każdemu, kto chce się wczuć się w to zajęcie na wyrażenie siebie i swojego podejścia do parkouru.

Kto może zająć się parkourem? Najczęściej zajawkę łapią młodzi ludzie w wieku 14-15 lat, co jest naturalne, bo to „hobby", które działa na wyobraźnię i nic dziwnego, że każdy chce być „yamakasi". Trzeba tylko pamiętać, żeby nie rzucać się na skakanie z dachów i wdrapywanie się na wieżowce, nie będąc przygotowanym. Trening najlepiej zacząć od małych przeszkód, szlifować sobie na nich technikę, miękkie ruchy i ogólną sprawność. Można cztery lata skakać przez rurkę i ciągle szlifować swoje umiejętności. Ważne jest też przygotowanie ogólne i siłowe. Tak więc, wszyscy przyszli tracerzy – trenujcie dużo, zanim rzucicie się na najtrudniejsze trasy i wielopiętrowe bloki!

Najwięcej trików z reguły wykonuje się na poręczach, rurkach i murkach. Do tego dochodzą latarnie, trzepaki, a także dachy, balkony, garaże i dosłownie wszystko, co tylko spotkasz na swojej drodze. Nazwy dla poszczególnych przejść, chwytów i trików zostały wymyślone w Anglii. Jeżeli chcecie się z nimi zapoznać, poszukajcie na www.urbanfreeflow.com – tam znajdziecie dużo informacji na temat tego, co się dzieje w światku freerunnerów.

W przyszłości parkour na pewno będzie się rozwijał, przyczyniły się do tego filmy fabularne, w których wykorzystano umiejętności ulicznych samurajów, przyczynia się coraz większa dostępność materiałów pokazujących tę zajawkę. Wkrótce pojawią się pełnometrażowe filmy prezentujące scenę freerunningową z całego świata – obecnie, podróżując po całym świecie, pracuje nad tym David Belle. Projekt ten powinien w niedalekiej przyszłości pojawić się na rynku, a dochód z niego zostanie przeznaczony na budowę pierwszego na świecie parku do uprawiania parkouru. Trzeba mieć fantazję, co?!

Dla wszystkich, którzy chcą dowiedzieć się trochę więcej o freerunningu polecamy następujące strony: wymienione już wcześniej www.urbanfreeflow.com, www.parkour.com, www.le-parkour.pl i www.trop.pl.

Czyli co? Biegniemy na ulicę szukać przeszkód? Jak najbardziej, tylko trzeba pamiętać o tym, żeby być odpowiednio przygotowanym do tego, co się chce zrobić. Powodzenia, samuraje!





Jak większość sportów ekstremalnych, parkour trafił również do filmu. Najsłynniejszym z obrazów, w którym oszałamiająca pogoń przez miejskie przeszkody była głównym tematem, jest „Yamakasi" Ariela Zeitouna, według scenariusza Luca Bessona. Tytuł pochodzi od prawdziwej nazwy grupy parkourowców, jednak fabuła jest fikcyjna. Film zdobył we Francji sporą popularność, co zaowocowało kolejnym występem Yamakasi, tym razem w „Les fils du vent" (Synowie wiatru) Juliena Seri. Natomiast Luc Besson powrócił do parkouru w swojej kolejnej produkcji „13. dzielnica", w którym wystąpił jeden z twórców freerunningu, David Belle. Parkourowcy brali też udział w opracowaniu sekwencji ucieczek w „Aniołach apokalipsy". Jak widać, Francuzi szybko załapali, że modny sport ekstremalny może przyciągnąć widzów do kin. Pewnie niedługo na wielką skalę freerunningiem zajmie się Hollywood. A jeśli interesujecie się parkourem nieco bardziej, to warto zwrócić uwagę na dwa filmy dokumentalne, w których pojawia się Sébastien Foucan, przedstawiciel światowej czołówki parkouru: „Jump London" i „Jump Britain". Na zdjęciu właśnie Foucan, wykonujący cat leap.

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak

AWANS MUROWANY!
MÓWCIE, PUSZKA...
MELDUJĘ, ŻE LEW JEST JUŻ W KLATCE!
JESTEŚCIE PRZEKONANI, ŻE TO WYSTARCZY DO ROZWIĄZANIA NASZEGO PROBLEMU?
OCZYWIŚCIE! A NA WYPADEK PAŃSTWA WĄTPLIWOŚCI, PRZESŁAŁEM FAKS Z AKTAMI POPRZEDNICH WSPÓŁLOKATORÓW PRZEMYSŁAWA R.
BZZ Z
dekapitacja (głowy nie odnaleziono)
MOMENCIK...



NIESTETY, NACZELNIK PUSZKA JEDNEGO NIE PRZEWIDZIAŁ...

SERIO? UWAŻASZ, ŻE BYM SIĘ NADAŁ?

JASNE! POLSKIE KINO POTRZEBUJE TAK WYRAZISTYCH POSTACI, JAK TY!

NO, DOBRA... POGADALIŚMY, BYŁO MIŁO, ALE... MUSZĘ DBAĆ O SWOJĄ REPUTACJĘ...

CO MASZ NA MYŚLI?

TO CHYBA OCZYWISTE... NIKT NIE PRZEŻYŁ SPOTKANIA ZE MNĄ...

N-NIKT?...

BUUUUU! NIEEEE!! JEŻ PRZEŻYŁ!

!!!

A GDYBYM... SPROWADZIŁ TU TEGO JEŻA, TO...

ZADŁAWIŁBYM SKURWYSYNA JEGO WŁASNYMI KOLCAMI!!!

A... CO ZE MNĄ?

GDYBYŚ ZROBIŁ TO DLA MNIE, MÓGŁBYM... DAROWAŁBYM CI ŻYCIE!

I TAK CAŁY MISTERNY PLAN NACZELNIKA PUSZKI...

...POSZEDŁ SIĘ JEBAĆ...

PUK PUK

PROSZĘ...

DOSZŁY MNIE SŁUCHY, ŻE LEW CHCE SIĘ ZE MNĄ WIDZIEĆ, NACZELNIKU...

NIESTETY, TO PRAWDA, PANIE POŚLE...

KILKA MINUT PÓŹNIEJ, W USTRONNYM MIEJSCU...

NO TO MÓWCIE! NAZWISKA! MILLER? JAKUBOWSKA? CZARZASTY? KTO?

JEŻ JERZY...

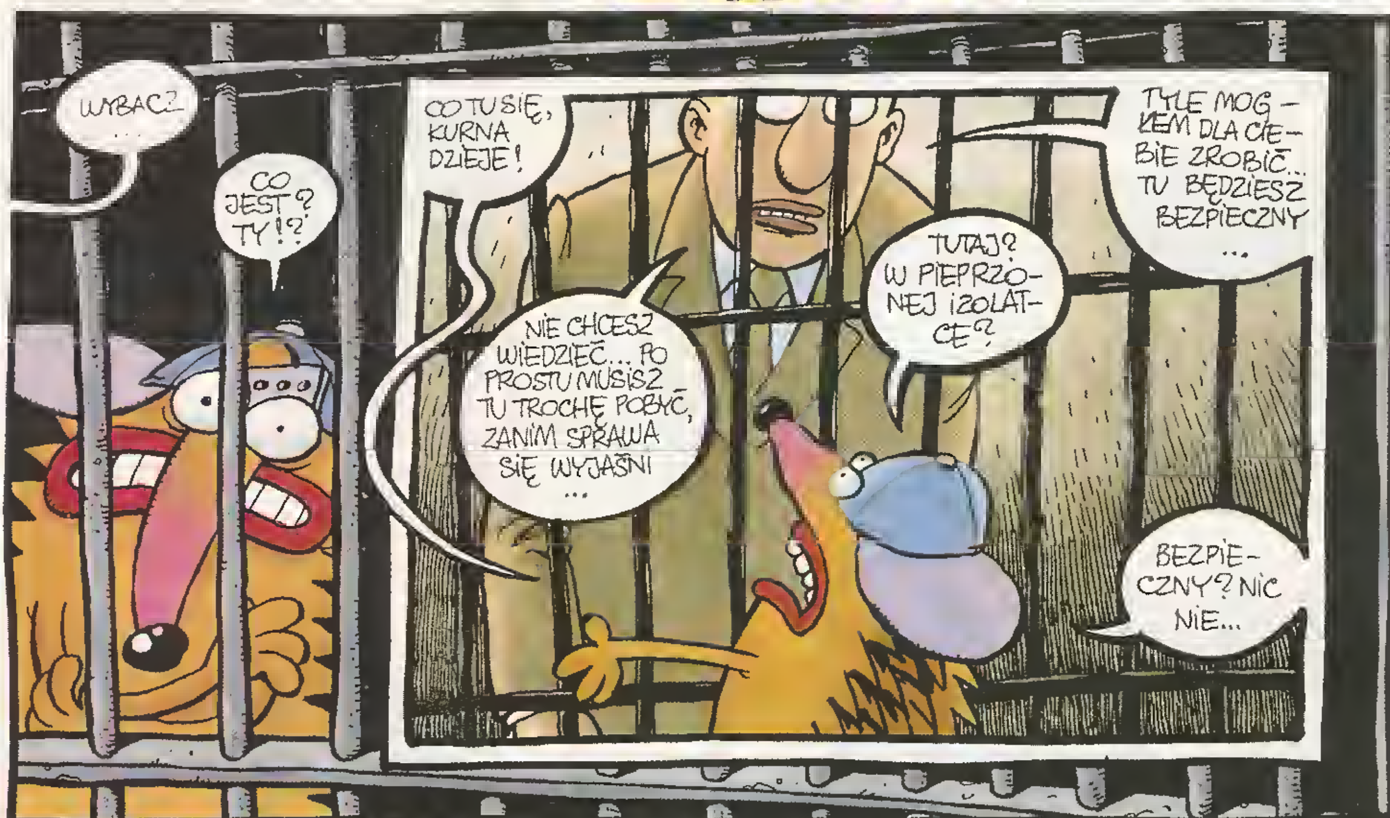


www.jezjerzy.pl

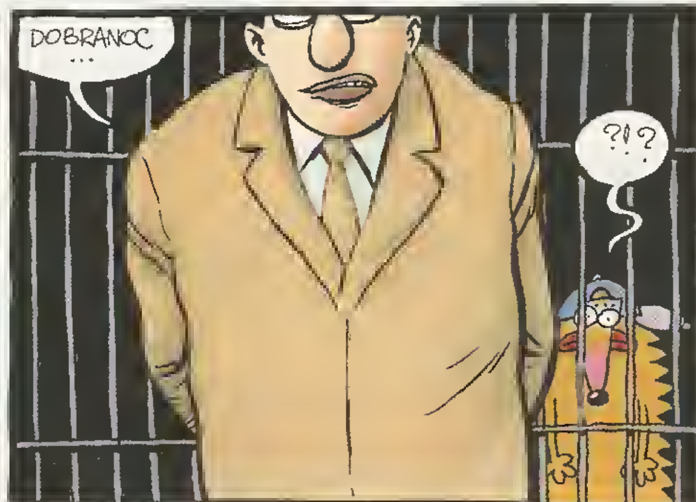

JESZCZE TEGO SAMEGO WIECZORA...



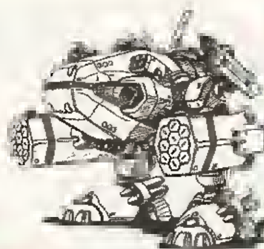

?
KLIK


WYBACZ ...
CO JEST? TY!?
CO TU SIĘ, KURNA DZIEJE!
TYLE MOGŁEM DLA CIEBIE ZROBIĆ... TU BĘDZIESZ BEZPIECZNY ...
NIE CHCESZ WIEDZIEĆ... PO PROSTU MUSISZ TU TROCHĘ POBYĆ, ZANIM SPRAWA SIĘ WYJAŚNI ...
TUTAJ? W PIEPRZONEJ IZOLATCE?
BEZPIECZNY? NIC NIE...

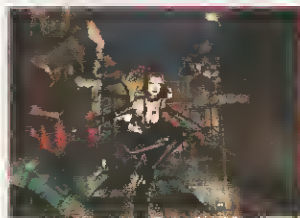
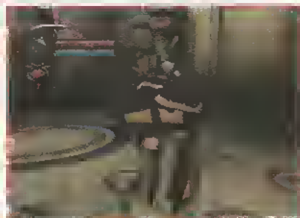

ĆŚŚŚ... IM MNIEJ WIESZ, TYM LEPIEJ... PO PROSTU MÓDL SIĘ, ŻEBY NIE WYDARZYŁO SIĘ NIC NIEPRZEWIDZIANEGO ...


DOBRANOC ...
?!?

C.D.N.



Bloodrayne 2
Majesco

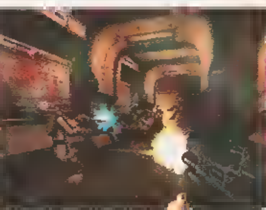
Jakiś czas temu na rynku pojawiła się gierka o wdzięcznym tytule Bloodrayne, z równie wdzięczną bohaterką, pół człowiekiem i pół wampirem w jednej osobie, czyli jak ją określili sami twórcy – dhampirzycą. Zabawa była przednia, widoki również (zwłaszcza gracze płci męskiej byli zadowoleni) – no bo jak może nie podobać się laska w lateksie zabijająca nazistów i w dodatku wysysająca im krew? Nic dziwnego, że pewnego dnia ktoś gdzieś postanowił zrobić drugą część – no i właśnie tu pojawił się problem. Nasza kochana dhampirzyca jest oczywiście jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej podkreślono jej wiecie co, tyle że dookoła bohaterki jakby trochę pusto. Znaczy się, grafa jest w porzo, ale jakby czegoś jej brakowało. No i ten scenariusz. Niestety, zmiana czasu i miejsca (w pierwszej części druga wojna światowa) na współczesność oraz przeciwników: z tych wrednych nazistów na bliżej nieokreślonych kolesi w barwnych fatałaszkach z dziwnymi fryzurami, nie wyszła na dobre samej grze. Nie da się ukryć, że nasuwa się od razu porównanie z historią panny Croft, choć ja raczej miałem wrażenie, jakbym grał w dwójkę Red Faction – nie chodzi mi oczywiście o scenariusz, bo to zupełnie inne gry. Jedynka, choć nie idealna, potrafiła momentami zachwycić, dwójka – cóż, musiałem biegać do ubikacji i pochylać się nad kiblem – to był jedyny sposób, by ją ukończyć. Oczywiście, Bloodrayne aż tak fatalna nie jest, prawdę mówiąc jest naprawdę spoko, tyle że… No właśnie, a może po prostu zbyt wiele oczekiwałem?

Worms 4: Mayhem
Team 17



No proszę! Mistrzowie zniszczenia, panowie chaosu wracają! Choć może panami trudno ich nazwać, skoro są… robakami. Ale za to jakimi! Nie powiem, bym był jakimś wielkim fanem Wormsów, ale nie powiem też, by kolejna odsłona tej serii nie powodowała u mnie szybszego bicia serca. No bo powiedzcie sami, czy nie jest to prawdziwie męska rozrywka pograć robalem zaopatrzonym w bazookę bądź przycelować ze snajperki, na ten przykład? Rozwalić kilka rzeczy, kilku przeciwników posłać do robalowego nieba? A wszystko to w pastelowych barwach godnych jakiejś delikatnej gry dla dzieci. Dobrze, bądźmy szczerzy. Worms 4 prawie niczym nie różnią się od Worms 3D (czyli pierwszego robaczego wcielenia w świat trzech wymiarów) – i to jest największy zarzut. W końcu ile czasu można grać w tę samą grę, tylko z innym numerkiem? Jeśli chodzi o Wormsów, to myślę, że jeszcze kilka odsłon wytrzymam. Czego i Wam szczerze życzę.

Pariah
Groovy Games

Skoro w niusach jest coś o Unrealu, to i w reckach nie może obejść się bez tytułu nawiązującego w jakiś sposób do tej legendarnej (dla niektórych:)) serii. Cóż więc wspólnego ma Pariah z Unrealem? Przede wszystkim silnik graficzny – Unreal 2 – najlepiej znany z gry… Unreal 2: The Awakening (okej, nie wszystkim się podobała, mi – tak), a także – co mogłoby się wydawać ważniejsze – panów programistów, którzy maczali swe palce w pierwszym Unrealu. I tak właściwie jest to wszystko, co Pariah ma wspólnego z Nierealnym. No, jeszcze konwencja fpp. W grze wcielasz się w postać doktora Jacka Masona, transportującego pewną kobietę, która nie dość, że mu ucieka, to jeszcze dość paskudnie nabruździła mu w zdrowiu. Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko ją odnaleźć. Cóż, może scenariusz wybitny nie jest, ale za to graficzka… jeśli ktoś lubi oczywiście futurystyczne lokacje i wielkie giwery i wszystko, co z tym związane. Mnie giera zasadniczo się podoba, więc jeśli będziecie mieli okazję – spróbujcie.

Driv3r
Reflections/Atari

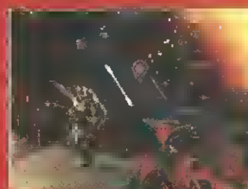


Prawie rok po premierze konsolowej pecetowi gracze dostali w swe drżące ręce Driv3ra - grę, która kosztowała podobno 62 miliony dolarów (milion w tę czy w tamtą, bez znaczenia), grę bardzo reklamowaną i w ogóle mającą być super-hiper. Pierwsze oceny konsolowców nie napawały optymizmem, ale co tam, wersja na kompy miała być jeszcze lepsza. Niestety, z wielkiej chmury mały deszcz. Fakt, gra się w miarę miło, jeśli: zdefiniujemy od razu klawiaturę tak, by dało się grać, ustawimy rozdzielczość i wszystkie detale na maksa i zapomnimy, że już ładniej wyglądać nie będzie, nie będziemy się zbytnio przejmować, że jak na samochodówke to coś za dużo chodzimy… Tak więc, jeśli to nie będzie nam sprawiać problemów, to giera jest okej, ale chyba nie o to chodzi? A pomyśleć, że Driv3ra wypuściła Atari, firma legenda, a w dodatku jej logo było na jednym z Unreali, ech…

gad

newsy

Nierealnie w 2006!



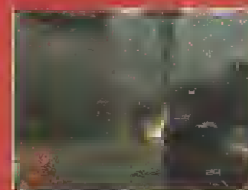
Tak, na pewno na tę informację wszyscy czekali:). Ja czekałem. Otóż już w przyszłym roku będziemy mieli okazję ponownie stanąć do walki w najsłynniejszym online'owym (i offline'owym też) turnieju – UNREAL TOURNAMENT 2007 (dla niewtajemniczonych: jakoś tak się przyjęło, że każda kolejna odsłona ma datę o rok wyższą…). Co zostanie zmienione w stosunku do ostatniej części? Przede wszystkim silnik graficzny, tym razem UT 2007 będzie hulał na engine'ie Unreal 3.0, który to…. jeśli nie widzieliście screenów bądź filmików, na których prezentowano jego możliwości… powiem tyle, że Source (odpowiedzialny za Half-Life'a 2), czy najnowszy silnik id Software (widzieliśmy go w akcji w Doomie 3 i niedługo zobaczymy w Quake'u 4) mogą się schować. Oczywiście będą wszystkie tryby, takie jak CTF, Deathmatch, Onslaught i następca Assaulta – Conquest. Boty tym razem mają mieć swoje własne osobowości (może być ciekawie), a wydawanie im komend będzie się odbywać także za pomocą głosu. No, no, chyba wiadomo już, jaka gra w przyszłym roku podbije sieciowych graczy. Chociaż nie powiem, bym nie chciał w końcu wrócić do świata Nierealnego w jakiejś czysto singlowej odsłonie, już chyba czas…

Podwójne trzęsienie



Już wspominaliśmy na łamach SLG o zbliżającej się wielkimi krokami premierze Quake'a 4. Ale nie wspominaliśmy o innej gierce, która także ma w tytule Quake i – co ciekawe – też będzie się dziać w świecie Quake'a. Ową grą jest Enemy Territory: Quake Wars. Być może pierwsza część tytułu nie jest wam obca i kojarzy się… z Return to Castle Wolfenstine – i tak powinno być. Tyle że nowe Enemy Territory dziać się będzie… przed wydarzeniami z Quake'a 2 – dość zaskakująca zmiana, nieprawdaż? Tak więc, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jeszcze w tym roku będziemy mogli zmierzyć się ze Stroggami dwukrotnie – online'owo w Enemy Territory i singlowo (choć multi też będzie) w Quake'u 4. Skłamałbym mówiąc, że nie czekam z wypiekami na twarzy na czwóreczkę – oczywiście, jeśli na moim kompie ruszy. Chyba trzeba zacząć myśleć o trochę lepszym sprzęcie:).

Techland atakuje



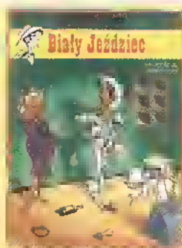
Tak, proszę szanownych graczy. Niewiele się dzieje na rynku polskich gier (chyba że tych strasznie niskobudżetowych – ale o nich lepiej nawet nie wspominać), więc każdą zapowiedź czegoś ciekawego należy jak najbardziej nagłośnić. Już na przełomie czerwca i lipca ma pojawić się gierka „Speforce", nad którą pracują w pocie czoła Polacy z Techlandu. Jeśli pamiętacie ich poprzednią grę „Chrome", to wiecie mniej więcej, o co chodzi. I tym razem przeniesiemy się do świata Chrome'a i pobawimy się w taktycznego shooterka. Ano zobaczymy. Ja po cichu liczę, że będzie trochę lepszy niż poprzednik…

Neo na Gwiazdkę



Jak wieść niesie, tegoroczny grudzień może być miesiącem Neo, gdyż wtedy ma się ukazać gra zatytułowana Path of Neo. No, tylko nie mówcie mi, że nie pamiętacie, kim jest Neo? Tak, ten sam Neo, który musiał zgłębić wszystkie tajniki świata Macierzy. Tym razem dzięki Shiny Entertainment będziemy mogli się wcielić w samego Neo i odbyć całą drogę (znaną z filmowej trylogii braci Wachowski) w jego ciele. Jak będzie w rzeczywistości (wirtualnej, a więc Matriksie…) przekonamy się za kilka miesięcy.

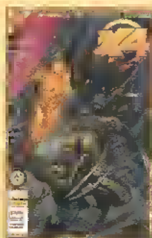
komiks recenzje



LUCKY LUKE BIAŁY JEŹDZIEC

scenariusz: Rene Goscinny
rysunki: Morris
EGMONT

Kolejna z niezliczonych przygód samotnego kowboja. Lucky Luke towarzyszy tym razem wędrownej trupie teatralnej przemierzającej Dziki Zachód. Dziwnym trafem podczas każdego z ich występów w miasteczkach obrabiane są banki, kasy etc. Luke podejrzewając o owe przestępstwa aktorów, próbuje zapobiec dalszym kradzieżom, jednak nie przyjdzie mu to łatwo. Najpierw mimo woli będzie musiał zagrać jedną z ról w przedstawieniu, potem zostanie oskarżony o współudział w napadach... Wielbiciele cyklu o Lucky Luke'u nie będą rozczarowani ani zaskoczeni, dostaną dokładnie to, czego oczekują: zabawne przetworzenie mitów Dzikiego Zachodu i schematów westernowych opowieści. Satysfakcjonujące połączenie geniuszu Goscinnego z mistrzowską prostotą kreski Morrisa. (jd)



X4 #1

scenariusz: Akira Yoshida
rysunki: Pat Lee & Dreamwave Studios
MANDRAGORA

Gdy na stacji kosmicznej dochodzi do wybuchu i awarii, dla uwięzionych tam ludzi nie ma żadnej nadziei na ratunek. A raczej nie byłoby, gdyby nie Fantastic Four i X-Men. Grupy superbohaterów łączą swoje siły i wysyłają w kosmos sześcioosobową grupę ratunkową, w której skład weszli Wolverine, Gambit, Nightcrawler, Emma Frost, Thing i Invisible Woman. Pierwszy zeszyt to oczywiście dopiero zawiązanie akcji, ale zapowiadają się dramatyczne wydarzenia. Kilka uwag: fabuła wydaje się naciągana, jednak trzeba było jakoś grupy połączyć i wysłać do walki ze złem (a wcześniej doprowadzić do konfrontacji Logana z Thingiem, w końcu nic tak nie przyciąga czytelników, jak starcie gigantów). Drażni mnie też tłumaczenie części pseudonimów bohaterów na polski. Z resztą ocen trzeba się wstrzymać do czasu, gdy na rynku pojawi się cała pięcioczęściowa miniseria. Na razie wygląda to na taki typowy komiksowy crossover, przeznaczony przede wszystkim dla fanów X-Men i FF. (jd)



KENSHIN tom 6

scenariusz i rysunki: Nobuhiro Watsuki
EGMONT

„Kenshin" równie wiele zawdzięcza japońskiej historii, co amerykańskiej popkulturze. W kolejnej odsłonie przygód rudowłosego samuraja ponownie musi się on zmagać ze szwarccharakterami rodem z komputerowych gier karate, wdając się z nimi w dialogi niewiele krótsze niż te, jakie uskuteczniali X-Meni. Szósty tomik serii skupia się jednak przede wszystkim wokół historii, której głównym protagonistą jest nie Kenshin, a Sanosuke Sagara, odgrywający dotąd drugoplanową rolę bad boya o złotym sercu. A jako specjalny dodatek Nobuhiro Watsuki sprezentował fanom krótki komiks „Sierp księżyca w bezksiężycową noc", którego akcja rozgrywa się w Japonii młodszej o cztery wieki niż ta z czasów Kenshina. Ogólnie jest to bardzo sympatyczny komiks o wartkiej akcji i fajnej kresce. Lojalność nakazuje jednak zaznaczyć, że Kenshin i jego kumple to tacy samuraje w wersji pop. Żądnym bardziej ekstremalnych wrażeń polecam raczej „Miecz nieśmiertelnego", a zwolennicy popularnej mangi przygodowej i tak pozostaną wierni Kenshinowi. /*SBTN*/



SANDMAN. REFLEKSJE I PRZYPOWIEŚCI

scenariusz: Neil Gaiman
rysunki: różni autorzy
EGMONT

„Refleksje i przypowieści" (w polskim wydaniu podzielone na dwie części) zbierają kilka pojedynczych opowiadań o świecie Władcy Snów. Ich wspólną cechą jest to, że w przeciwieństwie do większości albumów cyklu nie dzieją się współcześnie, a ich bohaterami często są postaci historyczne. Spotykamy więc w nich młodego Marco Polo, Robespierre'a, Oktawiana Augusta, Marka Twaina i Joshuę Nortona, który ogłosił się cesarzem Stanów Zjednoczonych (na marginesie: jego historia zainspirowała także jeden z odcinków Lucky Luke'a, wydany również w Polsce album „Cesarz Smith"). Od starożytnego Rzymu, poprzez średniowieczną Rosję, aż po ogarniętą rewolucyjnym terrorem Francję – „Refleksje..." to prawdziwa podróż w czasie i przestrzeni. W każdym z tych opowiadań Sandman i jego mroczne rodzeństwo odgrywają znaczącą rolę, choć niekiedy pojawiają się w zaledwie paru kadrach. W historiach Gaimana splatają się rozmaite mitologie, z właściwą autorowi lekkością wykorzystywane do konsekwentnego i drobiazgowego budowania imperium Snu. Nic tylko podziwiać, mamy bowiem do czynienia z prawdziwą komiksową poezją. (jd)





SKORPION. DEMON W WATYKANIE

scenariusz: Stephen Desberg
rysunki: Enrico Marini
EGMONT

Złowieszczy kardynał Trebaldi, zaciekły wróg Skorpiona, zostaje wybrany na nowego papieża (poprzedni, jak pamiętamy, został zamordowany). Zgromadzonych na konklawe dostojników kościelnych przekonał do tej decyzji dość wątpliwy dowód „świętości" Trebaldiego: okazany przez niego krzyż świętego Piotra. Jedyną szansą na obalenie nowej głowy Kościoła i powstrzymanie jego mrocznych planów jest odnalezienie prawdziwej relikwii. Skorpion, który zdecydowanie przeciwstawił się Trebaldiemu, podejmuje się odnalezienia autentycznego krzyża. Wraz z nieodłącznym towarzyszem i swoją niedoszłą zabójczynią, Egipcjanką Mejai, udaje się do Konstantynopola. Krok w krok za nimi podążają żądni krwi wysłannicy Trebaldiego. Czwarty tom „Skorpiona" przenosi akcję z Rzymu do Turcji, splatając kilka wcześniejszych wątków, a jednocześnie otwierając nowe możliwości kontynuowania przygody. Sporo się tu dzieje, pewnie jeszcze więcej się wydarzy. Opowiedziana przez Desberga historia naprawdę wciąga, a jej dodatkowym walorem są świetne, wręcz filmowo kadrowane ilustracje Mariniego. Bardzo dobra robota. (jd)



LUPUS tom 1

scenariusz i rysunki: Frederik Peeters
POST

Dwóch przyjaciół, Lupus i Tony, przemierza kosmos w poszukiwaniu nowych doznań narkotycznych. Żyją z dnia na dzień, laszerując się kolejnymi halucynogennymi wynalazkami. Ich podróż przerwie spotkanie z młodą dziewczyną, Saną, która postanawia porzucić dotychczasowe puste i nudne życie. Jej obecność zmieni w życiu mężczyzn wszystko. Od razu powiem, że po twórcy znakomitych „Niebieskich pigułek" spodziewałem się nieco więcej. Pochwalić z pewnością trzeba ilustracje: Peeters ma znakomitą, nonszalancką kreskę, którą potrafi przedstawić zmienne nastroje i stany psychiczne swoich bohaterów. Jednak scenariusz pozostawia pewien niedosyt. Autor, tym razem w umownych realiach s-f, porusza swoje ulubione tematy: potrzebę przyjaźni i miłości, akceptacji i zrozumienia, prawo do wolności i dokonywania świadomych wyborów. Problemy ważne, z pewnością trudne do pokazania w specyficznym medium, jakim jest komiks. Mam wrażenie, że autor nie do końca sobie z nimi poradził. Co prawda unika banałów i frazesów, ale też nad pewnymi kwestiami przeskakuje zbyt gładko, pozostawiając dużo niedopowiedzeń. Nie ma co jednak zbyt długo narzekać, zobaczymy, co przyniosą kolejne tomy opowieści. (jd)



USAGI YOJIMBO. KRĘGI

scenariusz i rysunki: Stan Sakai
MANDRAGORA

Niemal wszystkie opowieści zawarte w szóstym (chronologicznie) tomie przygód Usagiego toczą się wokół tematów mitologicznych. Królik-samuraj walczy tu więc z wszelkiej maści upiorami, duchami i potworami. Nawet najdłuższe, obejmujące połowę albumu, opowiadanie tytułowe to starcie ze znanym już czytelnikom demonicznym Jeim. Tematem przewodnim „Kręgów" jest jednak powrót Usagiego w rodzinne strony, ponowne spotkanie z mistrzem Katsuichim, ukochaną Mariko i jej synem Jotaro oraz odwiecznym rywalem (ale nie wrogiem) Kenichim. Próba zmierzenia się z przeszłością będzie jednak trudna, o wiele trudniejsza niż Usagi mógł przewidywać... „Kręgi" to chyba jeden z najlepszych albumów o Usagim: mądry, refleksyjny, a jednocześnie dynamiczny i pełen akcji. Ale w sumie w przypadku tej serii to żadna niespodzianka. Sakai to jeden z najlepszych amerykańskich twórców komiksowych, a „Usagi Yojimbo" bez wątpienia zasługuje na wszelkie pochwały i nagrody, jakimi został obsypany, bo to komiks kompletny, perfekcyjnie dopracowany i do głębi przemyślany. Dzieło sztuki, po prostu. (jd)

recenzje
filmowe



BLADE: MROCZNA TRÓJCA
reż. David S. Goyer
WARNER BROS.



Blade uderza po raz trzeci, tym razem mając do czynienia z najniebezpieczniejszym przeciwnikiem, samym Draculą, pierwszym wampirem, który po latach ukrycia i letargu powraca, by na ziemi siać terror. Na szczęście tym razem Blade może liczyć na pomoc grupy świetnie wyszkolonych łowców, którzy szykują się do ostatecznej rozprawy z krwiopijcami. Fabularnie to najsłabsza część trylogii opartej na komiksach Marvela, ale za to najbardziej spektakularna. Po najlepszej, środkowej części cyklu z pewnością było to małe rozczarowanie, na szczęście nieco poprawione przez edycję DVD. Oprócz sporej ilości dodatków otrzymujemy tu bowiem wersję filmu poszerzoną w stosunku do tej, którą mogliśmy oglądać w kinie. Dużo się niby nie zmienia, ale dzięki temu „Mroczna trójca" wydaje się nieco spójniejsza i ciekawsza. W sumie przyzwoite patrzydło, może dla mało wymagających, ale w końcu i takie kino czasami trzeba przyswoić. Choćby dla relaksu. (jd)

MOST PRZEZNACZENIA
reż. Mary McGuckian
MONOLITH



Peru, połowa XVIII wieku. Zakonnik Juniper bada okoliczności zerwania mostu w górach – tragedię przypłaciło życiem pięcioro ludzi. Inkwizycja szuka odpowiedzi, czy katastrofa była efektem bożego gniewu. Juniper swoim dociekaniem wchodzi w drogę Świętemu Oficjum... „Most przeznaczenia" mógł być filmem wielkim, jednak irlandzka reżyserka (autorka m.in. niezłego filmu o wybitnym piłkarzu Manchesteru United, George'u Bescie) tej szansy nie wykorzystała – trzeba chyba więcej wysiłku włożyć, by smutny moralitet o śmierci i boskich wyrokach nie zmienił się w staroświecki teatr. Potrzeba wyczucia, jakim wykazał się choćby Roland Joffe w genialnej „Misji". Jednak nagrodą dla widzów są z pewnością ładne zdjęcia, dopracowane kostiumy i scenografia i nade wszystko znakomita obsada. Oglądanie filmu, w którym występują Robert De Niro, Harvey Keitel, Gabriel Byrne, Samuel LeBihan i Kathy Bates (a to nie wszystkie gwiazdy z listy płac) to dla kinomanów przyjemność sama w sobie. (jd)

DRIVE THRU RECORDS DVD VOL. 1
DRIVE-THRU RECORDS



Audiowizualny przegląd zawodników związanych z teamem Drive-Thru. Tuzy lekkiej odmiany punk rocka prezentują swoje videoclipy, grają na żywo, udzielają wywiadów i oddają się wielu innym dziwnym czynnościom. Wśród wykonawców m.in. New Found Glory, The Movielife, Finch, RX Bandits, Senses Fail, Allister i wiele innych panczurskich „boys bandów", które rządzą obecnie za Wielką Wodą. DVD jest upchane po brzegi i zmierzyć się z całą zawartością (ponad trzy godziny materiału) w jednym podejściu chyba się nie da. No, chyba że ktoś jest maniakiem i się uprze. Dla fanów pop punka absolutny mus!!! A jeżeli ktoś nie przepada za „kalifornijszczyzną", może zawsze pooglądać sobie atrakcyjne nastolatki, bo – jak się okazuje – stanowią one podstawę publiki na punk-koncertach w USA. /*SBTN*/

JAY-Z
FADE TO BLACK
PARAMOUNT CLASSIC



Dla fanów Jaya jest to z pewnością perełka obowiązkowa. Nikt już dziś nie wie, czy Jay faktycznie się wycofał, czy też wali w chuja za grube miliony papieru, w każdym razie był dzień, kiedy chciał się pożegnać. A że jest graczem z topu, zrobił to topowo w każdym calu. Madison Square Garden, najsłynniejsza sala koncertowa świata, oraz plejada gwiazd plus wielkie hity, których Jayowi nigdy nie brakowało. P.Diddy, Kanye West, Beyonce, Common, Pharrell, Slick Rick, Timbaland, Missy Elliott, Q-Tip - tych ludzi zobaczycie w tym filmie, a to nie wszyscy, uwierzcie. Królewskie pożegnanie, królewski wystrój, szampańska zabawa. To wszystko komentowane przez Jaya, a do tego materiały dodatkowe, czyli między innymi sporo o tym, jak powstawał The Black Album. Więcej nie ma co pisać, to trzeba po prostu mieć i obejrzeć. Z pewnością więcej, niż jeden raz. k.

DEZERTER
PRZYSTANEK WOODSTOCK 2004
ZŁOTY MELON



Kolejna płyta prezentująca nagrania live z ubiegłorocznego Przystanku Woodstock. Tym razem na scenie jeden z najlepszych i najbardziej zasłużonych polskich zespołów punk/hc – Dezerter. Zagrali na zakończenie pierwszego dnia festiwalu i – przynajmniej z punktu widzenia organizatorów – był to strzał w dziesiątkę. Energetyczna muzyka Dezertera poderwała tłum, entuzjastycznie przyjmujący zarówno stare przeboje (to słowo chyba jakoś do punkrockowego zespołu nie pasuje), jak i nowe nagrania grupy. Ekipa Krzysztofa Grabowskiego zagrała materiał przekrojowy, od kawałków najbardziej znanych („Dezerter", „Spytaj milicjanta", „Pierwszy raz"), po najnowsze, ze świeżo wówczas wydanej płyty „Nielegalny zabójca czasu". Świetnym posunięciem był też wspólny występ zespołu z Kasią Nosowską. Wokalistka Heya pojawiła się w połowie koncertu, by zaśpiewać w czterech utworach, które niegdyś nagrała z Dezerterem na płytę „Jak powstrzymałem III wojnę światową". Podobnie jak poprzednie „woodstockowe" DVD również na tej płycie znajdziecie ponad godzinę dodatków, a wśród nich długi wywiad z zespołem i teledysk nakręcony w Londynie. (jd)

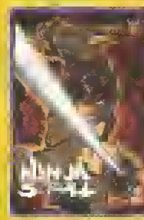
anime

GRAVITATION vol. 1
reż. Bob Shirahata, Shinichi Watanabe
ANIME VIRTUAL



Gravitation to historia młodej, próbującej się przebić japońskiej grupy pop-rockowej. „Miłość, zdrada i showbusiness", jak głosi slogan reklamowy. Niestety, muszę przyznać, że od strony animacji obraz jest zaledwie przyzwoity, bo opowieść nie daje animatorom zaszaleć, będąc tylko rysowaną telenowelą. Bohaterowie są nieprzekonujący, japoński pop-rock przetykany angielskimi wstawkami jest wyjątkowo festyniarski, a liczne homoseksualne akcenty zmęczą nawet najbardziej otwartych. Choć od razu przyznam, że absolutnie nie jestem targetem twórców, którzy najwyraźniej chcą trafić do mocno nastoletnich dziewcząt. Im „Gravitation" może się podobać, o ile przełkną fatalne, pełne błędów i niejasności tłumaczenie. (flint)

NINJA SCROLL vol. 1 (odcinki 1-4)
reż. Jack Fletcher, Tatsuo Sato
ANIME VIRTUAL



Wyobraźcie sobie Samuraja Jacka bez prostej, specyficznej kreski, za to w konwencji barwnego, niesamowicie dynamicznego i nasyconego szczegółami anime, a mniej więcej będzie pojmować, o co chodzi w „Ninja Scroll". Jubei Kibagami nie jest samurajem, tylko jak sama nazwa wskazuje, ninją (choć jego główną bronią jest również piekielnie ostry miecz), który nie dość, że nigdy nie może się wyspać i błąka się po Japonii w poszukiwaniu pracy, to jeszcze wplątuje się w ochronę strażniczki światła i jej kamienia smoka. W drogę wchodzi mu niesamowita galeria przeciwników – jest tu miejsce na siły natury, zaskakujące mutacje, a nawet technologiczny terror. Ale nic to, u boku ma ciskającego kamieniami złodziejaszka i wyspecjalizowanego w materiałach wybuchowych staruszka. Sama strażniczka też potrafi nieźle dokopać. Cóż, perfekcyjna animacja, perfekcyjne pojedynki, wciągająca historia z wieloma zwrotami i – o dziwo – poprawne tłumaczenie. Gorąco polecam, sam do serialu z pewnością będę wracać. (flint)

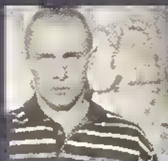
NARZECZONA DLA KOTA
reż. Hiroyuki Morita
MONOLITH



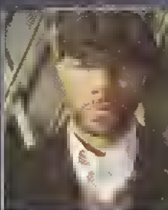
Młoda Haru ratuje na ulicy życie niezwykłemu kotu. Wyciągnięty niemal spod kół samochodu tutrzak dziękuje, nisko się kłania i znika, by wkrótce dać dziewczynie kolejne dowody swojej wdzięczności. Szybko okazuje się, że Haru ocaliła żywot nie byle komu, bo samemu Królowi Kotów. Dziewczynę czeka więc wyprawa do tajemniczego Królestwa Kotów, gdzie dostaje niezwykłą propozycję ślubu z synem Króla... Znając skłonności mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni do przekładania na język mangi i anime najdziwaczniejszych fantazji, można by zacząć się bać. Spokojnie, „Narzeczona dla kota" to urocza, sympatyczna baśń dla nieco młodszych widzów, więc żadnych ekscesów tu nie znajdziecie. Starsi wielbiciele japońskich animacji mają tu możliwość pośredniego kontaktu z twórczością mistrza Hayao Miyazakiego – zaprojektował na potrzeby filmu postaci i dekoracje. No i zadowoleni powinni być też wielbiciele kotów, choć ci akurat wiedzą, że te przemiłe i nieobliczalne zarazem stworzenia potrafią wyczyniać jeszcze dziwaczniejsze rzeczy niż na filmie. (jd)

newsy

Witam znów po miesięcznej przerwie. No i jak tam lato upływa, Drodzy Czytelnicy? Wakacje to okres, kiedy niektórzy plażują, pozostali duszą się w swoich miastach, a jeszcze inni, hmm... wyjeżdżają za granicę, żeby na przykład dorobić sobie pracując w fabryce sera w Anglii. Bywa. Jako że mamy taką, a nie inną porę roku, to i newsy będą nieco bardziej lajtowe, bo mam dobry humor aktualnie i nie jest mi go w stanie zepsuć nawet smutny w istocie raport o stanie polskiego hip-hopu, który możecie sobie przeczytać gdzieś tam w numerze. Zatem poczytajcie, przejmijcie ode mnie dobry nastrój, a ja tymczasem wracam... do rzeczonych serów:) Strzała!



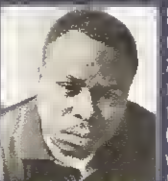
Zaczynamy od Polski. U nas wydarzeniem płytowym ostatnich dni jest nowy album **Włodiego** „W...". Zapraszamy do lektury wywiadu z raperem wewnątrz numeru. Oprócz tego, na koniec sierpnia zapowiedziano wydanie przez White House płyty „Co dwie to nie jedna" tarnowskiego składu Dwie Twarze, a w październiku ukazać się ma trzeci krążek Ascetoholix (zgadnijcie, jaki label go wyda). We wrześniu możemy spodziewać się solowej płyty członka Punktu Widzenia, Maciory. Krążek zostanie wydany legalnie przez Saport Nagrania, label założony przez samego wykonawcę, a zatytułowany będzie „I tak Ci to ukradną". Wszystko to jednak blednie przy tym, co zdarzy się w Warszawie 7 sierpnia. Wszyscy już wiedzą, więc nie jest to żaden news, ale co mi szkodzi powtórzyć – Nas zagra koncert w Polsce!!! Pysznie, rzekłbym, pysznie:)



Oprócz bycia świetnym emce, święcącym aktualnie triumfy swego najnowszego albumu „Be", **Common** okazuje się także... pisarzem. No, bez zbytniej przesady, gdyż pisze książeczki z przekazem dla dzieci, ale zawsze to jakiś początek. Raper ma już na koncie dwie publikacje, trzecia ukazać ma się jesienią, a dodatkowo trwają jego prace nad książką o AIDS zatytułowaną „Przytul mnie". Common już od pewnego czasu zaangażowany jest w kampanię związaną z edukowaniem społeczeństwa odnośnie tej choroby. Jaki z niego miły facet jest w ogóle, nie?

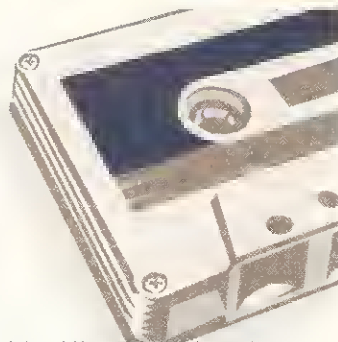


Do wydania swego pierwszego solowego krążka przymierza się członek **Brand Nubian**, Lord Jamar. Płyta ma nieść przekaz związany z kontrowersyjną i popularną swego czasu w murzyńskich środowiskach organizacją 5 Percent Nation of Gods And Earths i wyjaśniać precyzyjnie jej założenia oraz rozwiewać narosłe przy niej mity. Nazwa ruchu pochodzi od jego filozofii, mówiącej, że tylko pięć procent osób na świecie to ludzie dobrzy i praworządni, a resztę stanowią ignoranci oraz ludzie trzymający władzę. Płyta ujrzy światło dzienne w okolicach końca roku.



Po prawie dwóch latach spędzonych w więzieniu w nagrodę za niebezpieczne zabawy bronią na wolność wyszedł niespełna miesiąc temu raper **C-Bo**. Oczywiście zamierza od razu wziąć się do pracy nad swoim kolejnym albumem, który będzie jego, bagatela, siedemnastym wydawnictwem. C-Bo znany jest głównie ze swojego agresywnego przekazu, pełnego nienawiści do stróżów prawa, za co zresztą emce wylądował już w 1998 roku za kratkami (orzeczono, że jego płyta promuje gangi i przemoc, co spowodowało naruszenie warunków zawieszenia ciążącego na nim wówczas wyroku). Teraz też zapowiada, że nie będzie

recenzje muzyczne





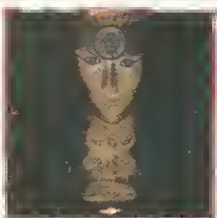
PŁYTA MIESIĄCA
JAMAL
REWOLUCJE
EMI MUSIC POLAND

Bardzo długo nie mogłem się przekonać do polskiego podejścia do muzyki ragga. Baranem jest jednak ten, kto nie zmienia poglądów, zwłaszcza, gdy w grę wchodzi sztuka. A Jamal robi sztukę przez duże S. Za nieprawdopodobną wręcz uważam pulsację, jaką wytwarza ta płyta. Znakomita muzycznie, bezkompromisowa tekstowo, prosto, lecz dosadnie i bogato zaaranżowana, z mocnym, dobitnym ragga Mioda. Klimaty zmieniają się szybko, raz to jamajska pulsacja, a raz jamajska moc. Posłuchajcie „Hien no pasaran" – to jest po prostu ta właśnie MOC! A dla kontrastu „Halo, halo", muzyczny żart z mądrym przekazem, będący jednocześnie dowodem na wielkie umiejętności muzyków zaangażowanych w projekt. No i w tym wszystkim jest mnóstwo melodii, znakomicie wkomponowanych w twarde wokale. 15 utworów na najwyższym poziomie. Opisywanie ich uważam za zbędne, ponieważ ta płyta powinna znaleźć się na półce każdego, kto szuka czegoś już znanego, ale podanego w zupełnie nowy, świeży sposób. A wtedy mój opis będzie zupełnie niepotrzebny. kwl



PŁYTA MIESIĄCA
WŁODI
W
EMI MUSIC POLAND

Włodi zrobił kolejny krok naprzód. Od czasów Ewenementu i swojej pierwszej solowej płyty pracuje nad swoim stylem – i tę pracę należy docenić i ocenić bardzo wysoko. Zawsze lubiłem teksty Włodiego, bo jest najbardziej przekonującym rzecznikiem ulicy w polskim rapie, teraz mogę również w pełni cieszyć się wykonaniem. Zdecydowany, pewnie akcentujący, nadal swoim rymom stylowego szlifu – o to chodzi. Najwyraźniej słychać to w znakomitym singlowym „Zobacz co się dzieje na podwórku", zarymowanym prosto, bez fajerwerków w refrenie, ale zapadającym w pamięć. Podobnie jak bardzo dobry storytelling „Błędne koło" czy bardzo osobisty, przejmujący „Przepraszam że...". Nie zawodzą goście – Eis, Mes, WWO i Numer urozmaicają ten materiał, to jedne z ciekawszych featuringów w polskim rapie ostatnich lat. No i ta płyta brzmi. Klasycznie, czysto, spokojnie, ale trzymając napięcie. Bardzo dobry materiał. kwl



PŁYTA MIESIĄCA
SYSTEM OF A DOWN
MEZMERIZE
AMERICAN/COLUMBIA RECORDS

Ta płyta jest z pewnością jednym z najważniejszych rockowych zapisów rzeczywistości w historii muzyki. Nieprawdopodobna kreatywność SOAD wręcz przeraża. Lekkość, z jaką przeskakują z klimatu na klimat – poraża. To zespół, który jak żaden inny nie boi się przemieszania naprawdę ostrych gitarowych riffów z elementami, które na pierwszy rzut ucha zupełnie do nich nie pasują. Electro początek „Old School Hollywood" przejdzie przecież chwilę później w ciężkie rockowe akordy, których nie powstydziłby się Motorhead. A już za moment usłyszymy niesamowicie zaśpiewaną balladę „Lost In Hollywood". Rockowa zabawa w „Cigaro" czy „Violent Pornography" zaskakuje nagłymi zmianami tempa, ciągłym poszukiwaniem aranżu, które ostatecznie tworzy wizytówkę zespołu – nie wiesz, czego możesz się spodziewać już za chwilę. A to wszystko nie po to, by się bawić, bo w tekstach SOAD nie brakuje odnośników do sytuacji politycznej czy społecznej w USA i na świecie, a nie są to wcale odnośniki traktujące te tematy lekko i spokojnie. Bazując na przenośniach zespół piętnuje przemoc i komercjalizację, ostrzega przed konsumpcją. To wszystko robi jednak nienachalnie – to nie proroctwa, tylko własne spostrzeżenia. No i jeszcze dwa słowa o umiejętnościach muzyków – wirtuozeria i styl, po prostu. Rzecz wybitna. kwl



IS IT ROLLING BOB?
A REGGAE TRIBUTE TO BOB DYLAN
SILVERLINE

Bob Dylan zasłynął jako gryzące sumienie Ameryki, świetny kompozytor i tekściarz, nigdy jednak nie był dobrym wokalistą. Teraz hołd składa mu śmietanka reggae – mamy reprezentantów Black Uhuru, Mystic Revealers, Israel Vibration, jest Luciano, jest Toots Hibbert, są Mighty Diamonds, a nawet Sizzla. Jeden z utworów otwiera zapowiedź „a sweet reggae song" i rzeczywiście album jest słodki, niesamowicie melodyjny. Najbardziej przypadła mi do gustu ponad sześciominutowa wersja „The Lonesome Death of Hattie Carrol". Z gorzkiej historii piętnującej niewolnictwo Michael Rose zrobił prawdziwy przebój. Ale o dziwo wykonawcy mają tyle talentu i doświadczenia, żeby nawet największe osłuchane numery pokroju „Blowin' In The Wind" brzmiały świeżo i naturalnie. Przesympatyczny album, okładka nakłaniająca do długich obserwacji, a z racji na to, że to dual-disc, czyli CD i DVD na jednym krążku, jest również genialnie brzmiąca wersja krążka w DD 5.1, materiał video, fotki i sporo bonusowych dubowych remixów. Idealne na lato w mieście. (flint)



JAMIROQUAI
DYNAMITE
SONY/BMG

Nie spodziewajmy się czegoś nowego – tu nie będzie rewolucji. Nie spodziewajmy się czegoś słabego – JK nie potrafi nagrywać złej muzyki. Może i apetyty były większe, może ktoś myślał, że zdarzy się nie wiadomo co. Ale właściwie co mogłoby się wydarzyć? Funk we wszystkich odcieniach – dynamika, relaksacja, pulsacja i nastroje. Jason Kay wraz ze swoim zespołem przyzwyczajał nas do takich mieszanek każdym kolejnym albumowym koktajlem i czyni to kolejny raz. Singlowy „Feels Just Like It Should" przypomina trochę „Deeper Underground", ale jest też flirtem Jasona z kolejnym

wokalnym rozwiązaniem, jak zresztą sam mówił, pochodzącym z jego fascynacji beat boxem. Na tej płycie mamy wszystko – spokojny, nastrojowy „Seven Days In Sunny June", będący na granicy wczuwki i wybuchu „Dynamite", przepiękną, ubarwioną smyczkami balladę „Talullah", dyskotekowy „(Don't) Give Hate A Chance". „Hot Tequila Brown" – zamykająca płytę seria wybuchów (wsłuchajcie się) połączonych z kosmicznymi klawiszami i delikatną zabawą na gitarze daje poczucie sytości. Już od jakiegoś czasu słychać, że JK robi płyty zdecydowanie „pod siebie", nie goni za przebojami, te po prostu mu wychodzą. Same z siebie, na luzie, z polotem. k.



NINE INCH NAILS
[WITH TEETH]
INTERSCOPE

Cóż można napisać o nowej produkcji Trenta Reznora? Że przez sześć lat można skomponować album, jakiego mało kto się spodziewał? Że tak naprawdę nikt nie wiedział, czego się spodziewać? Że flirt z elektroniką Reznor zamienił w romans? Że z gracją przechodzi od nastrojów do łomotu? Że słychać na tej płycie wszystko, co najlepsze w amerykańskiej muzyce w ostatnich latach? Że może przerażać, co dzieje się w głowie tego faceta, bo klimaty zmieniają się szybciej, niż słuchacz może się przestawić? Że Nine Inch Nails to niekończący się eksperyment, ale zawsze o najwyższej jakości? Że choć momentami ciężko się skupić, to jeszcze ciężej oderwać się od tej płyty? Że „The Collector" czy „Every Day Is Exactly The Same", a do tego jeszcze ciężki tytułowy „With Teeth" to utwory niesamowite? Że gdyby wszyscy byli tak odważni, jak Reznor, to świat muzyki byłby światem chaosu, ale raczej nikt by nie narzekał? Tak, można to wszystko napisać, ale lepiej po prostu posłuchać tej płyty. k.



V/A
SAINT-GERMAIN DES-PRES CAFE 6
WAGRAM/ SONIC

Zawsze z przyjemnością sięgam po kolejne składanki z tego cyklu, bo po pierwsze są swoistym przeglądem tego, co ciekawe i wartościowe na scenie nu-jazzowej, a po drugie dlatego, że najzwyczajniej w świecie zapewniają ponad godzinę muzycznego czilautu na wyśmienitym poziomie. Nie mogło być inaczej i teraz. Na kompilacji najmocniejszymi uderzeniami z punktu widzenia większości czytelników SLG będą zapewne nagrania Mr Scruff'a, The Mighty Bop, DJ'a Cama (rewelacyjne „Cantaloop Island") i… Skalpela. Zawsze miło, kiedy docenia się naszych twórców i umieszcza ich w tak doborowym gronie. Generalnie idealna pozycja dla wszystkich lubiących nowoczesne brzmienia jazzowe z domieszką hip-hopu, soulu i elektroniki. Calak



LA CEDILLE
VU DU LARGE
CHOCOLATE FIREGUARD

Muzyki francuskiego artysty z Besancon, La Cedille, słucha się jak jam session dobrej jazzowej kapelki w dobrym klubie przy dobrym drinku. Jest stonowana, ale niespokojna rytmicznie, dobrze uzupełniona francuskojęzycznym rapem przechodzącym nieraz w podśpiewywanie i melodeklamację. Powstaje z tego wszystkiego miły, dość bogato brzmiący album nieco trudniejszy od takiego Spearhead, za to sporo przystępniejszy od np. Yesterday New Quintet. Jedynym problemem jest monotonia wkradająca się mniej więcej w połowie i degradująca tą pozycję do muzyki idealnej, by leciała w tle, nie zaś pierwszoplanowej i w pełni koncentrującej uwagę. (mf)



PREFUSE 73
SURROUNDED BY SILENCE
WARP/ SONIC

Powiedzenie, że muzyka łączy ludzi, nijak ma się do twórczości Scotta Herena aka Prefuse 73. Jego można albo kochać i upajać się tym, co produkuje, albo nazwać szarlatanem nieskładnie układającym pojedyncze dźwięki i nie tworzącym nic ponad chaotyczny, trudny do zrozumienia amalgamat brzmień. „Surrounded By Silence" – i będę się przy tym zdaniu mocno upierał – to materiał genialny. Kapitalnie grający na emocjach słuchacza, wciągający, niesamowicie bogaty w inspiracje, nawiązania, a przy tym na swój sposób piękny. Oparty (co dla jego fanów żadnym zdziwieniem nie jest) o bardzo krótkie próbki sampli, kapitalne brzmienie perkusji i dograne przez samego Herena partie żywych instrumentów. Smaczku dodają gościnne udziały tak różnych postaci z rapowego światka jak reprezentanci Wu – Ghostface, GZA i Masta Killa, związani z Def Jux El-P, Camu i Aesop Rock, oraz kojarzony z APC Beans. Wszyscy tani połamanego elektronicznego brzmienia bazującego na hip-hopie mogą spać spokojnie – Heren jak zwykle stanął na wysokości zadania. Calak



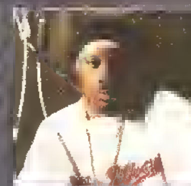
KRS-ONE
KEEP RIGHT
GRIT RECORDS/KARTEL MUSIC

Prorok wciąż robi swoje. Z dokładnością i przejęciem, które budują dla niego szacunek nawet u tych, którzy nie mogą go ścierpieć (są i tacy). Wciąż z misją, wciąż na poziomie, wciąż z tą wielką wiarą w siebie i – przede wszystkim – w uniwersalny przekaz hip-hopu. Można by się było zastanawiać, czy to mimo wszystko nie są zbyt konserwatywne wykładnie, nie do końca do zrozumienia dla każdego w momencie, gdy hh za Oceanem jednak nieco zmiękł nawet w wykonaniu tych najtwardszych, ale Parker najwyraźniej zupełnie się tym nie przejmuje. Robi swoje. Jak zawsze sporo tu ukłonów w stronę starej szkoły, ale też da się wyczuć, że KRS wyczuwa nowe trendy i choć im nie ulega, nadąża za nowoczesnością. Dla wszystkich głęboko tkwiących w kulturze hh i jej tradycji, perełka prawdziwa – krótki spoken word od Afrika Bambaaty. Jak jest muzycznie? To klasycznie robiony, twardy hip-hop, dużo samplowania, skreczu. Prosto, ale na pewno nie prostacko. Tylko czy przypadkiem nie za długo? Wydaje się, że ta ponad 50-minutowa płyta mogłaby być nieco bardziej skondensowana. Gdyby to było dla kogoś problemem, będzie rekompensata – dvd z mnóstwem materiałów o karierze i działalności „najprawdziwszego", dobra rzecz.

się w tym temacie oszczędzał, co najwyraźniej świadczy o niedoskonałościach amerykańskiego programu resocjalizacyjnego:)



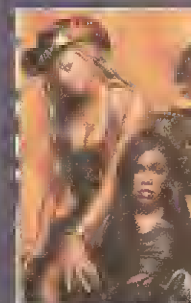
A teraz klonik powyższego newsa. Obczajcie, jakie to łatwe:) Jedziemy: po ponad trzech latach spędzonych w więzieniu w nagrodę za niebezpieczne zabawy bronią wyjdzie za niespełna miesiąc raper ***Project Pat***. Oczywiście od razu zamierza wziąć się do pracy nad swoim kolejnym albumem, który... i tak dalej. A tak poważnie mówiąc, to płyta członka Three Six Mafii (zespół na zdjęciu) ma pojawić się w styczniu w przyszłym roku. Ponoć podczas odsiadki Pat napisał około 200 tekstów, więc będzie z czego wybierać.



Idąc z aktualnie panującą za oceanem modą na wszystko, co latynoskie, ***RZA*** założył nowy label o nazwie, i tu niespodzianka, Wu-Tang Latino. Już samo miano wytwórni pachnie mi profanacją, ale jak zbijać hajs, to już konkretnie. W sierpniu wyjść ma mixtape z artystami, których label zamierza promować. Wśród nich takie sławy, jak... Rameses, Shown Black i Ruster. Nie mam pojęcia, kto to jest, szczerze przyznam. Tymczasem dzwonię zaraz do lidera Wu, żeby go zachęcić do założenia na przykład Wu-Tang Lubelszczyzna. No, co?



Jeśli już przy Wu jesteśmy, to warto wspomnieć o ***Cappadonnie***, który to nie jest wcale od swego mentora gorszy i też uruchomił dopiero co swój labelik o nazwie Hood. Najważniejsze jednak, że Donna przygotowuje swoją czwartą solówkę (nie licząc składanki z największymi hitami), której nagrywanie ma podobno zakończyć się w sierpniu, ale oficjalnej daty jej ukazania się jeszcze nie ma.



Pomimo że przez parę miesięcy zaprzeczały plotkom o definitywnym rozwiązaniu grupy, dziewczyny z ***Destiny's Child*** podały w czerwcu oficjalnie do wiadomości, że już nie będą wspólnie nagrywać. Zanim jednak nazwa zespołu zostanie porzucona, Beyonce Knowles, Michelle Williams i Kelly Rowland wyruszają w swoje ostatnie tournee po USA, które zakończy się 10 września. Nie trzeba chyba dodawać, że każda z wokalistek zamierza kontynuować swoje kariery solo. Wszak wszystkie z nich mają już na koncie solowe wydawnictwa.



Master P to nie tylko kiepski raper, ale także kiepski koszykarz, który zarówno w jednej jak i w drugiej dziedzinie niezmordowanie się produkuje. Ostatnio pojawił się w sklepach jego najnowszy album „Ghetto Bill: The Best Hustler in the Game", a Master P po raz kolejny próbuje swoich sił w koszu. Tym razem będzie zawodnikiem drużyny Sacramento Kings w trakcie rozgrywek ligi letniej NBA w Las Vegas. Percy Miller ma sześć stóp i cztery cale wzrostu (to jakieś 193 cm), a występować będzie z numerem 8 na koszulce. Kings chyba chcieli sobie poprawić publicity, gdyż z 35-letniego Millera już na pewno nic nie będzie.



Nasza ulubiona redakcyjna bohaterka newsów (zdjątka, dzieciaku!) **Lil' Kim** trafi do więzienia. Całą sprawę opisywałem w poprzednich numerach, więc się powtarzać nie będę, teraz mamy zaś oficjalny wyrok, który opiewa na 366 dni w pudle, trzyletni okres próbny po wyjściu i dodatkowo 50 tysięcy dolarów grzywny. Nie jest źle, bo groziły jej znacznie gorsze konsekwencje. Przysięgli precyzyjnie wyliczyli, że raperka skłamała przed sądem w czasie swych zeznań dotyczących innej sprawy 29 razy. Nie wiadomo, czy Kim złoży apelację. Póki co ma czas do 19 września, aby oddać się w ręce sprawiedliwości (jakkolwiek głupio by takie wyrażenie nie brzmiało). Trzym się, Kim, czekamy na kolejne miłe dla oka fotki i na album „The Naked Truth", który ukaże się 13 września:)



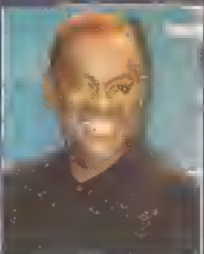
A tym newsem Was zabiję. Mianowicie, 4 czerwca rusza w Londynie i Brighton seria imprez pod wspólną nazwą **PeaceOUT UK**. No i co z tego, zapytasz, nieświadomy haczyka czytelniku. A to, że festiwal organizowany jest przez portal gayhiphop.com i jest pierwszą tego typu gejowską imprezą w Europie (co oznacza, że chłopaki w Stanach już mieli się okazję pobawić w rytm hip-hopu w swym zacnym towarzystwie). Wśród artystów będą choćby niejaki QBoy i Wayne Latham (którego to przysłojniaka zdjęcie udało nam się odnaleźć specjalnie dla Was). Co jest, pędzicie już po bilety do Anglii?:)

NEWS

Nową płytę szykuje nam **AZ**. Ukaże się ona w sklepach 23 sierpnia, a zatytułowana będzie „A.W.O.L." Na album ten czekaliśmy aż trzy lata, bo ostatnie jego wydawnictwo „AZiatic" wyszło w 2002 roku. Gościnnie na krążku znajdziemy zwrotki Ghostface'a, Bounty Killera, CL Smootha i Slick Ricka, a wśród producentów znajdują się takie sławy jak DJ Premier, Heatmakerz i Buckwild.



Kolejnym weteranem, którego nowe nagrania będziemy mogli niebawem usłyszeć, jest **Reverend Run** z legendarnego składu Run-DMC. Będzie to pierwszy album solowy tego emce. W całości wyprodukowany został przez samego Runa oraz Whiteboya, nosi tytuł „Distortion", a data jego wydania to 13 września. Tydzień wcześniej natomiast nastąpi premiera reedycji aż czterech płyt Run-DMC. Będą to albumy: „Run-DMC", „King of Rock", „Raising Hell" i „Tougher Than Leather".



Na koniec smutna wiadomość. W wieku 54 lat zmarł **Luther Vandross**, wokalista R&B, który sprzedał ponad 25 milionów płyt. Z jego zdrowiem było bardzo źle już od dwóch lat, zapadł nawet w tym czasie na sześć tygodni w śpiączkę. Jego ostatnia płyta „Dance With My Father" to piętnasty album tego artysty. Za jakiś czas możemy się spodziewać natomiast płyty będącej hołdem dla Vandrossa, na której covery jego przebojów wykonywać będą między innymi Mariah Carey, Mary J. Blige, Fantasia, Wyclef Jean.

przygotował Grabiszczy



LIMP BIZKIT
THE UNQUESTIONABLE TRUTH [PART 1]
FLIP/GEFFEN RECORDS

No i mamy pierwszy album LB po powrocie Wesa Borlanda. Właściwie mini album, bo to niespełna 30 minut. Czego można było się spodziewać, gdy wrócił syn marnotrawny kochający brudne i ciężkie brzmienie? Właśnie takiej płyty, zdecydowanie najbardziej mrocznej w historii zespołu. Nasuwają się skojarzenia z początkami kariery Rage Against The Machine, przez niektórych stawiane jako zarzut. Ja bym tego tak nie ujmował. To raczej eksperyment, choć rzeczywiście Durst momentam brzmi bardzo jak De La Rocha. To brudna, ciężka, ostra płyta. Bezkompromisowa muzycznie, bezkompromisowa tekstowo. Praktycznie bez nawiązań do urban soundów czy jakichkolwiek poszukiwań tak charakterystycznych dla Limpów. Momentami garaż, momentami czysty hard core. Jedynie minuta z kawałkiem oddechu w przerapowanym paranoicznie „The Key". Ciężko. Jaka będzie część druga? Ciekawe, czy wiedzą to sami LB. k.



THE GAME
WHO GOT GAME? THE MIXTAPE

Dobra rzecz, naprawdę. Game zaprosił na swój mikstejp plejadę gwiazd-koleżków i wyszła rzecz całkiem ciekawa. Są tu m.in. Dre, 50 Cent, Snoop Dogg, Juelz Santana i Jay-Z, więc jak widać – grubo. Muzycznie całkiem nieźle, sporo znanych beatów pojechanych debiutanckimi rapami, a Game ma kilka zwrotek zupełnie niegorszych od tych, które zamieścił na swoim oficjalnym debiucie dla Aftermath. Tematyka stricte getto, nie zabrakło dissowania, po rajtach dostaje przede wszystkim Benzino, którego Game jedzie od jakiegoś czasu lepiej niż Eminem (ciekawostka – jego też tu usłyszycie, choć na trackliście się nie pojawia). Jednym słowem – kawał porządnej miksroboty, fani bandziora z West Coast nie będą rozczarowani, a i ci nastawieni do niego sceptycznie znajdą tu sporo dobrego rapu.



ILL AT WILL MIXTAPE 2 hosted by: REDMAN & GOVMATIC
BC4 STRAIGHT OUTTA LO-CASH
GILLA HOUSE

Nie będę krył delikatnego rozczarowania. Pierwszy Ill At Will był piardem nieprawdopodobnym, jedną z najbardziej zakręconych pozycji mikstejpowych, jakie udało mi się w życiu usłyszeć. A tutaj gdzieś zniknęło tempo. Funk Doc nadal się stara, napierdziela swoje zwroty konkretnie, ale też spory wpływ na ostateczny wygląd tej blisko 40-minutowej produkcji mają zaproszeni goście: Icarus oraz Saukrates w tematach wokalnych przede wszystkim. Jakieś to wszystko mniej poskładane niż poprzedni mikstejp. Pewnie chodziło o wypromowanie ziomali. Ale z drugiej strony, jest to też delikatna podróż sentymentalna do początków kariery Redmana, kiedy facet napierdalał kawałki zupełnie nieprzewidywalne. Ciekawostką jest „Da Banger" z R. Kellym i Jayem-Z, poremiksowany gotowiec brzmi całkiem sympatycznie.



JEDEN OSIEM L
SŁUCHOWISKO
UNIVERSAL MUSIC

Po tej płycie polubiłem 18L, naprawdę. Urzekła mnie ich historia opowiedziana w bajkowym klimacie podczas tzw. „Wejść". Spodobał mi się „Krajobraz Miejsca", tak cudownie zerżnięty z twórczości Grammatika. Lubię „Jest Tak", kawałek zbuntowany przeciwko całemu światu, choć nie wiem, o co w nim chodzi, poza tym, że jest ciężko. Itd., itp. Wszystko fajne, fajnie brzmiące i tak cudownie o niczym. Teraz na serio. Jeden Osiem L udowodnili tą płytą, że są zespołem jednego singla, spod ciężaru którego już nigdy się nie uwolnią. Poza tym są zupełnie przeciętnym, niczym nie imponującym zespołem wykonującym rap. Świetnie wychodzą im kawałki w stylu „Pytam Kiedy" – dlaczego więc nie przestaną oszukiwać siebie i innych i nie zaczną tworzyć więcej tego typu produkcji? To im akurat wychodzi. kwl



EXPLICIT SAMOURAI
EXPLICIT SAMOURAI
KARTEL MUSIC

Ten francuski zespół lokalnie ma wysoki status, swoją muzykę robią już od dziesięciu lat. Ten album jest de facto debiutem, ale trzech członków zespołu, choćby z uwagi na staż, debiutantami nazywać nie wypada. Ciekawe muzycznie, bardzo starannie zaaranżowane utwory, a do tego rap mocno punktujący, z fajnym, trochę „psycho" flow. Wstawki ragga, trochę śpiewu, dużo urozmaiceń. Porządny album, uniwersalny w hip-hopowym przekazie. Zadowoli nie tylko fanów francuskiego erape.



STARZY SINGERS
TAKIE JEST C'EST LA VIE
LADOABC

Starzy Singers to, kurwa mać, legenda podziemia. Legenda, która wraca z kolejną porcją mocno dziwnej muzyki, której prawdopodobnie nikt poza nimi nie rozumie, ale której słucha się z prawdziwą przyjemnością, dziękując Bogu, że ocalił nas od choroby psychicznej. Nie ma miękkiej gry. Te łobuzy mają opracowany plan rozpierdolenia potencjalnej publiczności niekończącym budowaniem napięcia, misterną zabawą instrumentami, którymi posługują się nad wyraz sprawnie. Nie jest bowiem sztuką robienie alternatywy, gdy nie ma się pojęcia o grze na, dajmy na to, gitarze. A tu Lopez Soarez i Manetka pojęcie mają i z prawdziwą przyjemnością słucha się ich zabaw z sześcioma strunami. Przeraża eklektyzm Seszela, basisty-wokalisty, ale też jego historie mają wymiar ponadczasowy, a bas mile dudni. Za bębnami Maczio, legenda warszawskiego odlotu pozytywnego, człowiek, którego uderzenia trzymają to wszystko w kupie. A „Włos" to dla mnie singiel roku i dowód na to, że można, podobnie, jak „Wąs", którego nie powstydziliby się MC5. A już tak trochę bardziej na poważnie – zajebista płyta. k.



TORONTO
MIASTO
UNIVERSAL

Płytę tę prezentujemy ze względu na spore właściwości przeczyszczające. Wiadomo, wakacje, człowiek się nażre jakiegoś syfu z grilla, popije browarem i żołądkową, a potem ma problemy gastryczne. Wystarczy włączyć Toronto i problem z głowy, a właściwie z... no, wiecie skąd. Słodka wokalistka i studenckie podejście do gitary oraz bębnów. Ani to rock, ani pop, co zresztą można napisać również o zespole Łzy, którego Toronto są niejako klonem. Zapalcie więc zapalniczki, podnieście ręce do góry i... bujajcie się.



FLIPSYDE
WE THE PEOPLE
INTERSCOPE

Dwóch gitarzystów, jeden śpiewa, raper i didżej. Flipsyde jedzie na prostym patencie, łącząc w swojej muzyce różne gatunki, pozostając jednak w orbicie urban music. Uliczne historie podane w tym przemieszaniu rocka z hip-hopem momentami denerwują nachalnymi nieco melodyjkami, ale słabe momenty na tym albumie przemieszane są z naprawdę konkretną jazdą, jak choćby w „Spun", „Flipsyde" czy „Get Ready". Singiel „Someday" lata ostro po mediach, za Oceanem są gorącym produktem, jeszcze o tym zespole z pewnością usłyszymy.



DANCESTACJA 2
MAGIC RECORDS

Dobra, to jest dicho. I to najczęściej takie słabe typu „umca, umca", choć na tej płycie jakimś cudem znaleźli się również The Chemical Brothers, co jest ciekawostką. No, ale są wakacje, niektóre potencjalne romanse zostaną nawiązane na dechlorach w podejrzanych tancbudach, więc warto się przygotować. Od innych składanek z diskohitami typu Vinylshakers, Global Deejays, ATB czy Sonique nie różni jej nic, może poza nieobecnością gorącej Mandaryny, ale za to ma okładkę w ładnych kolorach;)



DJ FIRST RATE presents
WALKY TALKYZ
SCENARIO RECORDS/KARTEL MUSIC

First Rate jest jednym z najbardziej znanych na świecie mistrzów gry na adapterze. Niegdyś związany ze Scratch Perverts i niesamowitym big beatowym projektem Monkey Mafia (ale to była jazda!), był też live dj'em Morcheeby. Sporo jeździ po świecie, gościł też w Polsce, a Walky Talkyz to jego solowy debiut. Spora dawka klasycznego hip-hopu, urozmaicona nieprzeciętnymi adapterowymi umiejętnościami autora oraz wzbogacona talentem gości. Kapitalne jazdy się tu dzieją – śpiewający w bluesowej nucie Red Eye, beatboxujący Killa Kella, rapujący Phi Life Cypher czy MC Blade. Spora dawka dobrego hip-hopu, przesiąkniętego klasyką, poszukiwaniem w brytyjskim stylu oraz dobrą zabawą, którą niewątpliwie First Rate ma tworząc i skreczując.



FAITHLESS
FOREVER FAITHLESS THE GREATEST HITS
SONY BMG

Przez dziesięć lat działalności zespół Faithless nagromadził trochę przebojów, więc ze sporządzeniem kompilacji nie było chyba większych problemów. Elektronika z charakterystycznymi wokalami Maxi Jazza, muzyka na skraju eksperymentu i gry klubowej – Faithless z pewnością ma swój własny, niepowtarzalny styl. Niepowtarzalny do tego stopnia, że czasami mogą się poszczególne kawałki pomylić, ale trzeba tylko doczekać do refrenów – te zawsze były charakterystyczne. 15 najlepszych i przekrojowych.



AKON
TROUBLE
UNIVERSAL RECORDS

Jak był młody, przeniósł się z rodziną z Senegalu do USA. W rodzinie miał muzyków, był więc ukształtowany. Śpiewał i komponował, w końcu wydał płytę. Tę właśnie, która w Stanach ukazała się w roku... 2003. Dopiero jednak po kilkunastu miesiącach od premiery na listy trafił kawałek „Lonely", który stał się sporym hitem. Kolejnym singlem jest już łatwiej i Akon ma właśnie swoje pięć minut. Zasłużenie? Z pewnością jest wokalistą dość charakterystycznym, odnajduje się w różnych klimatach, choć zawodzenie „na smutno" wychodzi mu najlepiej. Płyta zupełnie bez rewelacji, trochę tego, trochę tego, raz dziewczyny, raz ciężkie życie na ulicy, raz zabawa. Spokojnie można się skoncentrować na singlach, jeżeli komuś się podobają.



GRUPA OPERACYJNA
TERAPIA SZOKOWA
PANDEMONIUM

Uznałbym to za ponury żart, gdyby nie fakt, że oni to robią chyba na serio. Tak przynajmniej tłumaczą we wkładce, gdzie wyjaśniają, o co im właściwie chodzi i dlaczego nagrali to, co nagrali. O, Jezu... Gdyby ta płyta ukazała się na początku lat 90., byłaby zapewne przełomowa i w Polsce nie byłoby rapu, bo każdy mający kontakt z muzyką GO wyskoczyłby przez okno. Dzięki Najwyższemu, ukazała się teraz, mamy więc do czynienia z ciekawostką. Żeby się nie rozpisywać, bo nie za bardzo jest o czym: żenująca muza, brzmiąca jakby była tworzona na komunijnym casio za 400 złotych oraz żenujące teksty, tworzone na zasadzie „jak nastolatek widzi wielki świat i przeżywa pierwszą polucję" (plus zero flow). Coś przerażającego... kwl



THE GAME
WEST COAST RESURRECTION
GET LOW RECORDS

Zanim The Game został The Game'em znanym z Documentary, nagrywał sporo materiału z różnymi ludźmi. Między innymi z JT The Bigga Figga, z którym nagrał ponad 30 kawałków. Kilkanaście z nich trafiło na opisywany właśnie album. Poza „The Streetz Of Compton", który jest remakiem „Born And Raised In Compton", nie ma na tej płycie właściwie nic ciekawego. Po prostu stawiający właśnie pierwsze kroki raper na takich sobie produkcjach. Z perspektywy tej płyty można ocenić, jak wielką pracę wykonali z Gamem Dre i 50 Cent – ile można zyskać, pracując nad swoim flow. Gangsterskie historie opowiedziane bez polotu, gdzieś pobrzmiewa niewątpliwy potencjał Game'a, ale generalnie chce się raczej ziewać. k



JURAS WIGOR
TO ZBYT PIĘKNE...
PROSTO

Singiel zapowiadający wspólny projekt Jurasa z WSP i Wigora z Mor W. A., który ukaże się w sklepach na przełomie sierpnia i września. Tytułowy kawałek w wersji oryginalnej i remiksie plus dwie wersje utworu „Gra dużego formatu". Do tego multimedialny reportaż dokumentujący powstawanie albumu Wysokie Loty. Singiel bardzo obiecujący, kozackie zwrotki głównych bohaterów, a do tego refren świetnie zaśpiewany przez Mioda ze składu Jamal.

RED ALBUM Chapter 3



SPECIAL ED
YOUNGEST IN CHARGE
BPM/PROFILE RECORDS

Pamiętam, jak w 1989 roku rozwalił mnie młody, 16-letni mc z Flatbush Brooklyn/NYC. Jego ksywa to Special Ed. Pół Boriqua, pół Jamajczyk, owoczesny jak na te czasy mc z flow, który do dziś powoduje, że mam na i-podzie co chwilę opcję rewind. Zawsze kochałem aroganckich emcees, o uważam, że arogancja to esencja bycia mc, a ten koleś w tamtych czasach chyba był najbardziej arogancki. Sprawdźcie klasyczny już kawałek „I got it made" (wyprodukowany przez Howie'ego Tee) z takimi tekstami jak: „I'm not a child, I don't need nothin for security/I get paid when my record is played/to put it short, I got it made". Sprawdzić trzeba też koniecznie kawałek „I'm the magnificent" z samplem Jimmy'ego Cliffa z soundtracku „The harder they come". Edem jarałem się ponadto od zawsze, bo już w 1989 roku, kiedy tak naprawdę dancehall się rodził, on miał kawałek, gdzie toastował mocno i bez kompleksów. „Hedz and dredz, that's for alla dem rudebwoyz". Sprawdzić mi to szybko, seen!

A dlaczego jaram się Edem i dlaczego do dziś spokojnie jest w mojej piątce ulubionych emceez? Bo koleś jest królem rymów. Serio, on nie ma rymu co zdanie, tylko cztery rymy minimum co zdanie i jest spokojnie najlepszym emcee z off beat-on beat flow. Pływa po bicie lepiej niż syrenka, którą spotkałem ostatnio będąc pijany w Sopocie, hehe. Właśnie w kawałku „The bush" (od Flatbush, jego dzielnicy) macie najlepszy dowód jego skillsów, a już na pewno w klasycznym numerze, który z pewnością znacie – „Crooklyn dodgers".

Chciałem jeszcze dodać, że pół roku temu Ed wydał comebackową płytę „Still got it made", która niestety muzycznie jest bardzo słaba. Ciągle jednak chłopak ma ten niepowtarzalny flow i warto sprawdzić choćby jeden kawałek na tej płycie: „Special" z samplem Teddy'ego Pendergrassa, mistrz!

Yo! Jest lato, uważajcie na siebie, klepcie kobiety po pupciach, bo ostatnio uważam, że jakoś te pupy miękkie się robią. Życzę Wam dużo miłej, gorącej zabawy!!! Holla at'cha boy!

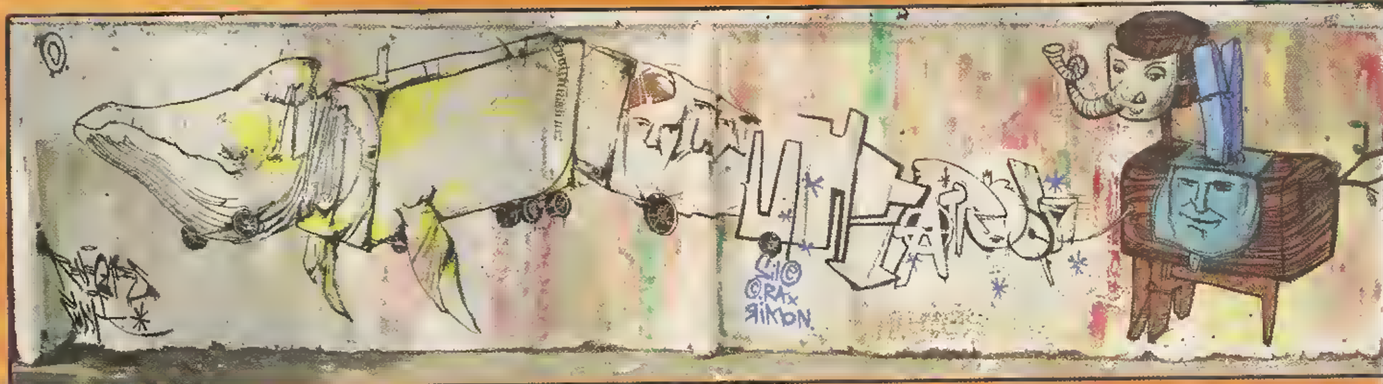
reeletef-red

PS: Next chapter – Supercat „Don dada"

W tym roku wiekszość liczących się ekip brało udział w Write4Gold i malowało na bocznej ścianie Wyścigów, dlatego na głównej ścianie Służewca szanse na uwiecznienie swoich umiejętności mieli młodsi adepci sztuki aerozolu i niektórzy z zaproszonych gości. Miejsca, inaczej niż w zeszłych latach, nie brakowało, a writerzy strudzeni słońcem i dżemową aktywnością mogli spocząć w wygodny i cienistym ogródku sponsora imprezy.

GRAFFITI JAM 2005

POWERED BY mtn mtn



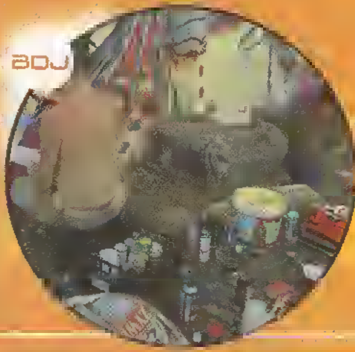






MALOWANO NA B...

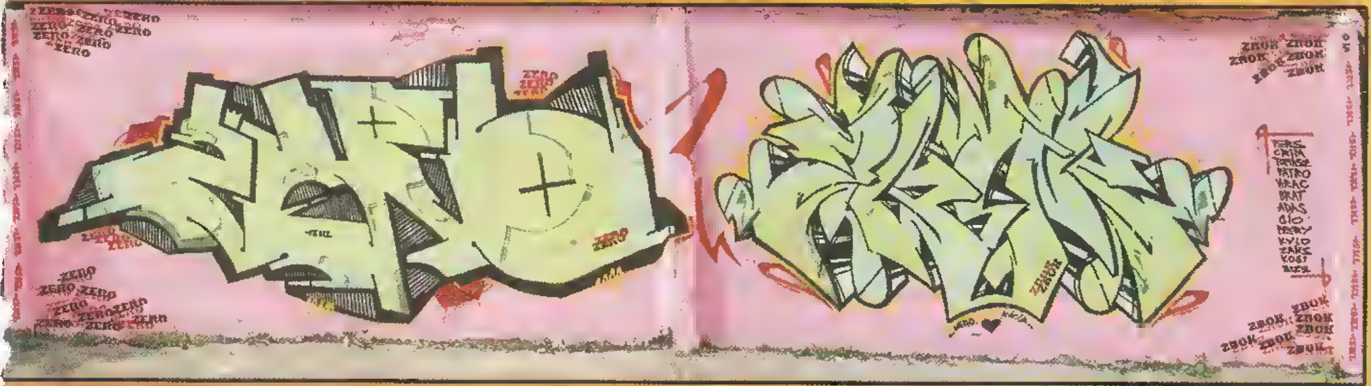
ADEPO...



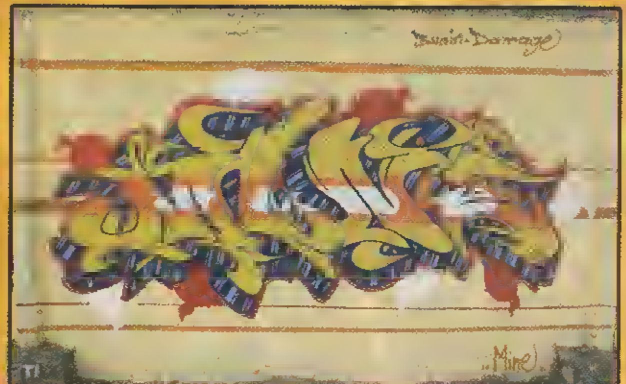




...SPONSORA













TYM B...

SIU ENCA SZANSE NA UNIE ZMIENIE SWO...

Z ZAPROSZONYCH GOŚCI. MIEJSCA,
OWAŁO, A WRITERZY STRUDZENI
W WYGODNY I CIENISTYM



GRAFFTER PARTY

CDQ

WIEKSZOŚĆ ZACYCH SIĘ EKIP BRAŁO UDZ
BOCZNEJ ŚCIANIE WYŚCIGÓW, DLATEGO NA
ZANSE NA UWIECZNIENIE SWOICH UMIEJĘTNOŚCI
DEPCI SZTUKI EROZOLU I NIEKTÓRZY Z Z PROSZONICH

POWERED BY MOLOTOW™

Poziom tegorocznych zmagań o złoto oceniano różnie, choć naszym zdaniem był wyższy niż rok temu. W produkcjach starszych grup widać większą świadomość tematu, chociaż komunikat nie zawsze był przejrzysty i niekoniecznie oryginalny. Doskonała ze względów cienisto-tłumowych boczna ścianka Służewca jest dziś chyba najfajniejszą ścianą w Warszawie. Na szczególną uwagę zasługują prace gości z Białorusi (na samym końcu muru) oraz prace jury. Wieczorne Graffter party urozmaico pokazem dziwnego filmu Graffiti-Science-Fiction "Moebius17" oraz animowanego z 15000 zdjęć graffiti obrazu "History of BreakDance" przygotowanego z okazji bitwy break-dance`owej Red Bull BC One. Ostatecznie wygrało, tak jak w zeszłym roku ekipa z Gdańska - USH/OSC/DOA, a tuż za nimi uplasowało się Miami Vice z Warszawy. Efekty oceńcie sami.









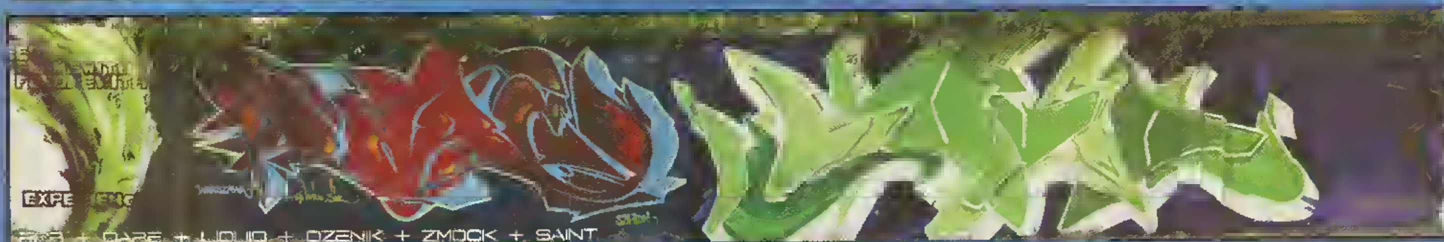


© BATES

POWERED BY MOLOTOW

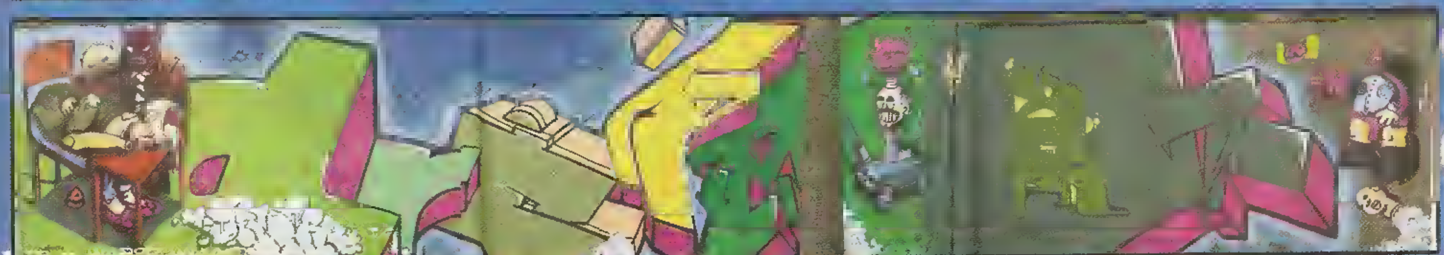
POZIOM TEGOROCZNYCH ZMAGA O ZOTO OCENIANO RÓNIE, CHO NASZYM ZDANIEM B
WYZSZY NIZ ROK TEMU. W PRODUKCJACH STARSZYCH GRUP WIDAC WIEKSZA SWIADOMOSC TEMATU.
CHOC
ORYG
SLUZ
UWAG
TRA
FILMU
ZDJE
BITW
LESZ
NIE





+ DARE + LIQUID + DZENIK + ZMOCK + SAINT







ZW

CIAZ KOMUNIKAT NIE ZAWSZE BYL PRZEJRZISTY I NIEKONIECZNIE

GRAF...
WY BRE -DANCEOWEJ RED BULL BC...
...KU EKIPA Z GDANSKA - ...
SIE MIAMI VIC...









... UWAGE ZA
PRACE JURY. ...
FILMU GR...
ZDJAC GRAFFITI OB...
BITWY BREAK-DAN...
ZESZLYM R...











POZIOM TEGOROCZNYCH ZMAGAN O ZLOTO OCENIANO RÓŻNIE, CHOC NASZYM ZDANIEM BYC

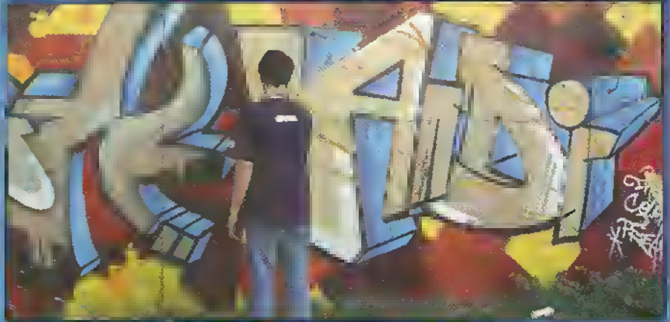


To nowe przedsięwzięcie, które miało miejsce w Gdyni 1 i 2 lipca 2005. Dżemowano na dwóch miejscówkach - na stadionie Arki Gdynia, na którym prace mają szanse utrzymać się latami oraz na ściankach rozstawionych w samym sercu turystycznej Gdyni, gdzie gorącą letnią atmosferę elektryzowały grane na żywo sety DJ-skie. Oprócz trójmiejskiej sceny i gości z Warszawy oraz Lublina, w malowaniu wzięli również udział malarze z Francji i Niemiec. Czy z BDX wyrośnie coś większego?





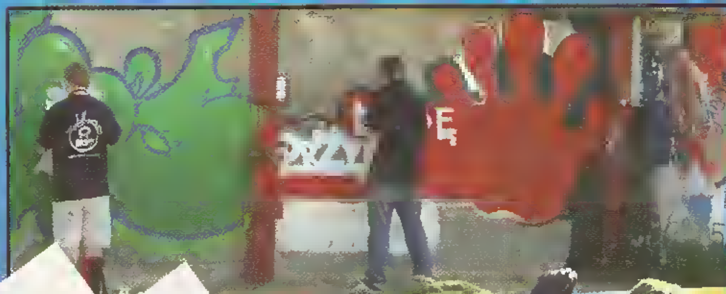


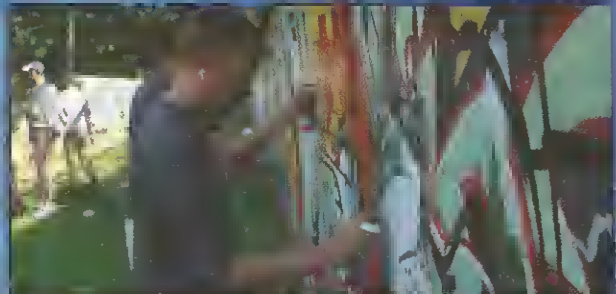


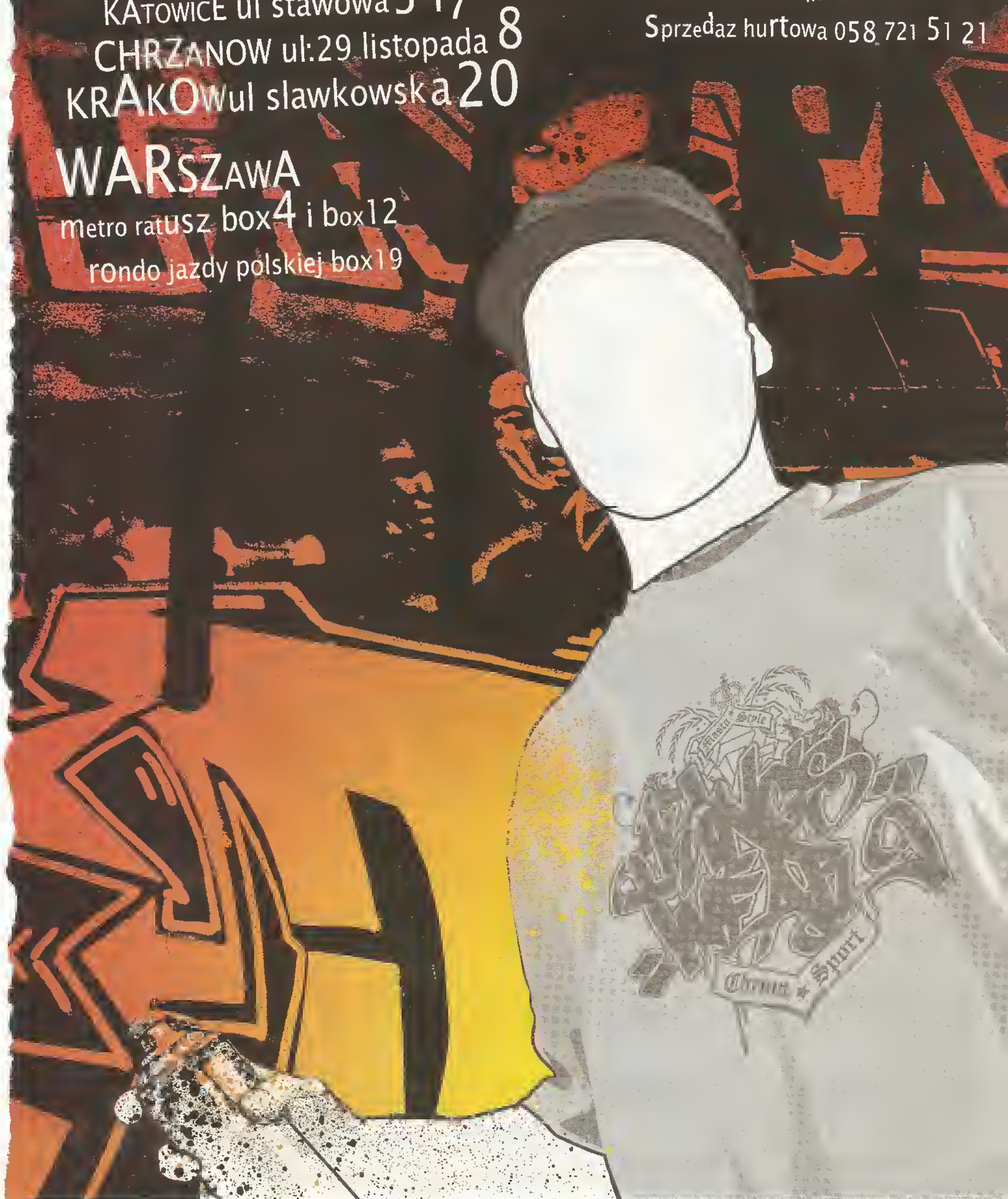











Chrom Sport



M.i.a.

M.I.A.

Dotąd brytyjski rynek muzyczny, jeśli chodzi o kobiety związane choćby luźno z hip-hopem, nie dawał nam zbyt wielu powodów do ochów i achów. Przynajmniej w mojej pamięci poza [illegible]bami Ms. Dynamite i Lisy Mafii z So Solid Crew oraz, ale to już bardzo dawno, Monie Love, jest sporej wielkości luka. Aż do teraz, moi drodzy, bo oto pojawiła się kilka miesięcy temu niejaka M.I.A., czyli Maya Arulpragasam. Dzieciństwo spędziła motając się między rodzimą Sri Lanką, Londynem i Indiami, zaś rapem zainteresowała się pod koniec lat 80., gdy dotarły do niej nagrania Public Enemy i N.W.A. Uff, dość mocne inspiracje. Wiązały się jednak z ciężkim losem młodego uchodźcy, jaki przyszło jej toczyć w Wielkiej Brytanii, w której wówczas zamieszki na tle rasowym nie należały do rzadkości. Zainteresowanie Mayi kulturą nie kończyło się jedynie na muzyce. Udzielała się również na deskach szkolnych teatrów, maluje w dość ekspresyjny sposób, uywając często jako narzędzi[illegible] sprej[illegible] Podstawą okazała się jednak muzyka. Po tym jak koncertowała m.in. u boku The Peaches na amerykańskiej trasie, nagrała doskonałe demo „Galang". Jego bardzo entuzjastyczny odbiór na scenie brytyjskiej muzyki niezależnej otworzył orientalnej piękności drzwi do większości liczących się labeli. Wybrała XL Recordings, od zawsze stawiające na oryginalne, progresywne brzmienie i nie bojące się inwestować w debiutantów, przy zapewnieniu im 100% niezależności w nagrywaniu. Wydana kilka miesięcy temu płyta „Arular" z miejsca stała się wielkim wydarzeniem na Wyspach, ale nie tylko – swym brzmieniem wychodzi daleko poza popularny przede wszystkim w Anglii grime, będąc multi-narodowym koktajlem o potężnej sile rażenia. Ta dziewczyna jest po prostu pod każdym względem gorąca, więc nie dziwcie się, że w tym najcieplejszym miesiącu roku gorąco zachęcamy was do zapoznania się z M.I.A. **(Calak)**



AMERIE
TOUCH
COLUMBIA / SONY BMG

Drugi album pięknej wokalistki jest dobitnym dowodem, że uroda wcale nie stanowi jej jedynego atutu, a przede wszystkim tego, że można wyprodukować bardzo przyzwoity album r&b bez udziału The Neptunes, Timbalanda i Kanye Westa. Opisywanie „Touch" należy zacząć przede wszystkim od hiciora „1 Thing", który na albumie jest w dwóch wersjach – obok oryginalnej mamy też remiks z gościnnym udziałem Eve. Mówcie, co chcecie, ale ustać przy tym numerze w spokoju po prostu się nie da. Podobnie rzecz się ma w przypadku kawałka tytułowego, który wyszedł spod ręki Lil Jona. Popis wokalny słyszymy w „Can We Go" zaśpiewanym przez Amerie wspólnie z Carlem Thomasem. Podobać się też może „Falling" – subtelne, spokojne, kołyszące r&b. Reszta zaś broni się sama, nie zamula, nie odbija zanadto w stronę najpopularniejszych trendów i do pewnego stopnia stanowi kontynuację – tyle, że dużo lepszą – klimatu znanego z debiutanckiego materiału Amerie. Urocze to wszystko, ale ma też odrobinę drapieżności i figlarności, przez co ucieka od mdłości i nakazuje wystawienie jak najbardziej pozytywnej oceny. **Calak**



M.I.A.
ARULAR
XL/ SONIC

Oryginalność, polot, fantazja i zderzenie kultur nie jest w muzyce ostatnimi czasy spotykane często. Na „Arular" uświadczamy tego wszystkiego od pierwszej do ostatniej sekundy. Ten album to dawka energii nie mniejsza niż dokonania Dizee'ego Rascala, eklektyzm porównywalny z tym, do czego przyzwyczaili nas twórcy z kręgów Ninja Tune, wszystko zaś zmieszane w sposób jak najbardziej strawny, bo podrasowane odrobinę…popowo. Materiał przynosi nieskrępowane niczym mieszanie garage'u, elektroniki, dancehallu, hip-hopowych rytmów rodem z brudnego południa, a tej wyliczanki wcale nie zamyka nieodzowne wobec korzeni wokalistki sięganie po wpływy muzyki etnicznej. Trudno jednoznacznie stwierdzić, jakim cudem to wszystko się nie gryzie, więc zrzućmy to na karb producenckiej wirtuozerii m.in. Richarda X, Diplo, Cavemana i Steve'a Mackeya. M.I.A. wymiata pod każdym względem – czy rapuje, czy śpiewa, czy też robi coś zawieszonego między jednym a drugim, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że robi to z pasją, zaangażowaniem, a przede wszystkim oryginalnie. Dodając do tego abstrakcyjne, ale imponujące spostrzegawczością i błyskotliwością teksty, otrzymujemy płytę na bardzo wysokim poziomie. Zaś roztrząsanie jaka to właściwie muzyka, zostawmy innym. **Calak**

AMERIE

Chyba nie ma normalnego face[illegible]y [illegible]e [illegible]gnęło to i owo podczas oglądania klipu do jej singla „1 Thing". Wszak co tu się oszukiwać – dziewczyna z niej piękna, śpiewać też umie, a że nie ma ambicji zostania drugą Ellą Fitzgerald ani Patti Labelle, to już w ogóle na plus. Oryginalną urodę zawdzięcza korzeniom – jej matka jest Koreanką, ojciec Afroamerykaninem. Z racji tego, że tatuś jest wojskowym, przez wiele lat zmieniała wraz ze swą rodziną miejsca zamieszkania, podróżując z Alaski do Niemiec. Tu małe wtrącenie – podobna jest historia innej młodej piękności – Ciary. Wracając jednak do Amerie: do wszystkich jej zalet należy dodać to, że jest damą nader wykształconą. Ukończyła Uniwersytet Georgetown (kibicom koszykówki znany z doskonałego zespołu „Hoyas") dyplomami na wydziałach języka angielskiego i sztuki nowoczesnej. Na szerokie wody przemysłu muzycznego wypłynęła zaś po przeprowadzce do Waszyngtonu, gdzie znalazła uznanie w oczach producenta r&b Richa Harrisona. Facet ten, mający za sobą m.in. współpracę z samą Mary J. Blidge, pomógł jej zebrać niezbędne kontakty, dzięki niemu też osobą wokalis[illegible] zainteresowała się wytwórnia Rise podległa Columbia Records. Amerie pokazała się m.in. na płycie Nasa „Stillmatic" śpiewając refren do kawałka „Rule", by wiosną 2002 r. ukończyć pracę nad debiutanckim krążkiem „All I Have". Pisała o nim kiedyś na łamach „Ślizgu" Fala. Gwoli uzupełnienia dodam jedynie, że wylansował on przeboje „Why Don't We Fall In Love" i „Talkin' To Me". Amerie pamiętać możecie też z gościnnego udziału w kawałku „Paradise" LL Cool J'a, a może jeszcze bardziej z klipu do tego numeru. No, a całkiem niedawno nasza ślicznotka zaatakowała po raz kolejny. Krążek „Touch" już możecie nabyć, oczy rozkoszować teledyskiem do „1 Thing", ba – nawet dwoma jego wersjami, a na pewno kolejne single będą szaleństwo przedłużać. **(Calak)**

Amerie

tu kupisz slizg ↘

KROM HIP HOPsklep
GDANSK ul. Wajdeloty10 ul. Rajska12 GDYNIA ul. Swietojanska112
ELBLAG ul. Hetmanska 11/14 WARSZAWA metro ratusz box4 i box12
WARSZAWA Rondo jazdy polskiej box19 KATOWICE ul. Stawowa 3 i 7
KRAKOW ul. Slawkowska20 CHRZANOW ul. 29 listopada 8

RZESZÓW, MATEJKI 16
CODE
HIP-HOP SKATESHOP

LUBLIN
HIPHOP enklawa EQUIPMENT
KOŁŁĄTAJA 4

MUSIC PLANET
NAJWIĘKSZY SKLEP MUZYCZNY
CD - DVD - VIDEO

MENTOR SKATESHOP
ul. Panny Marii 13
87-100 Toruń
tel.: 56 621 10 12

KAMUFLAGE
HIP HOP SKATE SHOP
www.kamuflage.pl

CITY GROOVE
EXCLUSIVE CITY SHOP
Al. NMP 53 Częstochowa

KAMELEON
HIP-HOP SKATE SHOP
UL. MOSTOWA 1A
AUGUSTÓW
tel. 501-511-445

skateshop SKATELITY
Opole, ul. Ozimska 14-16
DH RZEMIEŚLNIK IIp.

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

andergrand.pl
buty
graffiti
muzyka
ubrania
skateboard
SKLEP INTERNETOWY
WWW.ANDERGRAND.PL

SKATE FASHION & HIP HOP
FUNKY COLLECTION
SK8 SHOP
VOLCANO
KLUCZBORK
ODZIEŻ DESKA GRAFFITI
OBUWIE MUZYKA

Filut HIP HOP SKATESHOP
Wełniany Rynek 2AB
Gorzów Wlkp.

SKATE SHOP GRAM
KIELCE UL. DUŻA 5
w sklepie sportowym na I piętrze

FLOW HIPHOP SHOP
WWW.FLOW.PL
ŁÓDŹ TRAUGUTTA 4
TEL. 0426307970

SZAFA SKATE SHOP
ZIELONA GÓRA
UL. ŻEROMSKIEGO 17
tel: (0-68) 452-87-80
WWW.SKATE.ZGORA.PL

SKATESHOP SIXTYNINE
Z TĄ ULOTKĄ ZNIŻKA 10% !!
HARLEM SKATESHOP

Skate - Shop Freestyle
GALERIA "URSUS" UL.WOJCIECHOWSKIEGO 37, 1 PIĘTRO

CALIFORNIA
SKATEBOARD DISTRIBUTION

BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

ANAGRAM 13
REAL STREET CLOTHING

informacje dotyczące zamieszczenia loga (tel. 0-prefix-22 825 49 07)

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 6 12 miesięcy

PLN PLN PLN



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P

waluta
PLN

kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica

nr domu

nr mieszkania

kod pocztowy

miejscowość

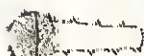
prenumerata:
na okres
od miesiąca
numery archiwalne + koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY







nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

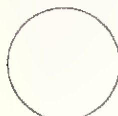
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres: ____________

zamawiam prenumeratę na:

3 PLN | 6 PLN | 12 PLN miesięcy



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P | waluta PLN | kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY





Slipknot Warszawa / 20.06.2005

Trzeci polski koncert psychopatów z Des Moines, Iowa, pierwszy w stolicy. Na supporcie wariaci z The Dillinger Escape Plan. Slipknot nie bez powodu ma status megagwiazdy nu-metalu: zamaskowani muzycy dali z siebie wszystko, grając materiał przekrojowy (ze wskazaniem na ostatnią płytę). Było ciężko, głośno, gorąco i zajebiście. Kto do warszawskiej Stodoły na koncert nie dotarł, niech żałuje. (foto: www.stodola.pl)



Base Summer Camp - lodowiec, Austria, Soelden.

Na snowboard albo narty w środku lata? Oczywiście, że tak, czemu nie. Wystarczy śmignąć w któryś z europejskich regionów lodowcowych i tam spróbować swoich sił w specjalnie przygotowanych na letni sezon snowparkach. Śnieg na takim lodowcu trzyma się całkiem nieźle... W tym roku byliśmy w Soelden na słynnym Base Campie, a z nami byli między innymi Marek Sąsiadek, Marek Doniec, Diana Sadłowski, Jakub Honcz i wielu innych słynnych polskich snow szaleńców. Wszystkich pozdrawiamy:) Info na temat takiego letniego wyjazdu w zimę można znaleźć na www.base.soelden.com albo u polskiego organizatora takich wycieczek www.snowandsurf.pl

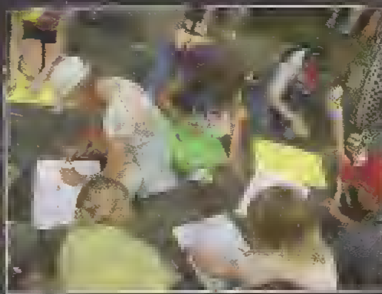
Write4Gold i BD Jam, Warszawa

Polskie eliminacje do Write4Gold zagościły obok Jamu Brain Damage przy słynnym warszawskim służewieckim murze. Kierowcy na ruchliwej Puławskiej zwalniali, żeby zobaczyć, co się dzieje, widzowie i uczestnicy skakali po browar na pobliską stację, DJ'e grali różnorodną muzę, a zagubieni reporterzy usiłowali zrozumieć, o co chodzi. Na jamie pojawili się m.in. BDMSK, WTK, KFC, NGR i B3S. Jeżeli chodzi o W4G, temat prac pchał do bycia twórczym – Teatr snów... W oko laika najbardziej wpadała praca prezentująca trupi kształt wydobywający się zza cmentarnego płotu (7DC NT z Lublina), kompetentne jury (Polskę reprezentował X-Men) zadecydowało o zwycięstwie trójmiejskiego USH. Na after party nie dotarliśmy, ale wakacyjna atmosfera wzbogacona całą masą wrażeń plastycznych – to jest to. A więcej zdjęć z imprezy znajdziecie w naszym dziale grafów.









Lato w mieście - Pola Mokotowskie, Warszawa

„Lato w mieście" to koncert organizowany w ramach akcji Spoko Dzieciak na warszawskich Polach Mokotowskich. Pogoda dopisała, nagłośnienie również. Starsi mogli się pobawić na kozackich koncertach, m.in. funkowego Easy Band All Stars i reggae'owego Vavamuffin. Ci młodsi mieli pełne pole do popisu – od rysowania na alejkach, podziwiania doświadczeń chemicznych, grę w minigolfa czy ping ponga, aż po „naukę produkcji" pod okiem DJ'a Zero i przyglądanie się b-boyom i deskorolkowcom. Niesamowicie pozytywną i odmulającą imprezę poprowadził umiejętnie Kwiat, znany z rapu w Sile Dźwięku i ogromnych umiejętności breakdancerskich.

parkour
skimboard
polskie ragga
m.i.a. & amerie
jackson vs. tyson

ślizg

